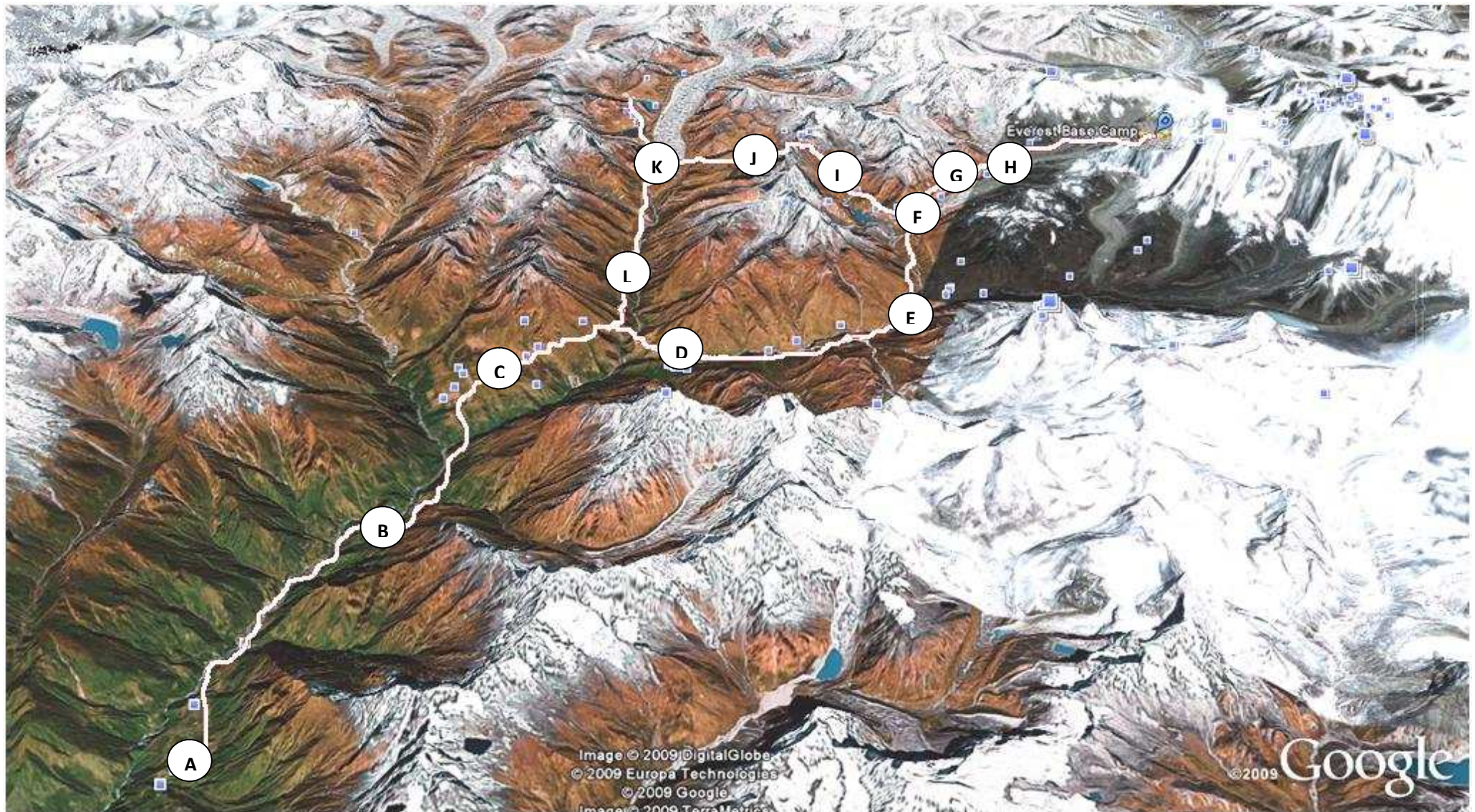


WIKTOR ROZMUS  
HIMALAJE NEPALU DROGĄ DO EBC





*A – Lukla, B – Phakding, C – Namche Bazar, D – Tengboche, E – Periche, F – Dughla, G – Lobuche, H – Gorak Shep, I – Dzonghla, J – Dragnag, K – Gokyo, L – Dole.*

WIKTOR ROZMUS

**HIMALAJE NEPALU**  
**DROGĄ DO EVEREST BASE CAMP**  
Dziennik podróży

Kraków 2009

**Opracowanie na podstawie notatek z podróży:** Wiktor Rozmus

**Ilustracje:** Zdjęcia – Wiktor Rozmus, Nikon D300

Satyra na stronie 73 – Grzegorz Sobczak, [www.sobczak.art.pl](http://www.sobczak.art.pl)

Mapa na 2 stronie okładki oraz stronach 123 i 129 – Google Earth © 2009  
DigitalGlobe

**Zdjęcie na pierwszej stronie okładki:** Widok na zachodnią ścianę Ama Dablam spod stupy  
w Pangboche.

fot. Wiktor Rozmus

**Zdjęcie na czwartej stronie okładki:** Widok na Everest i icefall ze szczytu Kalla Pattar.

fot. Wiktor Rozmus

Autor dołożył wszelkich starań, aby opisy i informacje tutaj zawarte możliwie wiernie oddawały rzeczywistość. Przechodzenie podobnej trasy odbywa się jednak na własne ryzyko i autor oraz wydawca nie biorą odpowiedzialności za wypadki wynikające z używania dziennika.

© Copyright 2009 tekst i zdjęcia: Wiktor Rozmus

**ISBN 000-00-0000-000-0**

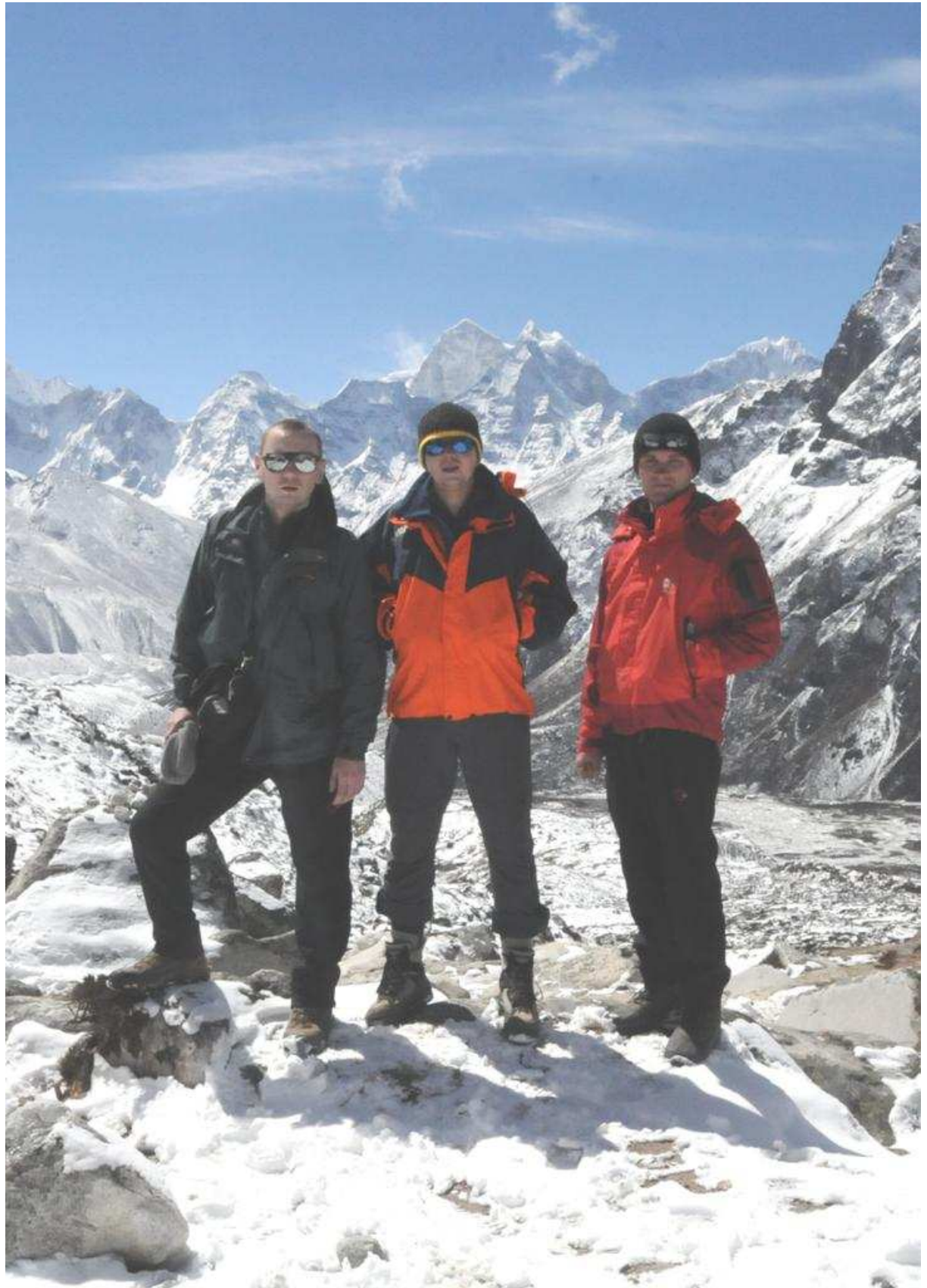
Wydawca: może kiedyś ☺

Wydanie I (1.7) – Częściowo poprawione, uzupełnione ale wciąż z błędami.  
Kraków 2009

All rights reserved® Wszelkie prawa zastrzeżone.

Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyjątkowym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

Rafałowi, Marcinowi  
i wszystkim tym, którzy chcieliby to powtórzyć.



## Spis treści

Jak to się zaczęło czyli słowem wstępu .....	3
Rozdział pierwszy – Stolica Nepalu.....	7
2009.03.22 – Dzień 1 (niedziela) – Delhi.....	7
2009.03.23 – Dzień 2 (poniedziałek) – Kathmandu .....	9
2009.03.24 – Dzień 3 (wtorek) – Kathmandu .....	14
Rozdział drugi – Himalaje .....	27
2009.03.25 – Dzień 4 (środa) – Phakding, 2610m n.p.m. ....	27
2009.03.26 – Dzień 5 (czwartek) – Namche Bazar, 3440m n.p.m. ....	32
2009.03.27 – Dzień 6 (piątek) – Namche Bazar, 3440m n.p.m.....	39
2009.03.28 – Dzień 7 (sobota) – Tengboche, 3860m n.p.m. ....	43
2009.03.29 – Dzień 8 (niedziela) – Periche, 4270m n.p.m. ....	48
2009.03.30 – Dzień 9 (poniedziałek) – Dughla, 4620m n.p.m. ....	53
2009.03.31 – Dzień 10 (wtorek) – Lobuche, 4910m n.p.m.....	60
<b>2009.04.01 – Dzień 11 (środa) – Gorak Shep, (EBC), 5140m n.p.m.</b> .....	64
2009.04.02 – Dzień 12 (czwartek) – Lobuche, 4910m n.p.m.....	70
2009.04.03 – Dzień 13 (piątek) – Dzonlha, 4830m n.p.m.....	74
2009.04.04 – Dzień 14 (sobota) – Dragnag, 4700m n.p.m. ....	79
2009.04.05 – Dzień 15 (niedziela) – Gokyo, 4790m n.p.m. ....	83
2009.04.06 – Dzień 16 (poniedziałek) – Gokyo, 4790m n.p.m. ....	87
2009.04.07 – Dzień 17 (wtorek) – Dole, 4200m n.p.m. ....	89
2009.04.08 – Dzień 18 (środa) – Namche Bazar, 3440m n.p.m. ....	90
2009.04.09 – Dzień 19 (czwartek) – Phakding, 2610m n.p.m. ....	94
2009.04.10 – Dzień 20 (piątek) – Lukla, 2840m n.p.m. ....	97
Rozdział trzeci – Kathmandu po raz drugi .....	100
2009.04.11 – Dzień 21 (sobota) – Kathmandu.....	100
2009.04.12 – Dzień 22 (niedziela) – Kathmandu .....	103
2009.04.13 – Dzień 23 (poniedziałek) – Kathmandu .....	107
2009.04.14 – Dzień 24 (wtorek) – Kathmandu .....	111

Rozdział czwarty – Indie, kraj kontrastów .....	115
2009.04.15 – Dzień 25 (środa) – Do Delhi.....	115
2009.04.16 – Dzień 26 (czwartek) – New & Old Delhi .....	120
Zakończenie .....	133
Podziękowania .....	133
Koszt wyprawy.....	134
Aklimatyzacja.....	135
Co zabrać .....	136
Koniec .....	137



## Jak to się zaczęło czyli słowem wstępu

Lubię wyprawy planować z dużym wyprzedzeniem. Był koniec grudnia 2008 roku, przetrząsałem forum podróżników travelbit.pl w poszukiwaniu uczestników długo już obmyślanej wyprawy we francuskie Alpy z celem zdobycia najwyższego szczytu Europy – Mont Blanc. Przygotowane nawet miałem ogłoszenie, które chciałem opublikować w poszukiwaniu członków ekspedycji i tylko w zasadzie z ciekawości przeglądnąłem aktualne posty podróżników, gdy natknąłem się na ogłoszenie Rafała o treści:

**NEPAL KHUMBU marzec/kwiecień 2009**

📩 przez **tokar** » Pn gru 29, 2008 11:58 am

Witam

Wybieram się z kolegą na trek Lukla - Everest Base Camp w terminie 20.03 - 18.04.2009 (możliwe przesunięcia)

Chętnie wybralibyśmy się tam z kimś kto bieglej włada angielskim 😊

Mamy po 30 lat

Przybliżony koszt 1500 USD

Zainteresowanych proszę o maila

Pozdrawiam

rafał

**tokar**

Posty: 2

Dołączył(a): Pn gru 01, 2008 1:29 pm

To, co mnie naelektryzowało to słowo Everest, wiedziałem, że wejście na szczyt jest bardzo kosztowne, ale być w samym Base Camp to już jest coś, to jest coś znacznie lepszego i na większej wysokości niż całe Alpy. Koszt wydawał mi się dość niski, szybko stwierdziłem, że poczekam z Alpami parę dni i napiszę do autora ogłoszenia o szczegóły, pewnie i tak nie odpisze. Rafał, ku mojemu zdziwieniu, szybko odpisał, po wymianie kilku maili i poznaniu szczegółów poprosiłem o tydzień czasu na zastanowienie, po czym odpisałem na drugi dzień, że w zasadzie nie mam się nad czym zastanawiać, jadę z wami.

Tak się zaczęło, potem wymieniliśmy jeszcze około 100 maili uzgadniając różne sprawy od przelotów, rezerwacji biletów po wizy i zawartość plecaków. Każdy zajmował się czymś innym, ja wziąłem na siebie sprawy wizowe i logistykę do Indii. Rafał z Marcinem, ułożyli bardzo ambitny program trekkingu i znaleźli transport z Indii do Nepalu. W międzyczasie przeczytaliśmy chyba wszystkie relacje z podobnych wypraw jakie udało nam się znaleźć, żeby wiedzieć czego się można spodziewać i z jakimi trudnościami możemy się spotkać na miejscu. Chcieliśmy być jak najlepiej przygotowani. Niestety poza dobrymi opisami trafiały się także takie, w których wyczytać można było rzeczy, trudne do uznania za prawdziwe, głównie mity o aklimatyzacji czy Nepalu. Ostatnia relacja jaką udało się mi znaleźć pochodziła z

połowy 2007 roku, od tego czasu bardzo dużo rzeczy się zmieniło. Mały i wyizolowany Nepal przestał być monarchią, stał się republiką. Zmiany są tam bardzo szybkie. Chciałbym, żeby ten opis był nie tylko aktualizacją, ale też szerokim opisem bieżącej sytuacji wypraw trekkingowych w okolice obozu pod Everestem, *Gokyo* i samej stolicy.

Nie należy czytać tego opracowania jak książkę, bo prawdopodobnie szybko się znudzi, niech pomoże ona wszystkim tym, którzy myślą o podróży w tamte rejony, inaczej niż tylko z biura podróży. Poza przygodami w samych górach, dość obszernie opisuję swoje przemyślenia, wszystkie wydarzenia przed i po Himalajach, czyli w zasadzie od samolotu z Polski do lotu powrotnego. Starłem się przy tym, aby wszystkie zawarte tutaj informacje były prawdziwe i rzetelne, jeśli gdzieś jednak wkraść się błąd, lub jakiś fakt mija się z prawdą (lepsze i gorsze źródła), to proszę o informację pod adres z ostatniej strony. Obiecuje błąd poprawić i z góry dziękuję wszystkim czytającym za wszelką korektę i krytykę (oby ta była konstruktywna).

W relacji wielokrotnie używam skrótu AMS oznaczającego chorobę wysokościową o której, więcej w zakończeniu. W opisie podałem też ceny w rupiach, wiem, że może nie każdy wie, ile to jest 100 rupii, dlatego przy możliwie każdej kwocie starałem się podać przeliczenie na złotówki. Te jednak są różne w zależności od aktualnego kursu dolara amerykańskiego. Ja przeliczam je kursem 1\$ = 3,88zł = 79rs, takim nieszczęśliwym przelicznikiem kupowaliśmy amerykańską walutę w czasie największego załamania rynku (marzec – kwiecień 2009).

W ramach wyjaśnień dziwnych słów, spotykany jest też czasami zwrot „*Namaste*” to lokalne pozdrowienie tubylców, w znaczeniu dosłownym: „Bądź pozdrowiony klejnocie ukryty w kwiecie lotosu”, można tutaj dywagować, co to znaczy, ale ogólnie należy przyjąć, że to po prostu „cześć”. W znaczeniu budowli też należy się małe wyjaśnienie, prostym językiem, ale jeśli ktoś jest bliżej zainteresowany tematem architektonicznym, to odsyłam do Internetu lub specjalistycznej literatury.

**Kani** – Brama albo buddyjska roгатka spotykana często przy wejściu do miasta czy kolejnej osady na szlaku, czasami połączona z małym przedsionkiem. Można je też spotkać przed świątyniami, zazwyczaj bardzo ładne i zdobione.

**Stupa** – Początkowo stupę brałem za fajny budynek, jednak jak się później dowiedziałem, do stupy się nie wchodzi. Jest to taki kopiec na szczycie którego stawia się wieżę ostro zakończoną, ale z kwadratowym obeliskiem przy podstawie, gdzie zazwyczaj maluje się wszystkowiedzące oczy Buddy patrzące na cztery strony świata.

Niektóre stupy to grobowce pod, którymi leży jakiś budda czy lama. Na temat stupy i jej symboliki można napisać kilka stron tekstu, jednak nie chcę tego tutaj opisywać, zainteresowanych ponownie odsyłam do źródeł.

**Czorten** – mała stupa albo coś co może się nią stać w przyszłości, spotykany masowo na szlaku w północnym Nepalu. Zgodnie z definicją mają być duże, jednak małe kopy kamieni w zasadzie też są czortenami. Stanowią oznaczenia szlaku i właściwej drogi. Szlak czasami jest, czasami go nie ma. Czasem ścieżka jest przywalona śniegiem, w chwilach zwątpienia, należy się rozglądnąć za mniejszym lub większym czortenem i iść w jego stronę.

**Gompa** – Duży budynek przeznaczony na świątynie, przeważnie w bryle prostokąta, bez zabudowy wnętrza, żeby w środku było jak najwięcej wolnego miejsca. Wnętrze często, bogato zdobione i dekorowane posążkami różnych bóstw. Przeważnie budowane są w sąsiedztwie klasztorów.

**Pagoda** – Taki chiński domek, mówiąc w bardzo dużym uproszczeniu. Przynajmniej z Chinami się kojarzy. Charakteryzuje się spadzistymi dachami, nakładanymi na siebie. Dużo jest ich w zabytkowym centrum Kathmandu – *Durbar Square*. Najznakomitsza pagoda to świątynia Taleju w samym środku. Czasami ozdobione motywami erotycznymi, całkiem fajnymi.

**Mani** – (nie mylić z *mani puri* – tybetańskim chlebem). Również często spotykane na szlaku, są to duże, przeważnie białe, ozdobione kamienie, czasami dodatkowo obsadzone tablicami z bardzo ciekawymi hieroglifami na, których wypisują transkrypcję modlitwy.

**Lodge** – (czyt. lodż), miejsce do noclegu czyli chaty tubylców. Czasami są duże i lepsze, wybudowane specjalnie dla zarobku i pod turystów. Czasami, szczególnie w małych miejscowościach, daleko od cywilizacji, są to tylko zwykłe lepianki ludzi starających się jakoś dorobić. Niewybrednym szczerze polecam te jak najtańsze i gorsze, ludzie są bardziej życzliwi i można naprawdę zobaczyć jak tutaj żyją.

Miejscowości podane w nazwie rozdziałów są wioskami docelowymi, do których docieramy na nocleg. Czytając, więc początek rozdziału, jesteśmy jeszcze w wiosce z poprzedniego rozdziału. Większość tekstu ilościowo nie jest jednak opisem samej trasy, ale moich przemyśleń, spostrzeżeń i przygód. Szczegółowe opisy dróg pod kątem warunków i ukształtowania geograficznego można spotkać w przewodniku „Himalaje Nepalu” Janusza Kurczoby. Jest to pozycja niemal kultowa, często spotykana na forach i polecana dla wszystkich podróżników w rejon Himalajów, w opisie topograficznym nie będę jej powielał. Mimo najnowszego wydania jakie

posiadaliśmy, wiele informacji w przewodniku jest już nieaktualnych toteż koryguję je tutaj, czasami odnosząc się do tzw. „przewodnika pana K”.

Nazwy osad, szczytów i miast podaję w oryginalnych nazwach, dlatego jest *Kathmandu* (choć powinno być jeszcze inaczej: *Kāthmāndau*, jeśli chcielibyśmy zachować oryginalne piśmiennictwo), a nie spolszczone *Katmandu*. O ile te można jeszcze napisać inaczej tak nie znam żadnych innych spolszczeń dla nazw małych osad na szlaku. Nazwy wiosek i osad, które tutaj podaję, są zweryfikowane z mapą i faktycznymi tablicami w osadach, dlatego uważam je za całkowicie wolne od błędów. Nie można tego jednak powiedzieć o kwietniowym wydaniu *National Geographic Traveler*, który dostałem już po powrocie. Tematem przewodnim jest trekking w Nepalu, dziwne, pani redaktor naczelna też tam była, ale mimo to błędy w pisowni miejscowości i nazw są rażące dla kogoś kto spędził tam miesiąc, studiując mapy nudnymi wieczorami. Podobne błędy spotyka się w Internecie, jeśli jednak ktoś nie jest pewny faktycznej nazwy, lub co bardzo mało prawdopodobne znalazł błąd w moim opracowaniu, proszę o kontakt, odeślę zdjęcie z tablicą informacyjną przed wejściem do wioski lub skan z nepalskiej mapy.

Zapraszam do czytania, będąc wdzięczny za wszelkie nadesłane komentarze czy krytyki, dotyczące stylu i samej relacji.

## Rozdział pierwszy – Stolica Nepalu

### 2009.03.22 – Dzień 1 (niedziela) – Delhi

Dziewiąta rano w strefie GMT+01, po może czterech godzinach snu z bardzo ciężką głową po wczorajszym wieczorze, budzę się w stolicy naszego pięknego kraju. Przyjechałem z Krakowa już dzień wcześniej i spędziłem bardzo miły wieczór, poznając towarzyszy Johnego Walkera oraz Jacka Danielsa. Około godziny dziesiątej, korzystając z uprzejmości Zyty i Staszka – znajomych u, których się zatrzymałem, wyruszamy po śniadaniu na lotnisko. Pożegnawszy się, wchodzę do sali odlotów międzynarodowych w niecałą godzinę po pobudce i w trzy minuty później dostaję telefon od Rafała, że już są przed wejściem. Nie mieliśmy okazji poznać się wcześniej, jedynie korespondowaliśmy przez email. Jednak pierwsze wrażenie jest bardzo pozytywne. Jestem zdania, że jak już kilkoro ludzi decyduje się na taką wyprawę to z reguły będą to ludzie towarzyscy i otwarci na to co nowe i nieznanne. Nie pomyliłem się. Rafał dodatkowo stwierdza, że muszą jeszcze coś wypić, bo nie przejdzie to przez odprawę i wyjmuję z plecaka piwo – już wiem, że dobrze trafiłem.

Powoli, nie spiesząc się, przechodzimy przez odprawę bagażu, kontrolę bezpieczeństwa i idziemy do właściwej bramki, czekając na samolot do Stambułu. Muszę przyznać, że lotnisko na Okęciu od czasu mojego ostatniego wylotu z Warszawy trzy lata temu, zmieniło się nie do poznania. Teraz nareszcie przypomina to międzynarodowy terminal, a nie dwa korytarze i jeden wielki plac budowy, jak przed kilku laty.

Godzina 16:45 GMT+02, zgodnie z planem lądujemy w Stambule, ku naszemu zdziwieniu loty były o czasie i nie mieliśmy żadnych opóźnień w tranzycie w Turcji. Jak się też okazało (wbrew informacjom publikowanym np. w portalu Onet), niepotrzebna była wiza tranzytowa na przelot przez Turcję. Jeśli tylko pozostaje się na lotnisku – dobrze, zaoszczędziliśmy 30\$. Przechodzimy po najlepszych sklepach w każdym częstując się darmowymi dla turystów próbkami czegoś, co przypominało owocową kauczuko gumę obsypaną mąką. Podobno przysmak deserowy w Turcji i wszędzie tego były pełne tace. Mieliśmy w sumie 2 godziny czasu na tranzyt, więc bez pośpiechu udaliśmy się na samolot do Delhi. Jeszcze przed wejściem do samolotu jakiś urzędnik na szybko sprawdzał czy mamy wizy indyjskie, ot tylko rzucając na nie okiem (to miało być sprawdzenie?), jak na razie mogłem ją sobie wydrukować i wkleić do paszportu, a nie przekopywać się przez wnioski, zdjęcia, kuriera do ambasady i płacić jeszcze za to 184zł, tyle kosztuje aktualnie wiza indyjska.

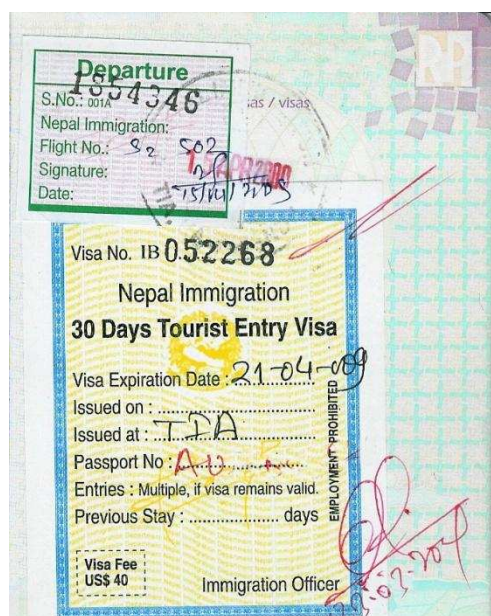
Punktualnie o 18:45 GMT+02, zgodnie z planem startujemy do Delhi dużym Airbusem A330. Lubię ten typ samolotu, przynajmniej pasażer się nie nudzi na pokładzie. W każde siedzenie wbudowany jest komputer pokładowy, z kilkucalowym dotykowym ekranem, gdzie można posłuchać muzyki, oglądnąć film z dostępnej wideoteki, sprawdzić aktualną pozycję samolotu na GPS czy pooglądać widoki z kamer pod samolotem. To standard w tych typach samolotów. Lot niestety był porą nocną, a szkoda, lecąc na wysokości 10-12km nad ziemią, przelatuje się tylko parę kilometrów nad 8-tysięcznikami Karakorum, podobno widoki są nieprzeciętne. Chłopaki próbują spać, ale nikomu z nas to jakoś nie wychodzi. W końcu po 8 godzinach lotu, oglądawszy już chyba wszystkie filmy z komputera, o 4 nad ranem czasu GMT+05:30 lądujemy w Delhi. Znowu idiotyczne formalności i wypełnianie jakichś głupich papierków, w których po 10 razy podaje się te same informacje, które są w paszporcie, jakby sobie tego nie mogli zrobić elektronicznie. Tutaj specjalnie nie kierowaliśmy się na tranzyt, chcemy wyjść na chwilę poza lotnisko. Pierwsza pieczętka w paszporcie, tym razem dokładne sprawdzenie wizy pod kątem oryginalności i już jesteśmy w sali przylotów. Powietrze już tutaj jest gorące i ciężkie, czekamy żeby wyjść na zewnątrz i zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Idziemy dalej przechodząc całe lotnisko, po chwili orientujemy się, że w zasadzie jesteśmy już na zewnątrz, tyle że pod dachem. Jest piąta rano, a tak gorąco jak tutaj, nie jest nawet w samo południe latem w Polsce. Zastanawiamy się, jak sytuacja wygląda w dzień. Uciekamy poza zasięg taksówkarzy i naganiaczy lokalnych hoteli. Tylko jeden z rozdających reklamy, był tak zdeterminowany, że wcisnął nam mapę Delhi, jak się później okazało, bardzo przydatną. Zasiadamy na murku parkingowym przed lotniskiem obserwując nocne życie. Przesiedzieliśmy tak może z godzinę tłukąc komary i ciesząc się faktem pobytu w Azji oraz choćby nocnym spotkaniem z tą egzotyką.

Niestety po wejściu do Sali odpraw (nad salą przylotów), nie można już z niej wyjść, po drodze kilka razy sprawdzają bilet i puszczają Cię dalej. Indie mają świra na punkcie bezpieczeństwa do tego stopnia, że co dziesięć metrów stoi strażnik i każdy sprawdza czy możesz wejść do hali odlotów. Po zamachach terrorystycznych w Bombaju w całym kraju obstawa lotnisk została bardzo rozbudowana. Siadamy w kącie na plastikowych krzesłach i usiłujemy spać. Jest około szóstej, zaczyna już świtać, a nasz wylot jest dopiero po jedenastej. Rafał z Marcinem jakoś usypiają w dziwnych pozycjach, mi to jakoś nie idzie, chodzę po małej sali lotniska. Rozmieniłem 5\$ w kantorze tylko po to żeby zobaczyć jakie mają banknoty. Oferty kilku biednych sklepów nauczyłem się już chyba na pamięć i czekam, aż tablica wylotów wskaże nasz lot i bramkę do której należy się udać. W końcu, 2 godziny przed odlotem oddajemy bagaże i przechodzimy, najpierw jedną kontrolę bezpieczeństwa na lotnisku w Indiach

a potem jeszcze jedną tuż przed wejściem do samolotu. Naprawdę bardzo irytujące są te ciągłe kontrole i wzrok jakbyś był szpiegiem.

## 2009.03.23 – Dzień 2 (poniedziałek) – Kathmandu

Godzina 13:45, GMT+05:45 (w Polsce jest godzina 09:00), międzynarodowe lotnisko w Kathmandu. Jak na stolicę, terminal jest mały, przypomina trochę lokalne lotnisko w Pyrzowicach – Katowice, czy Balice w Krakowie. Jest to dość dziwne, biorąc pod uwagę fakt, że jest to stolica gdzie przylatuje naprawdę dużo turystów. Komputeryzacja tu jeszcze nie doszła, wielkich, elektronicznych tablic informujących o lotach nie ma, te, które wiszą przypominają takie z jakiegoś zapomnianego dworca PKP w Polsce z literami na przeskakujących tabliczkach. Zaraz po przylocie, wąskimi



korytarzami przechodzi się do hali odpraw międzynarodowych. Można tutaj wypełnić wnioski o wizę, jeśli ktoś przyleciał nieprzygotowany i jeszcze jakiś niebieski arkusik papieru. My jesteśmy jednak przygotowani i od razu ustawiamy się w kolejce. Ponownie, XXI wiek, era komputeryzacji i po raz któryś na kawałku papieru trzeba wypisać swoje imię, nazwisko i szereg innych informacji, które się przecież znajdują w paszporcie i mogą być zeskanowane. Biurokracja nas, kiedyś wszystkich zabije. Może to i jest biedny Nepal i tutaj nie mogą inaczej, ale takie świstki wypełnia się przy wjeździe do każdego kraju, który nie jest w UE a

potem i tak idą do kasacji, bo nie wierzę, że gdzieś trzymają takie tony papierów.

Wiza nepalska, według informacji z Internetu, podrożała od zeszłego roku o 10\$ i zapłaciliśmy za nią 40\$ czekając najpierw w bardzo długiej kolejce wypełnionej chińczykami, których przyleciał chyba cały czarter ze zorganizowanej wycieczki. Marcin nie miał zdjęcia wymaganego do wniosku wizowego, zapomniał zabrać z Polski. Zaraz po przyjeździe do hali zagaduje strażnika, czy można tutaj zrobić zdjęcie, ten się śmieje i pokazuje budkę za mną z napisem PHOTO. Mówi, że jeszcze przed rokiem, zdjęcie nie było wymagane do wniosku. Potem jakiś przedsiębiorczy fotograf postawił tutaj budkę i najwyraźniej miał znajomości, bo od tamtej pory każdy musi mieć fotografię. Marcin zapłacił astronomiczną jak na Nepal sumę 10\$ za dwa krzywo wycięte zdjęcia, zrobione naprawdę amatorskim, cyfrowym kompaktem.

Po dobrej godzinie schodzimy na parter lotniska, nasze bagaże na szczęście nigdzie nie zaginęły i już krążą na taśmie. Kierujemy się w stronę wyjścia ...zaczyna się, ...Nepal, kraj który chciałem odwiedzić od najmłodszych lat, sam nie wiem czemu. Może w poprzednim wcieleniu tutaj żyłem.

Jeszcze dobrze nie przekroczyliśmy ostatniej bramki, jak już zainteresował się nami jakiś naganiacz – proponował hotel i w zasadzie dobrze trafił, nie mamy żadnego zaczepienia w Kathmandu. Po krótkiej prezentacji hotelu, zdjęć i opowieści, jaki to w ogóle jest luksus, w końcu odpowiedział na moje pierwsze i powtarzane co kilka jego słów pytanie: „How much?“, zaproponował 15\$ za nas trzech w 3 osobowym pokoju. Cena oczywiście się nam nie spodobała i zaraz zacząłem negocjować mówiąc, że w Kathmandu można znaleźć nocleg w cenach od 100 rupii (5zł), w górę, a my do tego nie szukamy luksusów, potrzeba nam tylko noclegu gdziekolwiek, na dwa dni. Po kilkakrotnym takim powtórzeniu i jego reklamach, że może jednak zdecydujemy się na luksus jako oferuje, popatrzyłem na nas zrezygnowany i pokazał zdjęcie hotelu obok. Teraz okazało się, że reklamuje dwa hotele, proponując, że jest nasz za 3\$ od głowy, krótkie spojrzenie na chłopaków i się zgadzamy, tym bardziej, że dorzuca taksówkę za darmo. Tak łądujemy w hotelu *Encounter*.



Wychodzimy przed lotnisko, wraz z otwarciem drzwi, tutejszy klimat i gorąco uderza jeszcze bardziej. Zaraz pod budynkiem stoi szereg taksówek. Akurat pierwsza z nich, ta na wylocie, jest w tak tragicznym stanie, że chyba sam Indiana Jones bałby się czymś takim jechać i na żadnym filmie nie widziałem go w podobnym pojeździe. Stary, biały samochód kształtem przypominający naszego dużego fiata, bez szyb w przednich oknach, kierunkowskazy, jak się później okazało, nie działają, kierownica po prawej stronie samochodu (w Nepalu ruch uliczny jest lewostronny, choć to czasem trudno stwierdzić) i całość wygląda, jakby się zaraz miała rozlecieć. Naganiacz od hotelu dodaje jeszcze, że możemy kierowcy dać napiwek jak się nam spodoba jego styl jazdy. Z daleka widać egzotykę miasta, ruszamy i od razu przy wyjeździe z lotniska kierowca wali w klakson – piiiip! Pomyślałem, że może to taki radosny zwyczaj zatrzeć sobie, jak się rusza. Nie przejechaliśmy więcej niż 10 metrów do zakrętu a kierowca znowu po klaksonie. Minął go inny kierowca i to znowu dobra okazja, żeby uderzyć w klakson ...przez całą jazdę do hotelu, będzie tego może z 7km, kierowca niezliczoną ilość razy uderzył w klakson i co jest straszniejsze, tak robią tutaj wszyscy na ulicy. Hałas i zgiełk powodują tym nieprzeciętny. Ze względu na bardzo ciasne mijanie innych uczestników ruchu, wiele samochodów nie ma bocznych lusterek, więc jak się



gdzieś przód zmieści to znaczy, że cały samochód przejedzie. Nasza taksówka, jak też kilka innych, boczne lusterka ma na masce silnika i nie wystają one poza bryłę samochodu. O stylu jazdy Nepalczyków czytałem jeszcze przed wyjazdem, ale pobłażliwie, teraz zrozumiałem co tu się dzieje. Tutaj każda okazja, manewr, wejście w zakręt czy wymijanie jest potwierdzane/uprzedzane klaksonem. Klakson zastępuje tutaj komunikaty: uwaga jadę, uwaga wchodzę w zakręt, uwaga wyprzedzam, uwaga ktoś mnie wyprzedza itd. Tego typu komunikaty można wymieniać w nieskończoność. W samochodzie może się zepsuć wszystko poza silnikiem i klaksonem, w naszej taksie nie działają kierunkowskazy, ale co z tego? ...klakson był.

O dziwo, nie mieliśmy żadnego wypadku czy stłuczki, choć kilkakrotnie byłem, więcej niż pewny, że zaraz w coś wytrąbimy, tym bardziej, że Nepalczycy z dwupasmowej jezdni z powodzeniem robią czteropasmowy tor, mijając się dosłownie na centymetry z innymi obiektami na drodze. Jadą tędy poza samochodami jeszcze riksze, idą piesi, jest strasznie dużo motorów, a gdzieniegdzie wałęsają się święte krowy, skutecznie tamując ruch. Styl jazdy tutaj panujący jest dla Europejczyka po prostu nie do pojęcia, odczucie przytłoczenia potęguje mijana sceneria biednych slumsów. W ogóle zastanawiamy się czy istnieje coś takiego jak prawo jazdy, obowiązek ubezpieczenia, czy chociażby światła uliczne ...przejechaliśmy całe centrum i nie widzieliśmy ani jednego skrzyżowania ze światłami.

Po 20 minutach drogi jeszcze w szoku stylu jazdy i tego co widzieliśmy na ulicach, dojeżdżamy do hotelu. Ładne, dość czyste podwórko i salutujący facet otwierający bramę zrobiły na nas dobre wrażenie od samego początku. Recepcja też w sumie niczego sobie, cały hotel w marmurze i dość ładnie urządzone, chwilę się zastanawiam czy to na pewno ten gorszy. Odbieram klucz do pokoju i idziemy na górę, otwieram, wchodzimy do środka i po prostu szok, rozkładamy rzeczy, śmiejemy się i podziwiamy standard (dość przyzwoity), jaki nam się dostał za około 10zł na osobę za noc. W Polsce za to nie można dostać miejsca na podłodze w schronisku, a co dopiero hotel w stolicy, poniższe zdjęcie przedstawia poglądowo pokój, jaki nam się trafił.



Po marmurowych schodach, schodzimy na dół, w mini biurze turystycznym na parterze czeka na nas manager hotelu. Najpierw dopełniamy formalności związanych z rejestracją w hotelu i jako że prowadzi też małe biuro turystyczne, przechodzimy do sprawy zasadniczej. Chcemy kupić bilety lotnicze do *Lukli*, najdalej na pojutrze. Dobrze się złożyło, oszczędziliśmy sobie szukania biletów gdzieś w mieście. Najpierw wyskakujemy z helikopterem, gdyż jest nawet tańszy niż zwykły samolot. Stwierdza, że owszem, jest dostępny, jest tańszy przy dużej liczbie osób i może mi go wyczarterować, ale niech mu pokaże licencję pilota. Niestety nie chciał się przekonać, że mam wylatane 30 godzin na symulatorze, chciał to na papierze. Innej możliwości nie było, więc z helikoptera zrezygnowaliśmy i obiecaliśmy sobie rozejrzeć się za czarterem helikoptera razem z pilotem w drodze powrotnej. Prosimy, więc o cenę biletu w jedną stronę do *Lukli*, manager na to, że tak się nie robi i my w ogóle jacyś dziwni jesteśmy i to jest bardzo drogo. Proponuje nam bilet w obie strony z biletem otwartym (termin do potwierdzenia), w drodze powrotnej. Po długich negocjacjach cenowych (siedzieliśmy u niego prawie godzinę), udaje się nam utargować cenę 205\$, z jego początkowej 215\$ i bilety na pojutrze, czyli na razie zgodnie z planem. Przyznam, że po tej wizycie straciłem wszelką chęć jakichkolwiek pertraktacji z kimkolwiek, prawie godzina poświęconego czasu i wytargowaliśmy całe 10\$, a sprzedawca był nieugięty, my cenę w dół, on w górę.

Wracamy do pokoju (godzina dziewiętnasta) i zastanawiamy się co robić, jesteśmy zmęczeni po podróży samolotem (jeszcze w zasadzie nie spaliśmy od wylotu z Polski), ale wychodzimy na chwilę na ulice Katmandu. Sam nie wiem po co, ale idziemy, przeszliśmy w sumie może ze dwa kilometry, zataczając kółko wokół hotelu.

Po przejściu już czystymi slumsami Kathmandu wracamy do dzielnicy, w której mieszkamy – THAMEL. Co widzieliśmy? Ludzi śpiących na ulicy, ubóstwo, krowy wałęsające się po ulicach, brud i kulturę (zupełnie różną od europejskiej), której nie rozumiemy, totalny szok kulturowy.



Po powrocie do hotelu mniej, więcej około godziny dwudziestej, decydujemy, że spróbujemy lokalnego piwa w ogródku hotelowym. Pięć minut później jesteśmy już na dole przeglądając menu i co wybieramy? Widząc pierwszą pozycję, choćby na następnej był zimny Żywiec prosto z Polski za pół ceny, to bym się nie zdecydował. Na pierwszej pozycji był *Everest Beer*, w cenie 192 rupii (9,5zł), jak głosi napis na butelce robione na bazie wody z góry. Piwo w Nepalu jest po prostu w kosmicznej cenie w porównaniu z innymi alkoholami. Dla porównania litrowa butelka wody mineralnej kosztuje tylko 15 rupii (70gr.) a pół litra dobrego ginu 450 rupii (22zł), czyli równowartość dwóch piw. W zasadzie tani, mocny alkohol jest w tej samej cenie za pół litra co dobre piwo, do dziś nie wiem dlaczego. Cena może wysoka, ale na brak pieniędzy jeszcze nie narzekamy, poza tym to piwo nazywa się Everest, być tu i nie pić to prawie jak nie być. Po mile spędzonej godzinie prosimy o rachunek i tutaj widać na czym koszą ...sprytni tubylcy w cenniku podali ceny netto(!), doliczają 12% podatku i jeszcze tzw. „Service charge” w wysokości 15% w zależności od lokalu. W sumie zostawiamy w tej knajpie, razem z napiwkami 800rs (40zł) za wypicie trzech browarów. To więcej niż zostawimy w hotelu za nocleg (~720rs). Jedno jest pewne, już, więcej nie pijemy piwa w lokalnej knajpie, daliśmy się nadziei jak, bogaci turyści z Zachodu.

Wracamy do pokoju, prądu oczywiście nie ma. Nepal ma niesamowite problemy z energią elektryczną, żeby jej wystarczyło dla wszystkich większych miast, przełącza się je co kilka godzin tak, aby w każdym przez kilka godzin był prąd. (sytuacja dla Kathmandu się już zmieniła w kilka miesięcy po naszym wyjeździe). Prąd jest tylko przez dwie godziny w porze popołudniowej, kiedy to ewentualni turyści właśnie docierają do hoteli oraz przez około dwie godziny w porze nocnej o czym się jeszcze dzisiejszej nocy przekonam. Manipulujemy włącznikami, działa tylko jedna wążła świetlówka zasilana z baterii słonecznych ładowanych za dnia. W łazience za to nie ma już nic, ale przewidująca obsługa zostawiła dwie świeczki – powinno wystarczyć. Sprawdzam wodę w kranie, oczywiście zimna, korzystając z tego, że jestem jeszcze rozgrzany biorę zimny prysznic, bo przecież jak to się tak po całym długim dniu nie umyć? Jest dziesiąta w nocy, wbijamy się w śpiwory i usiłujemy spać, ale jakoś nie mogę. Chyba cały ten szok tutejszej kultury, ich stylu jazdy, ludzi śpiących na ulicach, tego wszechobecnego brudu i śmieci, świętych krów i w ogóle tego jak ludzie tutaj żyją. Takich slumsów nie widziałem nawet w najlepszym filmie pokazującym między innymi życie w slumsach: „*Slumdog*”. Z reguły nie jestem jakoś szczególnie wrażliwy, ale pierwszy raz spotkaliśmy takie ubóstwo prosto przed nami, na żywo. Brudne ulice, dzieci w błocie, wszędzie śmieci. O tym można czytać, można oglądać zdjęcia, widzieć film, reportaż, ale w każdym tym przypadku jest się w czystej Europie, przed telewizorem i się tego tak naprawdę nie zrozumie. Ja nie rozumiałem, dopóki się tego samemu nie pozna, nie poczuje i nie zobaczy na własne oczy. Przewracam się z boku na bok nie mogąc spać, po odgłosach wydawanych przez Marcina i Rafała wnioskuje, że też nie mogą spać. Sprawdzam godzinę, jest około północy, właśnie mija prawie czterdzieści godzin od ostatniego snu, a ja dalej nie mogę zmrużyć oka. W końcu chyba bardziej z przemęczenia, powoli odpływam, przed oczami ciągle mając ubóstwo ulic Kathmandu.

### **2009.03.24 – Dzień 3 (wtorek) – Kathmandu**

Godzina trzecia nad ranem, śpię bardzo słabym snem przez co nagle rozbłyskające w całym pokoju światło i brzęk świetlówek, budzi mnie prawie natychmiast. Gdzieś w piwnicy włączają się z hukiem pompy tłoczące wodę w porze nocnej na dachy budynków. Czuję się dziwnie wyspany i początkowo jestem przekonany, że jest już co najmniej szósta rano, a światło to taki sposób porannego budzenia gości hotelowych, choć nie przypominam sobie, żebym zamawiał budzenie a drzwi są ciągle zamknięte. Włączam telefon, sprawdzam godzinę i nie wierzę, jest trzecia nad ranem. Wyłączniki światła zostawiliśmy nie w tej pozycji co trzeba, przyszła nocna pora dostawy prądu i stąd światło w pokoju. Wywlekam się powoli ze

śpiwora i gaszę światło przy okazji podłączając ładowarkę do telefonu. Wracam do śpiwora i znów czekam na sen, w końcu przychodzi wraz ze świtem, może z godzinę albo dwie zanim wstaniemy.

Godzina ósma rano, wstajemy dość wcześnie, nie wiadomo czy Kathmandu uda się nam jeszcze odwiedzić i mieć na tyle wolnego czasu, żeby coś zwiedzić. Optymistyczny plan trekkingu zakłada 4 dni rezerwy, ale przerażeni mitem choroby wysokościowej, nie jesteśmy pewni, czy nie będzie poślizgu. Teraz jest być może jedyna okazja, zwiedzenia tego egzotycznego miasta. Odpowiednio wcześniej przestudiowałem już mapy Google i zazaczyłem najważniejsze zabytki oraz wydrukowałem wszystkie znalezione mapki miasta, jak się okazało, bardzo przydatne. Pierwszy na liście jest oczywiście *Durbar Square*, stare miasto, a raczej kompleks świątyń i pałaców w znakomitej większości zbudowanych z drewna i historią sięgającą XVII wieku, choć widać na nich ślady uszkodzeń przez trzęsienia ziemi czy bardzo zapyloną atmosferę.

Wychodzimy z hotelu i najpierw klucząc po wąskich uliczkach, wychodzimy w końcu na jedną z głównych dróg w Kathmandu – *Kantipath*. Po drodze idziemy chyba samymi kanałami, samochody dalej mijają się na dosłownie centymetry trąbiąc przy tym przy każdej nadarżającej się okazji. Do tego motory i tubylcy, którzy najwyraźniej odporni, mają wszystko w czterech literach i idąc środkiem drogi, leniwie czasami usuwają się na skraj. Nowego turystę w mieście można poznać po tym, że na każdy klakson ucieka na pobocze, przecież w cywilizowanych krajach klaksonu nie słyszy się często.



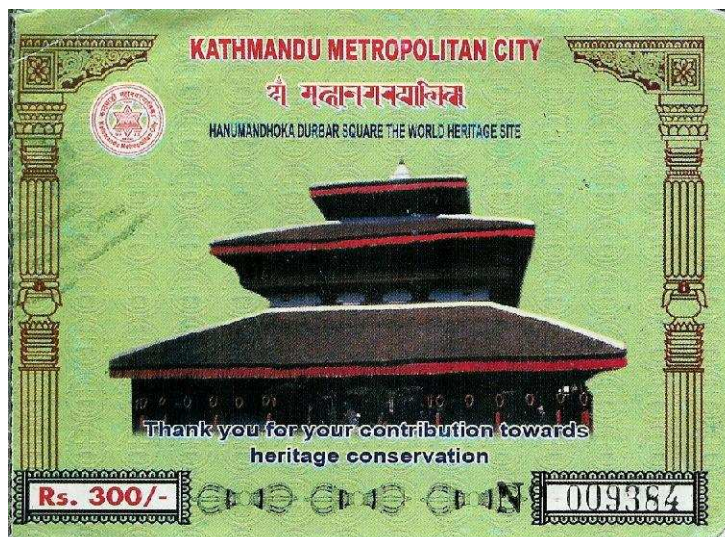
*Kantipath* jest dość szeroką, aż trójpasmową jezdnią w każdą stronę, oczywiście jej szerokość tutaj nic nie zmienia, tubylcy i tak jadą taką jedną zwartą masą samochodów, robiąc z niej czteropasmową jezdnię, a miejscami nawet pięciopasmową, w jednym kierunku i nie ma w tym nic dziwnego. W zasadzie to się zastanawiam czy nie szkoda im farby na malowanie pasów na jezdni i tak ich nikt nie przestrzega. Z moich obserwacji wynika, że jest to jedyna oświetlona ulica miasta, gdyż tylko tutaj widzę latarnie uliczne, później doczytałem, że się nie myliłem. Obok zdjęcie z *Kantipath* w tle.

Jedną z, bocznych ulic jest New Road, specjalnie idziemy tą trasą, żeby odwiedzić główną i chyba jedyną pocztę w stolicy, której lokalizację namierzyłem, na

jednej z wydrukowanych map. Koszt kartki pocztowej to 10 rupii + 25 rupii na znaczek do Polski, w sumie 35rupii na jedną kartkę (1,75zł), do wysłania mam dziewięć sztuk. Adresy przygotowałem sobie jeszcze w Polsce na samoprzylepnych etykietach (nie tracę teraz czasu na wypisywanie adresu), zastanawiałem się czy życzeń też tak nie przygotować, ale to chyba by była lekka przesada. Ciekawe ile im zajmie droga do Polski.

Wychodząc z poczty, zahaczamy o małą restaurację dla bogatych turystów, standard powiedziałbym europejski. Zasiadamy pod oknem na pierwszym piętrze, tak żeby na widoku mieć ulicę i przeglądamy menu. Niestety, tutejsze nazwy jedzenia mimo, iż niektóre pozycje są w języku angielskim, niewiele nam mówią. W końcu przychodzi kelner, a my dalej nie wiemy czym tu się najść, wskazuję, więc palcem na jeden z obrazków w menu i pytam co to? Kelner: „*mani puri*”, ...no to daj mi talerz, Marcin i Rafał biorą to samo. Obrazek przedstawia apetyczne wysmażone kulki, najpewniej nadziane czymś dobrym. Oczekując na jedzenie przypominam sobie, że przewodnik pana K. opisuje *mani puri* jako przepyszny tybetański chlebek. Po dwudziestu minutach oczekiwania dostajemy dwa kubki wypełnione jeden zielonym, drugi czerwonym gęstym płynem, w smaku bardzo ostre i około 10 takich pustych nadmuchanych kulek, każda ważąca nie, więcej niż kilka gramów. Doprawdy nie wiem, jak można sobie pojeść czymś takim i co w tym przepysznego? Poza tym, nie bardzo wiadomo, jak to jeść, wlewać to ostre do środka, czy te kulki w tym maczać? Nie znając kuchni, daliśmy się nadziać, ale już trudno. Zostawiamy w knajpie 35rs (1,74zł), za *mani puri* i drugie 35rs za kole. To w zasadzie był ostatni posiłek w knajpie dla turystów, nastawiamy się na poznanie tego kraju, więc kuchnia typowo lokalna też nas interesuje.

Po posiłku uderzamy najkrótszą trasą na New Road, która w prostej linii prowadzi do *Durbar Square* i znowu w wychwalanym przewodniku K. wyczytałem, że od niedawna za wejście jest pobierany wstęp, więc jestem przygotowany. Przy bramie ściągają od nas 300 rupii (15zł), wydając całodzienny bilecik (taki na tydzień kosztuje 750rs). Lokalni wchodzi bez płacenia, obywatele krajów SAARC (*South Asian Association for Regional Co-operation*), czyli Indie, Afganistan, Pakistan, Buthan i Bangladesh wchodzi za 100 rupii. Gdzie tutaj sprawiedliwość? Koszą turystów na czym się da i gdzie się da, no, ale *Durbar Square* trzeba zobaczyć.



Po drodze kupujemy jeszcze pamiątki i mapę *Khumbu* (250rs = 12,44zł), na przydrożnym straganie, których jest tam dość dużo, stary uśmiechnięty staruszek nie ma mi wydać 5 rupii i mówi, żebym sobie za to wybrał widokówkę (normalna cena 10), trochę mi to nie po drodze, bo kartki już wysłałem, ale wybieram kartkę z widokiem *Swayambhunath*. Kupujemy jeszcze naszywki na plecaki, Marcin ubiegł Rafała i wybrał ostatnią z napisem *Khumbu trek*, tłumacząc, że tylko wtajemniczeni będą wiedzieć, o co chodzi. Ja nie podzielałam tego wtajemniczenia i kupuję naszywkę z bardzo zrozumiałym napisem „*Nepal Everest Treking*”.



Jeszcze jednym obowiązkowym miejscem do odwiedzenia jest kantor, po poszukiwaniach w całym mieście najlepszego kursu wymiany, o dziwo na najlepszy trafiamy w samym centrum *Durbaru*, za jednego dolara oferują 79 rupii, obok kupka pieniędzy jaką dostaliśmy za wymianę pierwszych 400\$. Wprawdzie są to drobne pieniądze, maksymalny spotkany przeze mnie banknot to 2000rs, jednak za 100rs można się tutaj spokojnie a co najważniejsze, dobrze wyżywić przez cały dzień.

Te same banknoty w Nepalu występują obecnie w dwóch wersjach. Zdecydowanie ładniejszy jest nowy nominał z widokiem na Everest. Jak wspominałem we wstępie Nepal z monarchii stał się republiką, a stało się to po obaleniu długo rządzącego króla. Obecnie Federalna Demokratyczna Republika Nepalu, po trwającej prawie 10 lat wojnie domowej i zakończonej w rocznicę moich urodzin (21 listopada 2006), powoli się stabilizuje. W maju 2008 roku, oficjalnie, zgromadzenie narodowe

zniósł monarchię, nakazując królowi, wraz z rodziną opuszczenie pałacu królewskiego. Maoiści czyli rebelia i przedstawiciele biednej ludności, doszli w końcu do władzy. Dziś pałac można zwiedzać za niecałe 500rupii (25zł), mimo wysokiej jak na Nepal ceny kolejki są do tego takie, że w życiu nie widziałem do czegośkolwiek większej. Oczywiście nie chciało nam się wstawać o 6 rano, więc nie skorzystaliśmy z okazji.

Jedną z wprowadzonych zmian, jest nowa postać waluty. Dotychczasowy wizerunek króla *Gyanendra*, (brata poprzedniego, zabitego w zamachu w 2001r.), został zastąpiony, bardziej uniwersalnym i ponadczasowym wizerunkiem Everestu. Być może nowy prezydent znowu to zmieni, ale ten jeszcze nie jest wybrany. Poniżej stary i nowy banknot 100rs, który udało mi się przywieźć do Polski, poza opisaną zmianą, różnią się tylko drobnymi detalami.



Nie spieszymy się szczególnie zwiedzając stare miasto, możemy już tu nie wrócić, jeśli przedłuży się nam pobyt w górach. Poniżej jedno ze zdjęć z tamtejszymi braminami, oczywiście, za darmo nie pozwolili, widać fachowcy znający się też na nurkowaniu, co można poznać po ułożeniu palców rąk (międzynarodowy gest OK).





Obok widok na najpiękniejsze pagody całego *Durbar Square*, bardzo egzotyczne miejsce. Święte krowy pasą się tam wprost na ulicy, tylko miejscami trzeba uważać na placki, którymi bruk jest gęsto usiany.



Spędzamy tutaj dłuższą chwilę oglądając wszystkie pagody, gompys i świątynie, a nawet zapalając z Marcinem fajkę na szczycie jednej z nich. Tutaj ciekawostka pokazująca różnice między Polską, a Nepalem, niedawno miałem okazję zwiedzać zabytkowy, drewniany kościółek św. Michała Archanioła w Dębnie Podhalańskim. Bardzo ładny, gotycki kościółek leży na małopolskim szlaku architektury drewnianej, wpisanym na listę UNESCO, podobnie jak cała dolina *Kathmandu* w Nepalu. Ksiądz w

Dębnie opowiadał o rewolucyjnym systemie gaszenia pianą na wypadek pożaru. Do samego wnętrza też trudno się dostać, gdy wilgotność powietrza przekracza dopuszczalną normę. Cały budynek też jest oczujnikowany centralnym systemem pożarowym i w razie choć odrobiny dymu, natychmiast informowane są wszystkie okoliczne straże. Teraz Nepal, wprowadzie pagody są dwa wieki młodsze niż obecny kościółek w Dębnie (XV i XVII wiek), ale można na nich wszystko. Jakby te pagody były w Polsce i dwóch turystów paliło sobie na nich, to byśmy dawno dostali karę 1000zł za próbę zapraszania ognia. Systemu gaszenia żadnego nie ma, nikt nikomu nie zwraca uwagi, pełna wolność.

Po godzinie podziwiania zabytków, wyruszamy powoli na wschód w stronę góry *Swayambhunath*, na której stoi najstarsza w Kathmandu buddyjska stupa, zwana także świątynią małp. Zgodnie z przeczytanymi informacjami, prowadzi do niej 365 stopni kamiennych schodów i jest najważniejszą buddyjską świątynią Nepalu. Andrzej Strumiłło w swojej książce "Nepal" opisuje, że według historii, dawno temu dolinę Katmandu otaczały góry i wypełniało wielkie Jezioro Węży. Budda *Wispaśji*, idąc z miasta *Bandhumati*, wrzucił do niego nasienie lotosu. Z wody wyłonił się kwiat, a nad nim ukazał się błękitny płomień. Przybyły z Wielkich Chin *Bodhisattwa Mańdżuśri* ognistym mieczem rozciął góry i wody odpłynęły z nurtem *Bagmati* do świętego Gangesu. Uczniowie *Mańdżuśrego* wzniesli tu miasto *Mańdżupatan*, a w epoce *Tretajuga* król *Praczanda Dewa* okrył kwiat stupa.

Przechodzimy przez miasto, trochę głównymi ulicami, trochę małymi i mniej uczęszczanymi uliczkami, im dalej za miasto, tym brudniej. Zapachy też są nie najlepsze, po drodze mijamy rozkładające się na ulicy zwłoki świętej krowy, obok w tym przepięknym zapachu, niczym niezrażone bawią się dzieci. Tutaj nie ma rozróżnienia pomiędzy śmietnikiem a ulicom, zlewają się płynnie w jedno. Miejscami śmieci jest więcej, miejscami mniej, jak się nazbiera trochę za dużo to miejscowi to po prostu podpalają. Z czasem nauczyłem się, że wyrazem szacunku dla ulicy, jest dorzucenie jakiegoś odpadka. Tylko na początku sprawiało to trudność, potem robiłem to już bezceremonialnie, jest ich tu tyle, że jeden więcej czy mniej nie robi różnicy w mieście gdzie nie ma koszy na śmieci. Służby oczyszczania miasta czy kosze nic tutaj nie wprowadzą. Żeby tutaj coś zmienić, trzeba zmienić mentalność ludzi a to jest najtrudniejsza reforma.

Dochodzimy już do mostu i przechodzimy przez świętą rzekę *Bagmati*, świętą z racji tego, że wpływa do *Gangesu*, tak jak sam *Ganges* też jest święta, co w niej świętego? Sam nie wiem, ale polskie ścieki są niejednokrotnie mniej zanieczyszczone, woda przypomina tutaj brunatną maź, która wolno płynie korytem wydzielając przy

tym bardzo zapadający w pamięć zapach. Jestem pewien, że cokolwiek napiłoby się tej wody umarłoby śmiercią natychmiastową. Wbijamy się jeszcze na godzinę do kafejki internetowej, za szybka nie jest, ale wystarcza, żeby wysłać dwa maile za całą godzinę. Zahaczamy jeszcze o mały sklepik kupując wodę i pytając o ceny piwa, niestety w całym mieście okazują się być podobnie wysokie. Pytam małego chłopca tam sprzedającego o drogę, ale ten angielski zna średnio, a jeszcze na słowo stupa dziwnie się patrzy. W zasadzie to nie wiem, jak jest stupa po angielsku, myślałem, że tak samo. W końcu mnie oświeciło, wyciągam kartkę pocztową, którą kupiłem jeszcze na *Durbarze*, coś mnie jednak dobrze tknęło, żeby wybrać kartkę ze stupą.

Według książkowego przewodnika pana K. ostatnie kilkaset metrów prowadzi przez las, gdzie trzeba uważać na złośliwe małpy i oczywiście przy bramie głównej również pobierają wstęp. Jesteśmy już i tak biedniejsi o 300 rupii, które zapłaciliśmy przy wejściu na stare miasto, więc tym razem nie damy się wykiwać. Dochodzimy do kamiennych schodów na skraju lasu i bezceremonialnie skręcamy w prawo na lokalne stragany, poszukamy sobie drogi na dziko. Idziemy może ze 100 metrów, podziwiamy młynki modlitewne kręcąc nimi, robimy parę fotek, Rafał kręci urywki wideo. Nagle dopada nas banda żółtych namaste (braminów), jak ich potem nazwaliśmy. Podobni do tych, z którymi robiliśmy sobie zdjęcia. Zanim się zorientowałem co się dzieje, miałem już na głowie kwiaty jaśminu, a bramin z poważną miną odmawiał błogosławieństwo, znacząc mnie przy tym czerwoną farbą na czole. Jego modlitwa w Nepali języku kończyła się dwoma angielskimi słowami „*one hundred*” i uśmiechem, ...zaraz, co? stowa za trochę farby? Oglądam się na Rafała, który już w tym momencie zaczął odchodzić: Rafał, ile Ty mu dałeś? „niech spada, dałem mu dwie dychy żeby się odzpecił”. Bez zbędnego rozmyślenia, sięgam do kieszeni, gdzie noszę drobne i wręczam mu dwie dychy w tym samym momencie skręcając już w przeciwną stronę. Przy okazji ratuję Marcina, który drobnych nie miał, drugą pozostałą mi dwudziestką. Morał na przyszłość, to zabrać ze sobą czerwonego zmywalnego markera, pozwoli zaoszczędzić na tym ceremoniale, na tyle, że inni spotkani po drodze namaste już nas nie pastowali, a tylko się uśmiechali, myśląc „kolejni naiwni turyści dali się oskubać”.

Po kolejnych stu metrach, już naznaczeni spotykamy małą bramkę prowadzącą w las i pod górę, bingo... uciekamy w małą uliczkę i już jesteśmy na prostej drodze leśnej, powoli przechodzącej w schody pod samą stupę. Po drodze przyczepił się do nas pies, najpierw jeden potem zawołał kolegę, widać też wchodzi bez biletu. Nie uszliśmy 50 metrów jak z krzaków wyskoczył kolejny. Warkiem na powitanie pewnie chciał nas nastraszyć, ale widząc już dwa psy nam towarzyszące pomyślał pewnie, że jesteśmy swoi, więc złagodniał i się dołączył. Małe wyjaśnienie, w Polsce wałęsające się samopas psy zazwyczaj są chore i niebezpieczne, należy się takich bezwzględnie

wystrzegać, przynajmniej tak nas uczą od dziecka – bezdomne zwierzęta? – unikać. Tutaj? Psy są nieodłączną częścią ulic, nie są niebezpieczne, jest tutaj tak gorąco, że leżą gdzie popadnie dogorywając tak powoli na ulicy, niejednokrotnie idzie taki, nagle się położy na ulicy i tubylcy go po prostu obchodzą, nie traktując jak nadzwyczajne zjawisko. Obchodzą, bo mają tutaj niebywały szacunek dla zwierząt.

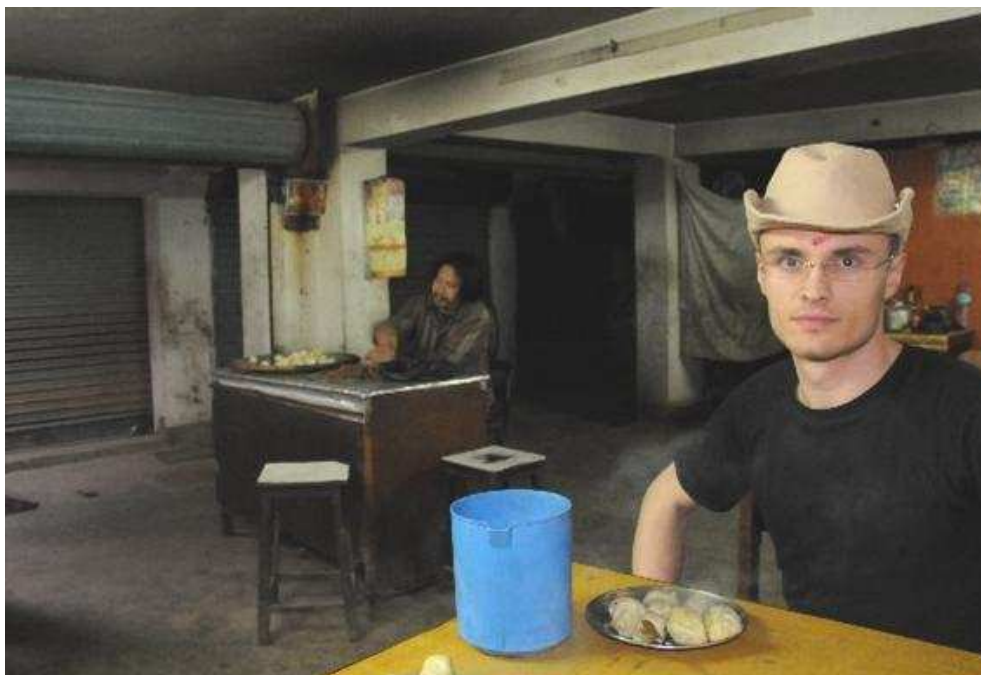
Odkąd weszliśmy do lasu najpierw po krzakach i stopniowo coraz bliżej góry, widoczne są małpy, a nawet całe ich stada ganiające tutaj po drzewach i wiszących na ogonach nad przejściem. Najwyraźniej jedna z nich wyczała, że weszliśmy bez biletu, stanęła na drodze i ani rusz. Dobrze, że specjalnie na tą okazję zatrzymałem orzeszki, które rozdawali w samolocie na deser. Podszedłem do małpy, ta dalej siedzi i nic, wyjąłem orzeszki, rozpakowałem, zjadłem jednego ...małpa dalej nic, tylko patrzy. Podałem jej dwa, niechętnie zabrała i zaczęła gryźć, a raczej odgryzać po kawałku orzeszka szukając chyba nadzienia. Załatwiła w ten sposób dwa orzechy, po czym widząc, że nie mam jej nic więcej do zaoferowania, niechętnie usunęła się na bok. Dobrze, towarzyszące nam psy zaczęły tracić cierpliwość.



Oczywiście nie uszliśmy więcej niż 100 metrów, jak na drogę wpadła kolejna małpa. Pech chciał, zjadłem już wszystkie orzeszki i nie miałem na myto, jednak w tym samym momencie uprzedził mnie towarzyszący pies, ratując mnie z opresji i pogonił małpę skąd przyszła. Zaraz potem był już tak zmęczony, że położył się i dogorewał dalej. Zanim doszliśmy do góry z trzech towarzyszących nam psów został jeden, który zaraz potem, poszedł eskortować następnych turystów, chyba jedyna usługa za którą nie trzeba tu płacić.



Chwilę kręcimy się po górze podziwiając tutejsze zabytki i oganiając się z lokalnych sprzedawców, a to młynków modlitewnych, a to czegoś innego, na szczęście nie są nawet w połowie tak nachalni jak Arabowie, więc można przeżyć. Słońce już zachodzi gdy wracamy na dół i jesteśmy już trochę głodni, mijamy jedną i drugą restaurację dla bogatych turystów, w końcu wpadamy w jedną z bocznych uliczek do piwnicy skąd unosiła się para, taka jadłodajnia dla tubylców. Speluna jakich mało, odrapane, brudne ściany, pod którymi ustawione są nie bardziej czyste stoły. Pośrodku tego wszystkiego stół, na którym są kolejno: kupa ciasta, kupa mielonego mięsa nieznanego pochodzenia, niezbyt apetycznie wyglądająca i kupa zrobionych pierogów.



Zadajemy bardzo częste tutaj pytanie „*how much?*”, po czym dowiadując się, że za 25rs (1,25zł), możemy zjeść talerz tych klusek, zasiadamy w kącie. Lokalny

tubylec z długimi włosami (zapewne hipisowskie korzenie), odlepia najpierw kawałek ciasta, lepi z tego placek, w który zawija trochę mięsa i tak powstają te kluski, jak się później dowiedzieliśmy: *momo*, klasyczne jedzenie tubylców, w naszym wariacie wrzucane jeszcze parę minut na parę choć można je też smażyć (moim zdaniem znacznie lepsze). Przez chwilę się tylko zastanawiamy czy jedzenie niepewnych potraw grożących rozstrojeniem to dobry pomysł na początek. Jeśli po tym jedzeniu, w tym standardzie nie będziemy mieć żadnych problemów, to nic nam nie będzie groźne. Zastanawiamy się też czy hipis od klusek należy do jednych z tych, którzy znają, czy też nie, papier toaletowy. Można bardzo często przeczytać, że lokalni niekiedy zamiast papieru (mało popularny), używają lewej ręki i wiaderka z wodą.

Do hotelu wracamy gdy jest już zupełnie ciemno. W świetle co bardziej luksusowych sklepów i świateł przejeżdżających aut, orientujemy parę razy wydrukowaną mapkę, w stosunku do kompasu i odnajdujemy drogę. Czołówki zostały w hotelu, nie spodziewaliśmy się wracać po ciemku, w ciasnych uliczkach Kathmandu pierwszego dnia w mieście, można naprawdę zgubić drogę. Na jednej z głównych ulic w tej ciemności przerywanej jedynie reflektorami pojazdów, nagle Rafał wpada po pas w szambo wypełnione do połowy kupą. Moja pierwsza reakcja to śmiech, jednak szedłem za blisko niego i fala uderzeniowa jaką tą wpadką spowodował dosięga mnie po nogawkach. Niestety nie zrobiłem wtedy zdjęcia, ale sandały, całe spodnie do kolan miał w brunatnej śmierdzącej mazi. Po powrocie do Kathmandu zdołałem jeszcze odnaleźć tą dziurę na poboczu i zrobić jej fotę w dzień, tylko z powodu śmieci pływających na powierzchni wygląda na płytką – ma pół metra głębokości, nie dajcie się nabrać.



W hotelu zagaduję recepcjonistę o bilety do *Lukli* (już są do odebrania) i załatwiam taksówkę na jutro rano. Marcin za plecami przemyca Rafała do pokoju, choć recepcjonista i tak w chwilę po ich przejściu, pyta czy też to czuje 😊.

Przeszło godzinę w świetle świeczek, tracimy na domycie się i spodni (dobrze, że ja mam tylko nogawki do umycia). Nastroje mimo to mamy dobre a cały incydent wywołał tylko dużo śmiechu, pierwszy szok związany z miastem, kulturą, tym brudem już minął i nawet zaczyna nam się to podobać. Jest około 20, siedzimy i co tu robić. Rafał rzuca, może na piwo? Patrząc na Rafała, na Macina, ...ale nie do hotelowego baru?

Na ulicach już całkiem ciemno, wychodzimy z hotelu i salutującego nam przy bramie strażnika pytamy gdzie tu najbliżej można kupić piwo, okazuje się, że całkiem niedaleko, bo po przeciwnej stronie ulicy. W jeszcze otwartym sklepiku kupujemy tym razem piwo o nazwie „*Nepal Ice*” w smaku, moim zdaniem dużo lepsze od Everestu i tańsze niż w hotelu, za dużą butelkę płacimy 120 rupii (11zł), bez żadnych ukrytych podatków i dopłat. W międzyczasie jakiś lokalny sklepikarz zamknął swoją budkę zagarnął śmieci z ulicy na jedną kupę i podpalił. Zasiadamy dokoła tej kupy śmieci grzejąc się przy ognisku. Po chwili przychodzi jeszcze paru tubylców też się ogrzać, siedzimy jak harcerze, wszyscy dokoła ognia, obok kładą się przechodzące bezdomne psy. Całość i prawie kompletną ciemność tylko co chwila przerywają przejeżdżające tędy raz po raz samochody mijające nas o kilka centymetrów. Otwieramy piwo i siedząc przy dymiących śmieciach wspominamy cały dzień pełen wrażeń, śmiejąc się przy tym i ciesząc się faktem siedzenia na brudnym murku, na pewno nie brudniejszym od nas samych po całym dniu. Jestem zadowolony i pełen entuzjazmu. Czytając to i patrząc z perspektywy ktoś może pomyśleć, że to straszne okoliczności, tragiczny obraz siedzieć tak przy śmieciach na brudnej ulicy, jak bezdomni. Jednak ten klimat tamtej chwili, ta sceneria to jeden z momentów dla których się tam jedzie i to jest to czego nie zaoferuje żadne biuro podróży, choćby nie wiem jak się starało.

Komentujemy głośno tubylców grzejących się razem z nami, najlepsze jest to, że widząc ładną dziewczynę na ulicy, można głośno wyrazić swój pogląd o niej, a i tak cię nikt nie zrozumie, no może tylko turyści z Polski, ale jakoś za cały dzień nawet w miejscach turystycznych nie spotkaliśmy za dużo żadnych turystów, nieważne skąd. Może to nie ten sezon na grupy zorganizowane albo jeszcze na nie za wcześnie.

Wieczorem pakowanie plecaków i zimny prysznic, ciepłej wody znowu nie ma. Wyliczyłem, że przeszliśmy dziś około 20km będąc niemal w ciągłym ruchu i streszczając program zwiedzania oferowany przez różne biura podróży na kilka dni w

jeden dzień. Jednego nie zaliczyliśmy, to świątynia *Pashupatinath* gdzie kremowane są zwłoki, ale to dość daleko za miastem, trzeba wziąć taksówkę albo poświęcić na to cały dzień, może jeszcze będzie okazja. Przez sentyment do Kathmandu, chciałem ten dzień jak najlepiej wykorzystać i udało się, jeśli tu już nie wrócimy to nie będę miał wielkiego żalu, że czegoś nie zobaczyłem. Koło północy zmęczony natłokiem wrażeń z dzisiejszego dnia, usypiam w końcu na parę godzin.



## Rozdział drugi – Himalaje

### 2009.03.25 – Dzień 4 (środa) – Phakding, 2610m n.p.m.

Budzik miałem ustawiony na 5:15, ale i tak o 5 obudziły mnie szmery Rafała i Marcina, którzy już się obudzili albo w ogóle nie spali. Ja spałem, ale sen miałem płytki, nie powiem że bym się czuł zasłużenie wyspany. Chwilę się mobilizuje, ale w końcu entuzjazm do działania zwycięża nad zmęczeniem. Dziś przecież lecimy w same Himalaje, cel naszej wyprawy.

Szybkie zwijanie śpiworów w świetle czołówek, bo prądu nie ma, pakowanie ostatnich rzeczy, w międzyczasie dzwonię do recepcji zapytać o naszą taksówkę, jest już w drodze. 10 minut później jesteśmy już na dole i pakujemy się do małej taksówki za którą recepcjonista zażyczył sobie od nas 500rupii, podobno taryfa nocna tyle kosztuje. Jedziemy nepalskim stylem na krajowe lotnisko czyli trąbiąc i wcinając się na drogi pod prąd, byle szybciej dotrzeć na lotnisko, jakoś mnie to już tak bardzo nie wzrusza.

Przed wejściem na lotnisko dopada nas jakiś strażnik z ochrony, jak później wywnioskowaliśmy musieliśmy wyglądać trochę na zagubionych skoro się nami zainteresował, lub może lubi pomagać obcokrajowcom. Pomógł nam przejść przez odprawę bagażów i załatwić wszystkie podatkowe formalności. W momencie gdy wpadamy do hali odlotów akurat wbiega tam naganiacz wołając „*Sita Air, Lukla*”. Loty krajowe nie różnią się tutaj od autobusów, nie ma nowoczesnych tablic informujących o lotach i do której bramki należy się udać, gdy przyjdzie pora, podjeżdża mały bus i naganiacz woła swoich pasażerów na pokład po to, żeby po przejechaniu 300m wejść do samolotu w stanie czasem podobnym do tego starego busa albo nawet gorszym, jednak nadal utrzymującym się w powietrzu.

Lot do *Lukli* na licznych stronach internetowych jest opisywany jako chrzest, bojowy dla Himalaisty idącego w góry. Nie powiem, że bym go jakoś specjalnie przeżył. Start normalny, lądowanie bardzo atrakcyjne, ale nikt specjalnie nie krzyczał czy panikował. W górach, przez duże zróżnicowanie terenu nie ma dużo miejsca i pas startowy w *Lukli* jest zbudowany na skarpie oraz nachylony pod kątem, tak, aby samoloty startujące szybciej się rozpędziły, a lądujące szybciej wyhamowały. Osobom, bojącym się latać adrenaliny może dodawać fakt, że pilot ma tylko jedną próbę, jak źle podejdzie do lądowania to już maszyny nie ma szans poderwać gdyż lotnisko kończy się skalną ścianą, tutaj nie ma miejsca na pomyłki. W sumie to zastanawiam się dlaczego zbudowali lotnisko prostopadle do ściany, a nie równoległe, w razie niepowodzenia pilot miałby jeszcze szanse. Dziennie ląduje tutaj bardzo dużo

samolotów i przylatują głównie rano gdy są jeszcze dobre warunki pogodowe. Około południa na ziemi schodzą chmury, a przychodzą czasem wcześniej i uniemożliwiają dalsze loty. Ze względu na ten krótki pas (Encyklopedia podaje 550m, ale nie wygląda na tyle), na lotnisku w *Lukli* mieszczą się tylko śmigłowce i takie samoloty jakim przylecieliśmy (typ: *De Havilland Canada DHC-6 Twin Otter 300*), na pokładzie mieści razem z obsługą około 20 osób. Loty trwają już od kilku lat i tylko raz, w zeszłym roku (8 października 2008), jeden samolot rozbił się, właśnie przez złe podejście do lądowania w gęstej mgłę. Zginęło 18 osób (16 pasażerów i dwie osoby z załogi), tylko pilot o dziwo przeżył. Były to linie Yeti Airlines. Akurat w naszym przypadku widoczność była dobra, więc nie widziałem najmniejszych powodów do obaw i bawią mnie opinie w Internecie, jakie to mrozące w żyłach jest lądowanie na tym lotnisku.



Punkt godzina siódma wylądowaliśmy szczęśliwie na lotnisku Tenzing-Hillary w *Lukli*, w zasadzie o tej godzinie samolot powinien wylecieć z Kathmandu, ale wszyscy pasażerowie byli już wcześniej, więc nie było powodów do opóźnień, tym bardziej, że tu trzeba się spieszyć przez niesprzyjające warunki atmosferyczne. Ucinamy krótką pogawędkę z angielską parą która też przyleciała podbijać Himalaje, po czym zostawiam chłopaków z bagażami i idę się dowiedzieć na lotnisko o nr telefonu pod, którym można potwierdzić godzinę odlotu z *Lukli* w drodze powrotnej.

Jeden tylko widok jest smutny, całe lotnisko ogrodzone jest siatką i pilnowane przez strażników. Przy wyjściu na kratkach ogrodzenia wiszą uczone dzieci i czekają. Wiek różny, ale średnia około 15 lat, wszystkie chude, kiepsko ubrane i patrzące trochę otępiąłym wzrokiem. Dopiero później się dowiedziałem, że to sposób na pracę. Stąd zaczyna się transport sprzętu różnych wypraw w góry. Gdy nadlatuje samolot ze

skrzyniami, tragarze właśnie tutaj na plecy dostają ładunek, a zapłatę w miejscu docelowym.



Piętnaście minut później siedzimy już w pierwszej lodge przy wyjściu z lotniska i pijemy herbatkę jedząc śniadanie, za jajecznicę (albo coś co ją przypomina) i herbatę płacę 160+35rs (8+1,74zł). W międzyczasie raz za razem podchodzą tubylcy i ta sama gadka: Skąd jesteście, jak macie na imię, itd. żeby po chwili zaoferować swoje usługi, od noszenia plecaków do przewodnika w górach. Nawet wymyśliliśmy, że napiszemy sobie karteczki z odpowiedziami na standardowe pytania, jak ktoś będzie przychodził to kolejno będziemy pokazywać kartki z odpowiedziami. Przez może 30 minut siedzenia przewinęło się koło nas chyba z pięciu gości z tą samą gadką, z tym, że kolejne ucinaliśmy już na samym początku: „nie, dzięki nie potrzebujemy przewodnika / tragarza”.

Wychodzimy na trasę i nie przeszliśmy 100 metrów jak zatrzymujemy się w pierwszym sklepie, z dawnym już zamiarem kupienia spodni trekkingowych. Nie zdążyliśmy tego zrobić w Kathmandu z powodu braku czasu. Ja ciągle idę w jeansach. Rafał też ma tylko jedne spodnie, z których jeszcze się unosi zapach po wczorajszej przygodzie. Za spodnie znakomitej marki mammut (oczywiście podróbka), płacimy 1245rs (62zł), z początkowej ceny 1400rs (70zł). Sprzedawca wyglądający na naszego polskiego poczciwego górala, ani trochę nie chciał zejść z ceny i już nawet zasymulowaliśmy wyjście ze sklepu (Arab by za nami poleciał), po to żeby wrócić po chwili i jednak je kupić. W porównaniu z jeansami idzie się naprawdę lepiej, są lekkie, wodoodporne (sprawdziliśmy przed kupnem) i świetnie się sprawdzają. Około godziny 8:30 wychodzimy z *Lukli* na szlak, początkowo łatwy gdyż dziś idziemy do *Phakding*,

które jest 200m w pionie niżej w stosunku do *Lukli* i oddalone o jakieś 6km. Liczba kilometrów na całej trasie nie jest szczególnie porażająca i nie są to straszne odległości. Trzeba jednak pamiętać, że teren jest szczególnie trudny. O ile jeszcze do *Namche* droga przypomina jeszcze ładny, równy szlak, chwilami tylko wąską ścieżkę, tak w wyższych partiach trasy czasem szlaku nie ma a czasem trzeba się naprawdę postarać żeby przejść np. po rumowisku skalnym. Przejście jednego kilometra po prostym terenie, zajmuje zdrowemu człowiekowi, szybkim krokiem, około 7 minut. Tutaj ta sama odległość może zająć nawet dobrą godzinę.

Dziś jednak się nie spieszymy, czas mamy, pogoda jest dobra, zatrzymujemy się nawet po drodze w przydrożnej lodge na obiad. Za ryż z warzywami zostawiam 300rs (15zł). Mijamy już, któryś raz gościa, który przyleciał z nami samolotem, widać, że tubylec. Na, którymś postoju przed mostem, dogania nas przynosząc jednego z sandałów Rafała, jeszcze mu nie wyschły po wczorajszym incydencie i niósł je przyczepione do plecaka, jeden odpadł. Po krótkiej rozmowie okazuje się, że ma lodge w miejscowości do której idziemy i jak się u niego zatrzymamy oferuje tani nocleg. Obiecuje, że go poszukamy jak już dotrzemy na miejsce noclegu.

Do *Phakding* i *Namaste Lodge* docieramy około godziny czternastej i w samą porę przed naprawdą porządnym deszczem, po drodze już zaczynało kropić. Siedzimy chwilę w głównym pokoju, tzw. „*Dining room*”, pijemy herbatę i idziemy rozpakować rzeczy. Dostajemy 3 osobowy pokój na samym poddaszu, za cenę 100rs (5zł) za nas trzech. Jak się później okazało, rekord niskiej ceny na całej trasie. Zaraz po rozpakowaniu bagażu i wyjęciu śpiworów kładziemy się na chwilę, tak tylko odpocząć ...film nam się urywa.



18:00 – budzi nas stukanie do drzwi, wchodzi gospodyni i mówi, że jak chcemy coś zamówić do jedzenia to już, bo za godzinę zamykają kuchnię. Drzemaliśmy 3 godziny, teraz się leniwie zwlekamy i idziemy na kolację. Posmakował mi ryż z warzywami do tego oczywiście dodają bardzo dużo ziołowych przypraw, które wrzucają do każdego tutaj zamówionego jedzenia, toteż niezależnie co się zamówi, pachnie i smakuje podobnie. Niemal standardowa cena za posiłek to 300rs (15zł) i tyle też płacę za kolację. Kolację podaje córka właściciela, niestety nie wiem jak ma na imię, ale przez swoje włosy i ciemną karnację, została zaraz przez chłopaków

ochrzczona czarnulką. Do końca wyprawy uważali ją za najpiękniejszą dziewczynę spotkaną na całym szlaku. Przedstawiła nam nawet swojego kotka: *Jumli* (czyt: dżumli). Muszę przyznać, że jest urocza, choćby przez swoją azjatycką urodę, a to w moich oczach daje jej +5 (w skali max 10), choć mnie jakoś szczególnie nie zachwyciła.



Wieczorem w pokoju zażywamy diuramid, jest to lek wspierający aklimatyzację, plan wejścia mamy dość ambitny i moim zdaniem za szybki. Jeszcze przed wyjazdem nacztyliśmy się opisów różnych wypraw i każda z wypraw miała problemy z wysokością. Rafał nawet wydrukował jeden z opisów, który też czytałem. Na starcie było 7 osób, szli podobną, jak my trasą, na koniec zostało ich 3. Reszta wysiadła i musiała zejść. Dużo też czytałem o wyprawach na Mont Blanc gdzie ludzie szybko zdobywający wysokość, na 4000m. n.p.m. idą spać i się już nie budzą albo budzą w ciężkim stanie niedotlenienia, nie mogąc ustać o własnych siłach. Profilaktycznie wszyscy wzięliśmy po opakowaniu diuramidu na osobę i jeszcze dodatkowo taszcę w plecaku butle z tlenem. Jest mała, mieści 8 litrów sprężonego tlenu, ale wystarczy w nagłym wypadku, poza tym z większą nie wpuszczają do samolotu. Wszystkie wyprawy idące wyżej muszą kupować tlen u lokalnych pośredników, co niejednokrotnie przysparza im problemów i opóźnień.

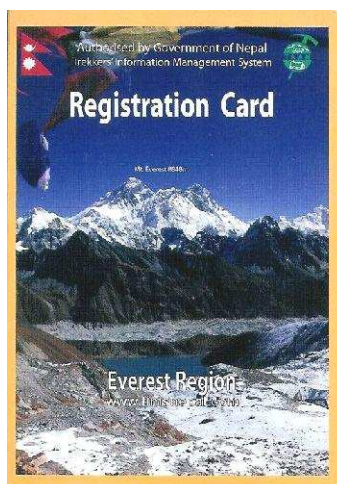
Marcin przed połknięciem tabletki powiedział: „No to kingsajz dla wszystkich”, co dało nam chyba równą minutę ciągłego śmiechu. Noc mija spokojnie i chyba ze zmęczenia to pierwsza którą przesypiam kamiennym, zasłużonym snem.

## 2009.03.26 – Dzień 5 (czwartek) – Namche Bazar, 3440m n.p.m.

Około godziny 10, po śniadaniu wyruszamy z *Phakding* w dalszą drogę, cały czas w lodze byliśmy sami, więc można było porozmawiać z właścicielami i dowiedzieć się czegoś, więcej, jak żyją poza sezonem. Ciekawe jest ich życie, bardzo różne od naszego, jednak za „wieśniaków” nie można ich uznać, na ścianach mają zdjęcia z różnych zakątków świata gdzie byli i niejednokrotnie to bardzo światowi ludzie.

Pogoda pod chmurką, słońca nie widać i nie zapowiada się dziś na rewelację, droga początkowo nie jest ciężka, przynajmniej idzie się po równym, nawet chwilami trochę z górki. Pierwsze 6km mija dość szybko. Po drodze mijamy bramę wejścia do Parku Narodowego Sagarmatha i tutaj trzeba wykupić wstęp. Zgodnie z przewodnikiem pana K, wstęp na szlaku jest dwa razy droższy, jeśli nie kupi się pozwolenia na trekking wcześniej w Kathmandu. Zgodnie z relacjami, które czytaliśmy, wstęp, jest tylko nieznacznie droższy niż w biurach. To też okazało się nieprawdą. Cena obecnie jest ta sama wszędzie, bez względu gdzie się kupuje pozwolenie i wynosi 1000rs (50zł). Przy wejściu dostajemy jeszcze do wypełnienia formularz karty TIMS (*Trekkers Information Management System*).

065 S.No. 41338  
Government of Nepal  
Department of National Parks and Wildlife Conservation  
Sagarmatha National Park/Reserve  
ENTRANCE PERMIT  
Name & Address: *Poland*  
Age: *26* Sex: *M*  
Nationality: *Poland*  
Entry Fee: Rs. 1000.00 (Per entry per person)  
Date of Issue: *26-03-2009*  
Signature: *[Signature]*  
Note: Person entering to the Park must observe the National Park Regulations.



TREKKERS' DETAILS  
TIMS Card No.: 75391  
Name: *WIKTOR WACŁECH ROZMUS*  
Nationality: *POLISH* Gender: *M*  
Passport No.: *AUR102336*  
Date of Birth: *24-11-1982*  
Entry Date: *26-03-2009*  
Exit Date: *16-04-2009*  
Route of Trekking: *LUKLA - EVEREST BASE CAMP - LUKLA*  
Contact No. (In case of Emergency):  
Cell: Tel. (+977) 1-4439023 (TAAN, Kathmandu)  
3-061-462003 (TAAN, Pokhara)  
Trekking Agencies' Association of Nepal (TAAN)  
Kathmandu  
Tel: (+977) 1-427273, 4439023, 4439021  
E-mail: taan@taann.com.np, taan@taann.com.np

*In the Check Point  
Time Issue 26/03/09  
Date*

*Jozanna  
Check Point* Signature: *[Signature]* 26/03/09  
Issued by: *[Signature]*  
Issue Date: *26/03/09*

Trekking Organizer:  
 Trekking Agency  
 Trekker Intuiterself

Co ciekawe, manager w hotelu Encounter, chciał nam wcisnąć tą samą książeczkę za 5\$ sztuka, oczywiście nie wzięliśmy. Tutaj otrzymuje się ją za darmo, przy okazji zakupu permitu do parku. Każde przejście jest spisywane, we wniosku i w nią wpisuje się przewidywaną datę wyjścia z parku, jeśli się do tej pory nie wyjdzie, powiadamiana jest ambasada i rozpoczynają poszukiwania. Nie wiem co w przypadku gdy nie ma polskiej ambasady w Nepalu, ale my w planie mamy wyjść z tej wyprawy cało. Wkraczamy do Parku Narodowego Sagarmatha od nazwy wielkiej góry (*Sagarmatha – po Nepali znaczy góra gór*). Długo czekaliśmy na tą chwilę, jednak odkąd ruszyliśmy w trasę, tylko godzinę z całego dnia idziemy suchą stopą. Zaczyna padać i nie zapowiada się na szybką poprawę pogody. Leje cały czas i deszcz jest chwilami tak mocny, że obawiam się nawet o aparat przyczepiony bez żadnej ochrony do plecaka, ma być wprawdzie na deszcz odporny, ale nie wiem jak przetrwa cały dzień mokry, chwilami w dość ostrym deszczu. W każdym bądź razie wie co go czeka jeśli mnie zawiedzie.



Ostatnie 3km trasy to strome podejście na most wiszący i potem nie lepiej, ostro zбочem do góry. Mostów wiszących tylko na trasie do *Namche* jest 9. Niektóre naprawdę wysoko nad ziemią. W starej relacji natknąłem się na opinię, że przejście tymi mostami jest dość niebezpieczne, obecnie jednak ryzyka nie ma. Stare niebezpieczne mosty, często złożone z trzech tylko lin zostały zastąpione przez nowe stalowe jak ten na zdjęciu, są obecnie na tyle szerokie, że dwoje turystów może się na nich bez problemu wyminąć. Dużo gorzej wygląda mijanie jaka i tutaj radzę poczekać aż te zejdą z mostu zanim się na nie wejdzie. Taki jak nie dość, że ma rogi którymi macha na obie strony to jeszcze chodzi na tyle nieporadnie, że może naprawdę przycisnąć do krawędzi mostu skutkując jego lekkim przechyleniem, wesoło wtedy nie jest. Ogólnie jednak konstrukcja sprawia wrażenie wytrzymałej, ugina się trochę pod ciężarem, chwilami, gdy idzie się miarowym, równym tempem wpada w rezonans i zaczyna nieźle trząść, ale nie słyszałem o wypadku żeby się taki most zerwał. Miejscami są dwa mosty, jeden stary złożony z trzech lin, dwie na ręce i jedna

na nogi, drugi nowy. Jednak starym mimo, iż jeden napotkany był dość nisko nad Ziemią nie odważyłem się przejść z plecakiem.

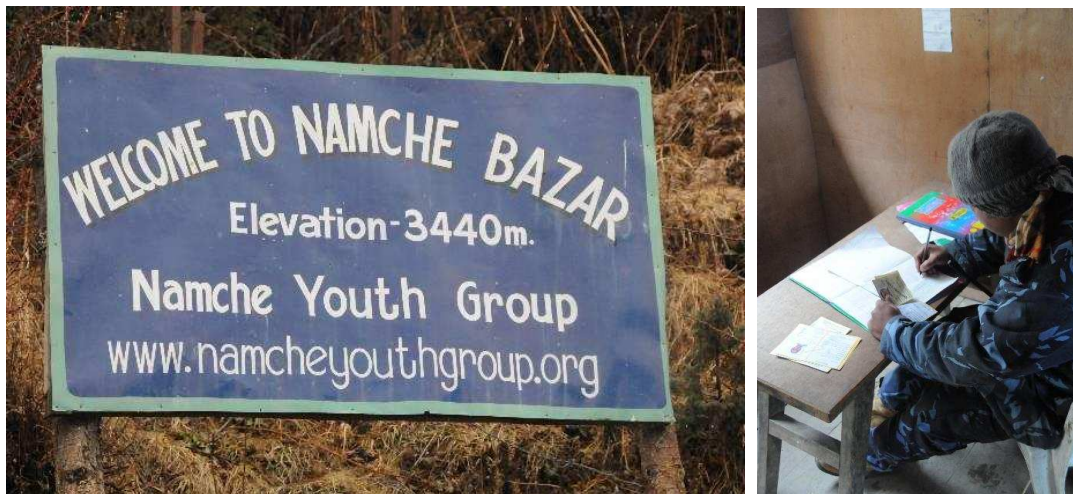
Mamy dziś do pokonania 840m w pionie. Nijak się to ma do zasad aklimatyzacji, które mówią, że powinno się pokonywać nie, więcej niż 300m dziennie w pionie i po każdym tysiącu robić dzień odpoczynku. Prawie trzy krotnie przekraczamy ten limit i trzy i pół tysiąca metrów to już niezła wysokość, zgodnie z jedną z relacji którą czytaliśmy, na tej wysokości wysiada już 30% ludzi, jeden z nas ma, więc szanse na ból głowy i powrót na dół.

Ostatni kilometr przed *Namche* jest już niesamowicie ciężki, w ogóle podejście z *Phakding* do *Namche* jest chyba najtrudniejsze na całej trasie, dobrze, że przebywa się go na samym początku gdy nie jest jeszcze bardzo wysoko. Szlak w sumie dobrze widoczny, wydeptany i szeroki, jednak momentami idzie się dość długo ostrymi zygzakami ciągle pod górę. Ostatnie metry przed miastem skacze się już tak co 50 metrów. Powietrze jest zupełnie inne, wygląda to tak: po przejściu, a raczej wdrapaniu kolejnych pięćdziesięciu metrów, robimy przystanek na paręnaście sekund, żeby wyrównać oddech. Na normalnej wysokości taką drogę wbiegam bez problemu, trasę na giewont od wejścia do parku pokonałem w 1:25h gdzie normalny czas wejścia podany na tablicy informacyjnej to 3:30h. Tutaj wyglądam jak niedzielny turysta z miasta, zasapany i co 50 metrów zatrzymujący się, bo trudno się oddycha. Już wiem po co jest aklimatyzacja, organizm nie jest jeszcze przygotowany na wysokość, stąd te trudności, tylko nie sądziłem, że na 3,5tyś już będzie tak to czuć. Głowa nikogo na szczęście nie boli, czuje lekkie niedotlenienie, jednak nie większe niż podczas normalnego treningu. Rafała za to, bolą kolana, pożyczył od Marcina kije trekkingowe i idzie powoli z ich pomocą. Jedno kolano miał kontuzjowane i mimo opaski stabilizacyjnej daje mu się mocno we znaki. Idziemy z przodu z Marcinem, mówi, że z Rafałem jest źle i nie wie czy da rade.

Do *Namche* docieramy późnym popołudniem, różnica wysokości jest już na tyle istotna, że deszcz przeszedł w śnieg, choć szybko topniejący. Jeszcze przed wejściem do samego miasta w blaszanej budzie sprawdzają nasze pozwolenia na trekking i wejściówki do parku. Początkowo nie załapałem o co chodzi, wysunąłem się na prowadzenie, stanąłem przed tą blaszaną budą plecami i robię zdjęcie tablicy informującej, że jest się w mieście, gdy za plecami słyszę: „*Excuse me sir, please come inside*”, na co ja odparłem, że „nie dziękuję”. Dopiero jak jakiś turysta w środku zareagował na to śmiechem odwróciłem się i zobaczyłem, że to nie sklep i naciągacze tylko goście w wojskowych przebraniach z wielką księgą na stole. To tutaj notują kto wszedł, wyszedł i też kto nie wszedł. Strażnik jest kolejnym Nepalczykiem



kolekcjonującym pieniądze, mówi, że ma nawet banknot 50zł, pyta się czy nie mam przypadkiem stówki na zbyciu.



Wchodzimy do miasta, rozkładamy plecaki na murku po czym wyruszam na poszukiwanie lodge. W zasadzie ta czynność jak się później nauczyłem nie ma za bardzo sensu, jeśli tylko oferowane ceny za noc nie są z kosmosu. Standardową ceną za nocleg jest 100rs (5zł), za osobę, niezależnie od pokoju, czasami żądają 200 rupii za pokój dla dwóch i tyle samo za pokój single, jednak zawsze po krótkich negocjacjach udawało się zejść do 100rs za pokój jednoosobowy tam gdzie nie mieli pokoju dla 3 osób. Ceny jedzenia są jednak podobne w każdej lodge i wszędzie można znaleźć coś taniego.

Idę w boczną uliczkę i wchodzę do „*Thamserku View, lodge and restaurant*”, ceny standardowe, warunki całkiem niezłe i mają gorący prysznic. Wracam do chłopaków, a oni gadają z jakimś gościem wyglądającym na Polaka. Mówili, że podszedł i zapytał czy z Polski, widać łatwo nas rozpoznać. Tak poznaliśmy Darka, jak się później dowiedzieliśmy Darek jest tutaj służbowo (taki to ma fajnie). Wyjechał z Polski gdy miał 12 lat i od tej pory mieszka w Niemczech gdzie pracuje w biurze turystycznym i jest przewodnikiem w Himalajach. Nie potrafił powiedzieć, który raz tu jest, ale fakt, że potrafi porozumieć się (może podstawowo, ale potrafi), w języku Nepali, świadczy, że zna lokalny teren. Na trasie do EBC jest w celach aklimatyzacyjnych, przygotowuje się do wejścia na Everest od strony tybetańskiej, razem z całą wyprawą, tutaj spotkaliśmy go samego. Razem z nim wracamy do lodge w której przed chwilą byłem i w sumie od mojego ostatniego pobytu i nawet negocjacjach w języku Nepali (by Darek), ceny się nie zmieniają. Zostajemy za 100rs (5zł), od osoby za noc.

Zaraz po rozpakowaniu plecaków dopytuję się o prysznic i dostaję klucz do kabiny, a raczej pokoiku gdzie się mieści, dopiero później przyszło mi do głowy

zapytać ile taka przyjemność kosztuje. Zapłaciłem 300rs (15zł), za 15 minutowy prysznic. Tym bardziej, że już dwa dni się nie myłem, w *Phakding* było za zimno, a jedyny prysznic z zimną wodą był na zewnątrz, jakoś odechciało mi się myć. Na tym etapie podróży byłem jeszcze przyzwyczajony do codziennego mycia i pewnie dlatego kupiłem ten prysznic za 300rs, Rafał z Marcinem też dali się naciągnąć.

Wieczorem siedzimy w „*dining room*”, głównie z nudów i czekając na jedzenie, standardem jest, że po zamówieniu czeka się godzinę na podanie posiłku, niekiedy nawet piszą o tym w menu. Wywiązuje się rozmowa między nami i jakąś samotną kobietą z Anglii, która przyjechała tutaj pozwiedzać góry. Jej przygoda jednak, jak większości turystów kończy się jednak w tym mieście, nie idą dalej, potem jest już coraz mniej cywilizacji. Ona sama, przebywa już tutaj dwa tygodnie czytając książki. Nie wiem jaki to ma sens, siedzieć tak w jednym miejscu i nic robić, ale *Namche* ma swój urok. Przy dobrej widoczności można stąd zobaczyć Everest i kilka najładniejszych szczytów. Kobieta gdy tylko dowiedziała się, że jesteśmy z Polski oznajmiła, że mieszka tutaj samotna dziewczyna w moim wieku z tego samego kraju, tylko akurat jej nie ma, ale będzie później. Zjadamy kolację po czym wychodzimy pozwiedzać miasto i pochodzić po tutejszych sklepach.



Chwila o *Namche*, osadzona na skarpie jest to w sumie ostatnia tak duża osada ludzka, gdzie cały rok niezależnie od pory roku, jest stały prąd pochodzący z elektrowni wodnych. Poza prądem jest tu też bank, kantor, liczne sklepy, kafejki internetowe, a nawet dentysta. Zgodnie z informacjami, które znalazłem *Namche* jest jedną z najszybciej rozwijających się osad w Nepalu, ale informacjom na Wikipedii nie zawsze trzeba wierzyć. Miasto jednak cały czas się rozwija, powstają nowe budynki i

w zasadzie bardzo się zmieniło od czasu dwóch lat, przynajmniej na zdjęciu widać różnicę, choć Rafał spodziewał się większej cywilizacji. Tak czy inaczej, jest to ostatnia osada w której jest Internet, ciepła woda i prąd w sieci elektrycznej, a wysokość trzech i pół tysiąca metrów umożliwia jeszcze uprawę roślin jadalnych, np. wszechobecnych ziemniaków.

Miasto jest przy tym niesamowicie klimatyczne, doszliśmy do niego późnym popołudniem, przy nie najlepszej pogodzie, co do złudzenia przypomina pierwszą osadę w grze komputerowej Diablo2 nad którą spędziłem jeszcze na studiach, więcej czasu niż nad jakąkolwiek książką. Nawet sklepikarze chyba grali w tą grę, zachowują się podobnie. Można wejść do sklepu, pooglądać towary, poprzymierzać, zrobić dosłownie wszystko, a sprzedawca się słowem nie odezwie, dopóki my się do niego nie skierujemy z jakimś pytaniem, zupełnie jak w grze. Przechodzimy, więc tym sposobem po najlepszych sklepach, ale nic nie kupujemy, zastanawiamy się nad kijami trekkingowymi, ale na wypadek potrzeby będziemy tu jeszcze jutro, w *Namche* zatrzymujemy się na jeden dzień aklimatyzacji.

Wieczorem wracamy do lodge i gdy tylko przekraczamy próg kobieta z Anglii woła nas żebyśmy poznali samotną Polkę, tak poznajemy Martę. Marta nie jest tutaj turystycznie, jest wolontariuszką i uczy w szkole dzieci angielskiego. Wzięła urlop dziekański na studiach psychologicznych i wyjechała za pomocą jakiejś fundacji najpierw do Maroka, a teraz do Nepalu jako wolontariuszka. Szkolnictwo w Nepalu nie jest obowiązkowe, do szkoły idą tylko te dzieci, które chcą lub, których rodzice chcą. Jednak nie wszystkich stać na tą przyjemność, wprawdzie pobieranie nauki w szkole podstawowej jest bezpłatne, jednak nawet małe dzieci mogą pracować i tym samym nie tylko utrzymywać siebie, ale i rodziców, niejednokrotnie w trudnej sytuacji. W *Namche* tego nie widać, tutaj niemal każda rodzina ma jakiś dochód z turystyki, toteż dzieci mają możliwość uczęszczać do szkoły. Sytuacja szkolnictwa jednak nawet tutaj nie jest wesoła. Marta opowiada, że szkoła to rozpadający się budynek, w którym wręcz dramatycznie brakuje miejsca. Dzieci uczą się po kilka klas w jednym pomieszczeniu z jednym nauczycielem. Pieniądze tutaj są, owszem, ale nikt nie inwestuje w szkołę. Zamiast tego wolą postawić nową lodge lub restaurację, przecież ona przyniesie jakiś dochód, a szkoła realny, żaden, poza tym co może zaowocować w przyszłości. Nie ma nawet na pensje dla nauczycieli, wszyscy to wolontariusze z różnych krajów. Państwo im też nie pomaga, w Nepalu zwykły człowiek nie dostanie innej wizy niż turystyczna i taki wolontariusz musi tutaj za własne pieniądze dotrzeć, zapłacić nie małe pieniądze za wizę i jeszcze żeby dotrzeć do *Namche*, oczywiście po drodze kupując wejście do parku narodowego. Sama wiza na pięć miesięcy, tyle można maksymalnie przebywać w Nepalu to już koszt 200\$ i nie

ma wytłumaczenia, że ktoś tu przyjeżdża żeby pomóc. Mają choć tyle łżej, że mieszkanie tutaj i jedzenie mają za darmo. Marta jeszcze nie była poza *Namche*, ale mówi, że od przyszłego tygodnia dzieci mają dwutygodniowe ferie i zamierza wybrać się do *Gokyo*. Proponuję jej żeby się zabrała z nami, ale po szybkim podliczeniu dni naszej wyprawy, braknie jej czasu.

Kolację jemy wspólnie, ja zamawiam pieczone ziemniaki z warzywami i serem za 300rs (15zł), Rafał bierze to samo, a Marcin pizzę wyglądającą zupełnie jak mrożonka z supermarketu. W zasadzie niezależnie co się zamówi, wszystko jest tak obsypane tymi ich ziołami, że smak jest ten sam, choć jeszcze mi smakuje. Ceny wszystkich dań są podobne i oscylują w granicach 300rs +/- 100 w zależności od uzupełnień. Dla przykładu: talerz czystego ryżu kosztuje 200rs, ryżu z serem 300rs, a jeszcze z dodatkami warzyw – 400rs. Bardzo wygodnie zaokrąglają wszelkie ceny do równych stów.

Jeszcze przed snem przy wspólnej łazience łapie mnie jakiś Anglik z pytaniem czy przypadkiem nie mam przypadkiem pożyczyć ładowarki do iPod'a... bez komentarza. Przypomniałem sobie artykuł w którymś wydaniu National Geographic o fali turystów, którzy zalewają miejsca takie jak to i nie potrafią się ani na chwilę rozstać z odtwarzaczem mp3. Może nie jestem jeszcze na tym etapie ewolucji, ale tego zupełnie nie rozumiem. Mogę zabrać swoją ulubioną muzykę do autobusu, na jakąś nudną wycieczkę itd., ale w Himalaje? Potęgę i majestat gór najlepiej podziwiać właśnie w tej niezmaconej niczym ciszy, im wyżej tym bardziej. Tutaj jeszcze jest życie i jakieś odgłosy, ale im wyżej tym klimat surowszy i gdy nie ma akurat wiatru, dookoła panuje zupełna, niczym nie zmacona cisza. Można wręcz stanąć na chwilę w bezruchu, wstrzymać na chwilę oddech i choćby nie wiem jak się przysłuchiwać, nie usłyszeć dosłownie nic. Człowiek czuje się dziwnie, trochę nie swojo, bo taki stan jest prawie niemożliwy do uzyskania nigdzie w cywilizacji. Wyjątkiem jest komora bezdechowa gdzie w całym Krakowie jest tylko jedna do celów naukowych na Akademii Górniczo Hutniczej, ma 1000 metrów sześciennych i jest największą w kraju. Cała jest wyłożona klinami z pianki poliuretanowej z tak dobranym kątem, że fala dźwiękowa zasysana jest do środka i zupełnie wytłumiana. Tam słyhać ciszę, podobnie jak tutaj. Niektórym chyba to przeszkadza, innych skłania do refleksji.

### **2009.03.27 – Dzień 6 (piątek) – Namche Bazar, 3440m n.p.m.**

Noc przespałem znakomicie, a na śniadanie zamówiłem musli z mlekiem naka za 180rs (9zł), niestety podali je na ciepło. Specjalnie się nie spiesząc, około godziny 11 wychodzimy bez plecaków z lodge i ruszamy na pobliską górą na szczycie której

widać czorten i kolorowe chorągiewki. Pogoda dziś dopisuje i szybko jestem zmuszony zdjąć kurtkę i polar, jak się idzie to jest ciepło, na postojach jednak trzeba się szybko ubrać przez zimny wiatr z gór, kamienie jednak są nagrzane od słońca i przyjemnie się na nich siedzi. Naszym ostatecznym celem wyjścia aklimatyzacyjnego jest *Everest View Hotel* i punkt widokowy na Wielką Górę która mnie tutaj wezwała.

Droga jest dość stroma, a ścieżek jest dużo, idziemy w sumie za kompasem, orientacyjnie w kierunku hotelu, który jest oznaczony na mapie. Po drodze mijamy lodge w której zatrzymujemy się na herbatę i w końcu koło 13 docieramy na miejsce. Muszę przyznać, że jak na takie odludzie hotel jest pierwszej klasy, wszystko na poziomie i cena też. Wszedłem tylko do środka zapytać się recepcjonisty, za pokój dla singla chcieli 160\$, za dwójkę 180\$, ceny jak na ten rejon są zabójcze, zwykły tragarz na jeden nocleg musiałby ciężko pracować trzy tygodnie. Everestu niestety nie widać przez słabą widoczność i o tej porze zaczynają się, sam nie wiem skąd, pojawiać gęste chmury. W drodze na dół spotykamy jeszcze tą samą parę Anglików z którą rozmawialiśmy na lotnisku w *Lukli*, chwila rozmowy i ruszamy w swoją stronę. Schodzimy zupełnie na dziko do *Khumjung*, wioski obok, przerwa na kolejną herbatę w lokalnej chacie i ruszamy na południowy zachód w kierunku *Namche*. Mijamy most na rzece i podchodzimy lekko w górę, jutro część tej drogi pokonamy jeszcze raz w przeciwną stronę drogą do *Tengboche*.

Rafał bardzo narzeka na kolana, mówi, że dziś już nie ma wyjścia i musi kupić kije trekkingowi. Zaczynamy, więc pytać o ceny od samej góry *Namche* gdzie sprzedawca sobie zaśpiewał 1000rs (50zł), za jedną sztukę, zaśmiałem mu się w twarz i odwróciłem na pięcie, coś tam jeszcze wołał, ale bez przesady, co ja jestem Amerykaninem? W centrum wołali za takie same 700rs (35zł). Amerykanie są tu wyśmiewani, Marta mówi, że elementem tradycji jest choć trochę się potargować lub zawsze zapytać o „*discount*”, Amerykanina natomiast łatwo rozpoznać, podobno zawsze płaci cenę jaką sobie sprzedawca zażyczy. Dla sklepikarzy to dobrze, ale o czym innym mają dyskutować między sobą, jak nie o „nie zgadniesz na ile dziś naciągnąłem turystę”. Marta się już nauczyła, że jak ona chce coś kupić to prosi o to jakiegoś dziecko ze szkoły, one to biorą po cenie hurtowej. Jeszcze manager hotelu *Encounter* nas uprzedzał, żeby się nie targować w górach, bo nas zabiją za to, ale z tym kanciarzem już nie będziemy mieć do czynienia.

Ostatecznie po przejściu większości sklepów w mieście, w końcu znaleźliśmy sprzedawcę na tyle chętnego, że decyduje się nam po krótkiej rozmowie sprzedać jedną sztukę za 525rs (26zł), pod warunkiem, że kupimy 4 sztuki. Niezłe zejście z 1000 za sztukę, ich średnia cena na mieście wynosi 750rs. Ja wybieram dwa czerwono

czarne, moja ulubiona kombinacja kolorów, a Rafał granatowe. Marcin swoje kije ma koloru niebieskiego, dał za nie dwa lata temu w Polsce 300zł, podczas gdy ja wydałem 50zł za dwie sztuki (w Polsce teraz i tak podobna jakość wyszłaby w podobnej cenie).

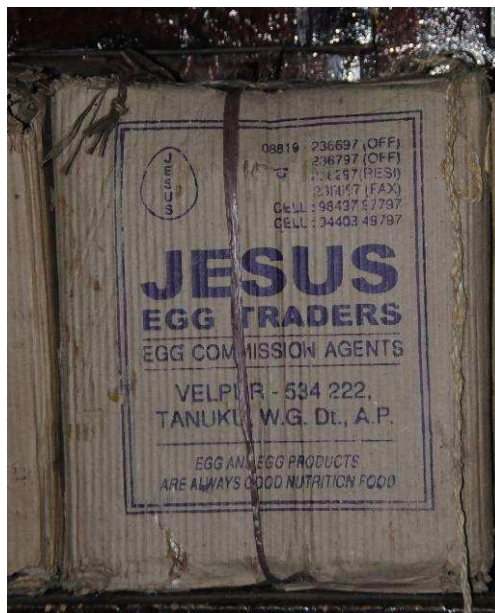
Jeśli chodzi o sprzęt trekkingowy to nie warto go kupować tutaj, natomiast odzież jest bardzo opłacalna. Znajdziemy naprawdę bardzo szeroki wybór wszelkiego rodzaju kurtek, polarów, wind stoperów i spodni. Większość z nich to podróbki, ale można też trafić na oryginalny produkt, zwykle dużo droższy niż podróbka, ale średnio 3-4 razy tańszy niż w Polsce. Za oryginalną kurtkę The North Face, sprzedawca chciał 5000rs (250zł), za nieoryginalną, bardzo podobną 3000rs. W Polsce cena tego typu kurtki zaczyna się od 1000zł w promocji. Sprzedawcy czasami sami przyznają, co jest oryginalne a co jest podróbką i pokazują różnicę, choć jeśli mamy jakieś pojęcie o odzieży górskiej, to potrafimy rozpoznać podróbki i bez tego. Tyle jeśli chodzi o odzież, natomiast w sprawach profesjonalnego sprzętu to ceny mają z kosmosu. Zapytałem o zwykły karabinek HMS używany do wspinaczki z klasycznym zakręcanym zamkiem, sprzedawca zażyczył sobie 1 200rs (59zł) i powiedział, że z ceny nie zejdzie, bo to „*fix price*”, fakt, była napisana na metce. Za lodowy czekan mojej ulubionej marki sprzętu alpinistycznego: Black Diamond, chciał 12 500rs (621zł), może i był dobry, ale cena wszystkich tych wspomnianych akcesoriów jest dokładnie podwójna w stosunku do przepłacanych cen nawet w polskim Intersporcie, a o aukcjach Internetowych nawet nie wspomnę.

Upatrzyłem sobie spodnie North Face na jednym ze straganów, super kombinacja czerwono czarnego koloru, po prostu idealne na zimę i na narty (może zastąpiłyby moje dotychczasowe z Tesco za 29,99zł, sprzedawca chce za nie 2000rs (100zł), mam wprawdzie duży zapas pieniędzy, ale przy obecnych cenach nie wiem ile wydam w górach a tam kantoru nie ma. Odkładam ten zakup na powrót i obiecuję sobie oszczędzać, przez co na kolację zamawiam najtańszą pozycję, którą można sobie jeszcze pojeść – smażone warzywa za 200rs (10zł).

Wieczorem w lodge atmosfera jest jakaś nieprzyjemna, gospodyni chodzi zła i widać, że między nią, a Martą coś zaiskrzyło, nawet nie chce z nią rozmawiać. Gdy po kolacji wychodzimy przed lodge przejść się jeszcze raz po mieście, zastajemy Martę z bagażami, nie chce się przyznać o co poszło, ale się wyprowadza. Mówię chłopakom, że znajdę ich później w mieście, biorę plecak Marty i idę ją odprowadzić do innej lodge, gdzie przyjęli ją na nocleg. Po drodze, bardzo dyplomatycznie przyznaje się tylko, że konflikt z gospodynią był na tle różnic kulturowych. Ścieżka szybko nam mija i nawet nie zauważam jak przeszliśmy chyba z pół kilometra, na miejscu poznaję innych wolontariuszy i uciekam od razu z powrotem. Chcieli mnie zatrzymać na

darmową herbatę, ale obiecaliśmy sobie z Marcinem poszukać kafejki Internetowej, więc niestety trochę mi się spieszy. Obiecałem jednak skorzystać w innym terminie. Szkoda, wszyscy Ci wolontariusze to ciekawi ludzie, każdy z innego kraju, kultury, każdy ma swoją historię, każdy może powiedzieć co innego, jest nawet Murzyn ze Stanów Zjednoczonych. W drodze powrotnej decyduję się przebiec te paręset metrów do sklepików i znaleźć chłopaków. Pomysł był zły, przebiegam całe 100 metrów po czym muszę dosłownie usiąść na murku ze zmęczenia, bardzo ciężko przy tym dysząc. Wysięk na tej wysokości i przy tym stężeniu tlenu, dla kogoś jeszcze bez aklimatyzacji, jest bardzo niewskazany.

Internet w *Namche* jest satelitarny i ...to porażka, cena za godzinę to 60rs(3zł), podczas gdy w Kathmandu godzina dużo szybszego dostępu do sieci kosztuje 15rs(75gr). Przed zapłaceniem pytam czy mogę sprawdzić szybkość, tubylec się zgadza i otwiera przeglądarkę. Skróttem z klawiatury zamykam okno Internet Explorera, dwoma kolejnymi kombinacjami otwieram konsolę systemu Windows i szybkim pingiem do Polski sprawdzam przepustowość łącza. Prędkość jest porażająca, prawie 1 sekunda opóźnienia. Dla porównania w Kathmandu przy 200ms (0,2s) zdołałem za godzinę wysłać dwa maile, tutaj w godzinę, może załaduje się strona, rezygnujemy. Chłopak z obsługi, wyraźnie jeszcze zaskoczony sposobem sprawdzania szybkości łącza, coś marudzi, że on mimo to jest szybki, ale nawet nie otwieram żadnej strony, stosunek szybkości do ceny jest bardzo niski.



Zdjęcie powyżej - oto co sfotografowałem wieczorem w lodge, na półce z towarami. Jak się później dowiedziałem od właścicielki firma *JESUS – The Egg Traders Company*, ma monopol na świeże jajka w Himalajach. Nepalczycy też znają Jezusa, tylko nieco z innej strony niż my.



**2009.03.28 – Dzień 7 (sobota) – Tengboche, 3860m n.p.m.**

Po porannym śniadaniu złożonego z najtańszego omletu za 130rs (6,5zł) i herbaty za 30rs rozliczamy się i ruszamy w drogę. Wyjście z *Namche* jest bardzo strome, usłane całymi setkami schodów ale idzie mi się znacznie lepiej, może się już trochę zaaklimatyzowałem, lub po prostu kije tak ułatwiają chodzenie, choć z nimi trzeba się nauczyć chodzić. Pierwsze nowe erytrocyty we krwi transportujące tlen, pojawiają się podobno po 3-4 dniach przebywania na wysokości, więc wypadłoby na dziś.

Pogoda jest dobra, mamy po drodze ładne widoki na otaczające szczyty, idziemy doliną na wysokości 3250m pomiędzy 6-tysięcznikami: *Thamserku* (6608m) i *Taboche Peak* (6367m). Na zdjęciach, kolejno Ja, Marcin i Rafał – korzysta z ostatnich momentów zasięgu sieci GSM z *Namche*, wchodzimy w region dzikich gór gdzie samotnie wypadek na szlaku i brak telefonu satelitarnego to koniec.



Ścieżka cały czas trawersuje dość strome zbocze, idziemy dość szybko, na pierwszej prostej wymijamy Szerpów powoli gramolących się z ich bagażami, niezłą mamy kondycję pomijając fakt, że taki którego mijamy na plecach ma ładunek od 50kg w górę. Marta wspominała, że prawdziwi Szerpowie wyszli już dawno z noszenia, dorobili się na turystyce i prawdziwego *Sherpe* czyli przewodnika albo wspinacza nie należy mylić z tragarzem. Nazwa wzięła się z połączenia *sher* "wschód" + *wa* "lud", czyli ludzie gór i całość nacji stanowią uchodźcy z Tybetu. Początki ich osadnictwa to aż XIIIw. Do dziś stanowią mniej niż 1% całkowitej ludności Nepalu co z liczebnością około 100 000, jest dużą wielkością, biorąc pod uwagę, że w Nepalu spotkać możemy aż 50 różnych nacji. Wyrażenie ludzie gór, jest dosłownym, bo ich

domy, przeważnie znajdują się na dużych wysokościach a stolicą jest właśnie region *Khumbu*. Początkowo zajmowali się hodowlą bydła i uprawą roli, jednak z czasem, w miarę komercjalizacji i rozwoju turystyki, jako rdzenni i niemal jedyni mieszkańcy rejonu zaczęli to wykorzystywać. Dziś ze względu na dobrą znajomość terenu i przystosowanie są przewodnikami, właścicielami lodge czy lokalnymi przedsiębiorcami w ten czy inny sposób zarabiają na tym. Tutaj nawiążę do jednej z genialnych relacji którą czytałem jeszcze przed wyjazdem. Ktoś pisał, żeby nie brać ze sobą namiotów i jedzenia tylko spać po lodgach i dać im zarobić, cyt. „...to biedni ludzie są”. Wprawdzie namiotu i jedzenia nie wzięliśmy z przyczyn ładunkowych, ale nie wiem jak ktoś mógł napisać taką głupotę. Wystarczy porozmawiać z tymi „biednymi” ludźmi, żeby się dowiedzieć, że poza sezonem, mieszkają albo w *Namche* albo w *Kathmandu* gdzie mają mieszkania, ich dzieci studiują zagranicą, a oni sami zjeżdżili pół świata. Co niektórzy obwieszają się już złotem i sygnetami. Biedny tutaj jest przeciętny tragarz, który zarabia od 600rs (30zł), dziennie za targanie ciężkiego ładunku w góry, natomiast przeciętny właściciel lodge zbiera od kilku do kilkunastu tysięcy rupii na dzień netto, nie przesadzając. To są lokalni szejkwowie i nie ma co ukrywać, najbogatsi ludzie we wsiach, Marta się zgadza z naszą opinią.

Sami tragarze też bardzo biedni nie są, wystarcza im na życie i często też utrzymanie całej rodziny, choć za noszenie swojego ładunku płacą słoną cenę. Przeciętny tragarz w wieku 25lat wygląda na 35. W wieku 40 lat jego praca się kończy i nie może już chodzić z powodu zwyrodnienia kolan, a średnia długość ich życia wynosi 55lat, smutne, ale prawdziwe. Na biologii w szkole podstawowej uczyli mnie, że tylko mrówka może unieść i nosić tyle ile sama waży, a nawet, więcej. Jestem pewien, że moja nauczycielka nie była w Nepalu. Mały chłopiec może tutaj z powodzeniem nosić ciężar większy od siebie, wprawdzie jego tempo nie przekracza 2km/h, każdy krok jest przemyślany i ostrożny, ale czego się nie robi dla pieniędzy.



Najlepsze w nich jest to, że za całą trasę spotkaliśmy tylko jednego tragarza, który szedł w profesjonalnych butach, nawet lepszych niż nasze. Ten na zdjęciu idzie w pantoflach, reszta nie jest lepsza. Często chodzą w zwykłych klapkach, niosąc kilkakrotnie cięższy bagaż od naszego. Życie dzieci nie mających tutaj szans na edukację jest ciężkie i szybko się kończy. Ciekawe co taki sobie myśli o nas, zazdrości nam? czy śmieje się z lekkiego plecaka i całej masy sprzętu ułatwiającego chodzenie, chyba po trochu z każdego.

Na postoju dogania nas i wyprzedza stado jaków, a raczej *drongów* lub *dzo* jak tutaj są nazywane, jest to samiec krzyżówki jaka z bykiem, na wysokości poniżej 3000m jest jeszcze za ciepło na prawdziwe jaki. Według informacji od lokalnych, dobry *dzo* kosztuje do 9000rs (448zł), a dobry *jak* 10000-12000rs (497 – 597zł), czyli byłoby nas stać.

Idziemy chwilę za stadem co nie jest przyjemne, jaki wzniesają tumany pyłu, poganiacze mają maski na twarz chroniące przed kurzem, my niestety nie mamy i wdychamy cały ten pył. Jeszcze przed wyjazdem zastanawiałem się w jaki sposób można się zarazić pasożytami, odpowiedź jest prosta. Jaki walą kupy na szlak, te kupy dopóki są mokre spełniają rolę nieprzyjemnych min, na, które trzeba uważać przy chodzeniu. Natomiast po wyschnięciu rozpadają się i wpadają między kamienie. Szczeliny pomiędzy kamieniami są wypełnione w całości właśnie taką drobną kupą z zarodnikami pasożytów. Jaki idąc, wzniesają tumany tego kurzu i nie ma siły żeby przed nim uciec, wdycha się go, a potem już droga jest prosta. Na pierwszym rozszerzeniu szlaku wyprzedzam stado, Rafał z Marcinem robią na następnym rozszerzeniu to samo, nareszcie można oddychać. Takie stado z poganiaczem idzie sobie powoli, ale systematycznie i dlatego nasze postoje są czasowo ograniczone. Z tego co zauważyłem wiele tras na mapach jest przeliczona na godziny i są to godziny wyznaczone tempem jaków. Dla przykładu trasę wyliczoną na pięć godzin można nie przemęczając się przejść spokojnie w trzy godziny, pod warunkiem, że nie będziemy robić długich przerw. Przeciętni turyści, jednak nie poruszają się dużo szybszym tempem. Nas dla przykładu karawana dogania na długich postojach, więc o ile idziemy dużo szybciej tak długo odpoczywamy co parę kilometrów.

Turyści z grup zorganizowanych zaczynają nawet mnie już wkurzać, z przodu idą tragarze niosąc ich ciężkie plecaki i zwykle docierają na miejsce noclegu przed nimi. Drugą falą idą turyści niosąc swoje aparaty i 2kg plecaczki z wodą. Strasznie są zajęci rozmową, zwykle bardzo hałaśliwi i śmiejący a swoje potrzeby fizjologiczne załatwiają gdzie popadnie. Tępo też mają wolne, dlatego wyprzedzamy kilka takich grup. Wszyscy patrzą na nas jak na herosów, czasami można nawet usłyszeć

komentarz, bo przecież jak można nosić swój główny bagaż ze sobą. Na dodatek idą z przewodnikiem, który im każe wstawać o 7 rano i ruszać w drogę. Zazwyczaj jak my wychodzimy w drogę i jemy w lodge śniadanie to jest już pusto, choć na nocleg i tak będziemy przed nimi.

Trawers zбочem staje się dość stromy i w końcu, na szczycie ostatniego już wzgórza docieramy do naszej planowanej na nocleg miejscowości, *Tengboche*. Podejście tutaj przypominało trochę podejście do *Namche*, bardzo stroma, zygzakowata ścieżka i za każdym wzniesieniem gdy myśleliśmy, że to już koniec, odślaniały się przed nami kolejne strome metry. W sumie do pokonania dziś było 420 metrów w pionie, z czego dobrych kilka setek to właśnie to ostatnie, męczące podejście.

Do miasta wchodzimy w zasadzie w samą porę, chwilę po przyjsciu nadchodzi gęsta mgła, słońce gdzieś znika i robi się zimno. Zastanawiamy się nad lodge, po czym na jednej widzimy napis „*Hamburger*”, bez zastanowienia wpadamy do środka na herbatę, pytając o hamburgery. Niestety z nich został tylko napis. Ja zostaję w głównym pokoju nad mapą, chłopaki rozmawiając wychodzą do łazienki, wracają ...niespodzianka, z Darkiem. Darek zatrzymał się tu na nocleg, usłyszał z pokoju polski język i nas poznał. Szybka decyzja i też tu zostajemy na nocleg, Rafał z Marcinem biorą jeden pokój, ja wbijam się do dwójki Darka.

Wieczór cały schodzi na rozmowie, jak już wspomniałem Darek przygotowuje się do wejścia na Everest, a na koncie ma już jeden ośmiotysięcznik – *Cho Oyu* od strony tybetańskiej. Opowiada jak wygląda zdobywanie szczytu i szczerze powiedziawszy im, dłużej słucham, tym bardziej mam ochotę się tam wybrać. Opowiada, że są już nawet komercyjne wycieczki na szczyt, ale nie jest to dobre, wychodzą tam czasem ludzie zupełnie nieprzygotowani do zdobywania wysokości. Czekać, mieszka się pod szczytem w *Base Campie*, gdy on wchodził na szczyt czekali 6 tygodni na okienko z dobrą pogodą. Mówi, że ludzie często wysiadają, ale właśnie na oczekiwaniu, mieszkanie 6 tygodni bez prysznica z dala od cywilizacji z monotonnym jedzeniem może zabić, podczas gdy same trudności techniczne nie są takie straszne. Pozwolenie na wspinaczkę też nie jest drogie, nie wiem ile to jest dokładnie w tej chwili, ale słyszałem o 6000\$, to przecież jest kwota do zdobycia, a ośmiotysięcznik na koncie to jest coś. Strasznie się napaliłem na taką wyprawę, wieczorem przeglądam mapy i przewodnik w poszukiwaniu wszelkich informacji o tej górze łącznie z trasami wejścia.

To w zasadzie dopiero pierwsza lodge która wygląda tak jak w opisach czytanych przed wyjazdem. Mała chata z ciasnymi pokoikami, życie wieczorem skupia

się w jednym głównym pokoju gdzie stoi piec opalany suszonymi kupami jaków. Można usłyszeć wszystkie języki, choć dominuje angielski. Kolejno od lewej w kącie, pod ścianą angielscy turyści. Wokół pieca dziewczyny z czerwonego krzyża, które poznaliśmy wieczorem, potem pies przybłęda, Darek, Marcin i Rafał. Energia elektryczna jest z baterii słonecznych ładowanych w ciągu dnia, wystarczających na kilka godzin światła wieczorem. Na piecu, tak jak tutaj zazwyczaj grzeją wodę na wrzątek którą sprzedają za około 100-150rs (10-15zł), za litr.



Na kolację zjadamy standardowo ryż lub ziemniaki, w coraz to innej postaci, jednak bez względu na sposób przyrządzenia, smakuje to tak samo. Deser dopełnia ser z naka kupiony przez Darka, smakuje bardzo podobnie jak zwykły biały krowi w Polsce.

Jest już późno gdy do lodge wpada wycieczka zorganizowana, około 8 osób (2kg plecaczki wszyscy), z przewodnikiem, z czego trójka z poważnymi objawami AMS. Jedna osoba (stary dziadek), wygląda jak po przebyciu Sahary, ciężko dyszy i kaszle do chusteczki z czerwonymi plamami (obrzęk płuc). Kolejna kładzie się i w momencie zasypia na stole, ma lekko zachwianą równowagę (obrzęk mózgu), a ostatnia z nich, uciekła zaraz do ubikacji skąd dochodziły tylko odgłosy wymiotowania (zaburzenia trawienia). Przewodnik (ma to wszystko gdzieś), zbiera wszystkich w kącie, zasiada na krześle i przedstawia im plan. Jutro schodzą na dół i mają wyjść o 7:30, (hahaha), gdy my będziemy jeszcze w środku spokojnego snu.

Jesteśmy już prawie na 4000 metrów, za oknem mgła i zrobiło się naprawdę zimno. Wkroczyliśmy w strefę gdzie już nie jest za ciepło wieczorami, temperatura

może nie spada jakoś drastycznie poniżej zera, tylko kilka stopni. W dzień jest parę stopni na plusie, ale niskie ciśnienie i wysoka wilgotność powoduje, że temperatura odczuwalna jest dużo niższa niż rzeczywista. Chłopaki mają puchowe śpiwory, ja trochę nie trafiłem i zamiast lekkiego, małego, puchowego śpiwora kupiłem duży i ciężki syntetyk. Puchowe śpiwory mają to do siebie, że mało ważą (przeciętnie około kilograma), dają się skompresować do niewiększego niż kilku litrowa butelka pokrowca, bardzo się rozprężają po wypakowaniu i są bardzo ciepłe. Wadą jest cena, naprawdę dobry, markowy śpiwór z około kilogramem gęsiego puchu, jaki teraz chcę kupić w Alpy, kosztuje w granicach 1000zł. Pranie też nie jest zalecane, bo puch na wilgoć jest bardzo wrażliwy i zbija się po zamoczeniu. Śpiwory syntetyczne za to prać można, na wilgoć są bardziej odporne, szybko schną ale kompresują się kiepsko i choćby nie wiem co, nie są za ciepłe. Dla porównania zwykły śpiwór syntetyczny, żeby dorównać parametrami naturalnemu z 500gr puchu musiałby ważyć jakieś 5kg. Mój model Campusa w wersji dodatkowo wielkiej koperty, XL waży prawie 3kg. Jedyna zaleta to cena, syntetyki poza tymi profesjonalnymi są bardzo tanie. Śpię, więc w pełnym ubraniu zdejmując jedynie kurtkę i buty, dodatkowo wszyscy prosimy o koce na śpiwór. Dostajemy duże puchowe kołdry, nie zmarzniemy w nocy.

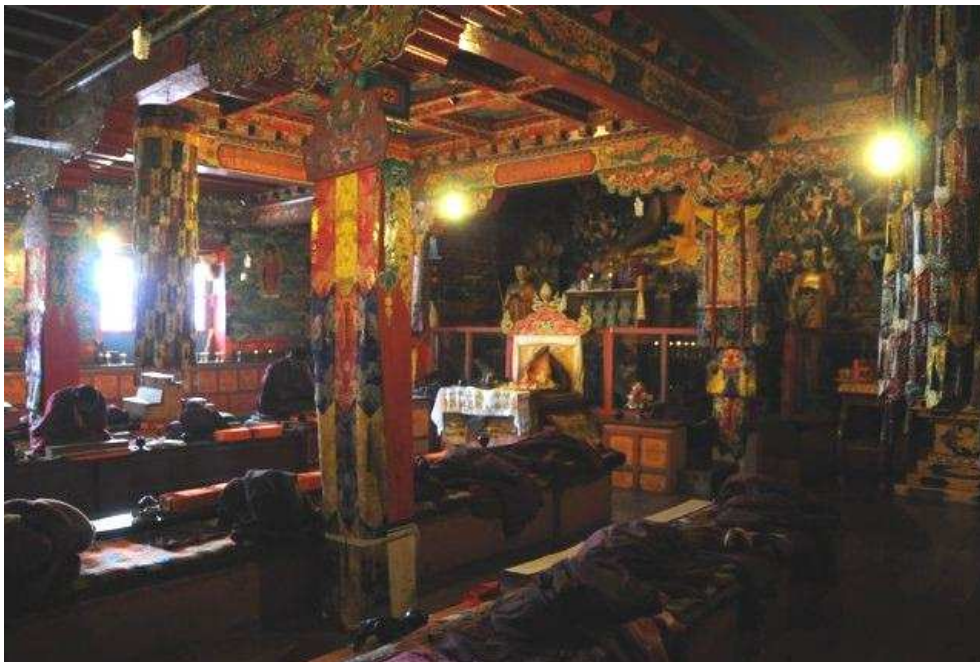
Noc, przynajmniej mi, mija spokojnie, tylko raz budzę się w środku nocy z potrzebą fizjologiczną, wychodzę ze śpiwora i chyba nie wziąłem porządnego wdechu, bo ku mojemu zdziwieniu kręci mi się lekko w głowie, docieram jakoś do ubikacji, potem z powrotem i zasypiam natychmiast. W jednej relacji wyczytałem, że można obudzić się w nocy z paniką, nie mogąc nawet ustać na nogach, lub nawet nie obudzić się wcale. Objawy AMS lubią dopadać podczas odpoczynku. Na wszelki wypadek podręczną butle z tlenem jeszcze przed zaśnięciem położyłem blisko łóżka.

### **2009.03.29 – Dzień 8 (niedziela) – Periche, 4270m n.p.m.**

Parę minut przed szóstą, obudziły mnie głośne konwersacje na korytarzu i straszny akcent tych głośnych Anglików, myślą, że jak oni wstają o tej porze to pewnie wszyscy tak wychodzą. Odwracam się na drugi bok i śpię dalej. Pół godziny później, walenie do drzwi, skrzywiłem się na myśl, wyjścia spod ciepłej kołdry z nadzieją, że może Darek wstanie, ale nie wstał a walenie się powtórzyło. Ich niewiele mądrzejszy przewodnik widząc mnie i moją minę natychmiast przeprosił, pokoje się mu pomyliły, a kogoś z wycieczki mu jeszcze brakowało. Rano dzielimy się spostrzeżeniami, chłopaki też dobrze spali, tylko Darek miał niespokojny sen, ale nie przez wysokość, tylko przez hałasy w nocy. Mamy pokój blisko ubikacji, mówi, że spał od pawia do pawia, zliczając wszystkie. Jedna z tych osób, które wpadły wieczorem do lodge, całą

noc wymiotowała z niedotlenienia, średnio raz na godzinę. Wszyscy wyszli dziś wcześniej, w chacie zostaliśmy już tylko my i wczoraj poznane dziewczyny z Austrii, im też się nie spieszy, nie mają przewodnika (poganiacza).

Przy śniadaniu robimy mały wywiad z właścicielką, tak jak większość właścicieli ma mieszkanie w Kathmandu, dzieci studiują za granicą, a ona w sezonie prowadzi lodge. Sezony tutaj są dwa, pierwszy, wiosenny, od marca do maja, potem pora monsunowa czyli deszcze i mokro oraz sezon jesienny, ponoć bardziej uczęszczany, od września do listopada. Kobieta mówi, że jak nas zobaczyła to pomyślała, że albo Polacy albo Rosjanie, podobno nikt inny nie nosi plecaków ze sobą. Mówi, też, że nie wyglądamy na Polaków, tych już tu miała, byli źli i wiecznie niezadowoleni, a my się śmiejemy i rozmawiamy po angielsku z innymi. Po rozliczeniu częstuje nas darmową cytrynową herbatą i ruszamy w dalszą drogę. Uprzednio zwiedzamy jeszcze pobliski klasztor, z którego to *Tengboche* słynie. Klasztor zbudowano w 1916r a założycielem był *Lama Gulu*. Przeszedł wiele, początkowo zniszczony przez trzęsienie ziemi w 1934r a potem przez pożar w 1989r. Później wraz z rozwojem turystyki został odbudowany z wysokich podatków, jakie płacą mu tutejsi mieszkańcy i właściciele lodge. Początkowo nie było tutaj nic poza samym klasztorem. Niestety odbijają się to na tutejszych cenach. Akurat trafiliśmy na porę modlitwy, muszę przyznać, że klasztor od środka wygląda naprawdę tajemniczo.



Przez pierwsze kilometry idziemy razem z Darkiem. Darek decyduje, że pójdzie do *Dingboche* i tam zostanie na jeden dzień aklimatyzacji, zahaczając o *Chhukung*.

My idziemy prosto na północ w kierunku *Periche*. Dwie miejscowości blisko siebie, przedzielone jedynie pagórkami, na mapie to fajnie wygląda, w rzeczywistości to dość wysoka pagórek. Zgodnie z planem mieliśmy tu zostać również na aklimatyzację, ale ja ze względów głównie oszczędności proponuję nie zatrzymywać się i iść dalej. Jak na razie nic nam nie jest. Weryfikujemy plan i stwierdzamy, że wznoszenie mamy nie przemyślane. Siedzimy dwa dni w *Periche*, żeby potem nagle wznieść się aż do *Lobuche* i to o całe 900m. To prawie kilometr wyżej, jak dotąd nic nam nie jest, tak tam może coś być. Ostatecznie na mapie jest jeszcze mała miejscowość *Dughla*, oddalona o niecałe 4km, z różnicą wysokości 400m w stosunku do *Periche* i tam decydujemy się jutro dotrzeć.

Około południa na szlaku rozstajemy się z Darkiem i odbijamy w lewo, ale jest, prawie więcej niż pewne, że go jeszcze spotkamy. Jak się później okazało, odbiliśmy za wcześnie o kilometr, ale nie nadłożyliśmy dużo, a przeszliśmy koło wspaniale usytuowanej stupy z widokiem na *Ama Dablam* (6856m n.p.m.). Tak powstało zdjęcie na pierwszą stronę tej relacji. W drodze przechodzimy przez ciasne uliczki *Pangboche*, trochę po nich błędząc i bez większego wzruszenia mijając, nie wchodząc do środka, jedną (jak się dopiero później dowiedziałem), z najwspanialszych Gomp w tym rejonie. Jakoś nie żałuje, że jej nie zwiedziliśmy, to była już chyba pięćdziesiąta Gompa jaką widzieliśmy. Pierwsza była fascynująca, teraz wszystkie są podobne, nic już nas w nich nie zaskoczy.

Idąc drogą wymijamy w trasie pielgrzymkę do EBC i to w sensie dosłownym, spotkaliśmy ich już wcześniej. Komercja nie zna granic, jakiś pomysły właściciel biura wymyślił wycieczkę pod nazwą „*Everest Base Camp Expedition 2009*”, oczywiście masa Anglików, narodu dumnego jeśli chodzi o zdobywanie Everestu, zaraz kupiła taką ofertę. Teraz idą wszyscy szlakiem, niosą swoje 2kg plecaki, za nimi idzie stado jaków, niosąc ich namioty i bagaż. Wszyscy mają jednakowe polary i naszywki na ramieniu z hasłem wycieczki. Wygląda to jak pielgrzymka, idą za przewodnikiem, wieczorem rozbijają namioty, rano je zostawiają na miejscu i obsługa ładuje je na jaki zawożąc na miejsce kolejnego noclegu. Tempo trekkingu mają poniżej tępa jaka, rozwalają się po całym szlaku i ciężko ich wyminąć. Do tego wszyscy w rękach mają aparaty, śmieją, są głośni i wykrzykują jeden do drugiego jakie wspaniałe te góry, pstrykając 100zdjęć/dzień. Są też często w wyraźnym szoku jak ktoś, z tak dużym plecakiem jak nasze może iść szybciej niż oni.

Pogoda w miarę pokonywania drogi zaczyna się bardzo psuć, niebo zasnuwają gęste chmury a z daleka nadciąga gęsta ściana mgły. Gdy widzimy już z daleka naszą miejscowość, pozostaje jeszcze zejść w dół i przekroczyć most, ale nie jest to łatwe.



Wieje już chyba, że 100km/h. Do tego wali deszczem, śniegiem, a dłonie już mi chyba zupełnie odmroziło. Nie spodziewaliśmy się takich warunków, tak szybko. Nie ma szans się teraz zatrzymać i szukać po plecaku rękawiczek, na drugi dzień obiecuję włożyć je sobie na samą górę plecaka. W końcu, już dość zmarznięci wpadamy pomiędzy zabudowę domów i wbijamy się do pierwszej z brzegu lodge, dziś nie będziemy wybredni.

Ja: Namaste

Tubylec: Namaste ☺

J: Macie pokój dla trzech?

T: Tak proszę pana.

J: Mam na myśli, jeden pokój z trzema łózkami.

T: Tak proszę pana.

J: Ale z trzema łózkami?

T: Pokój, tak.

J: Ile?

T: Eeee, tak proszę pana

J: Tak, ale ile?

T: Tak!

*...cholera, następny tubylec znający 3 słowa po angielsku.*

Nigdy nie wiadomo jaki jest poziom angielskiego Twojego rozmówcy. Niekiedy w lodge są chłopcy z obsługi, którym trzeba palcem pokazać pozycję w menu jaką się zamawia, bo nie rozumieją języka mówionego. Inni rozumieją słabo i tylko kilka słów, strasznie kalecząc wymowę a jeszcze inni, przeważnie tacy po których najmniej by się tego spodziewać, zaczynają rozmowę tak płynnym językiem, że aż mi głupio. Przeważają jednak Ci ze słabym angielskim. Ostatnio rozmawiałem z takim jak próbowałem się dowiedzieć jeszcze w *Lukli*, gdzie jest biuro naszej linii lotniczej, na wszystkie pytania odpowiadał „Tak, oczywiście”, co nawet miało sens, ale tylko przez pierwsze pytania:

Ja: Czy to biuro Sita Airlines?

Tubylec: Tak, oczywiście.

J: Ale teraz zamknięte?

T: Tak, oczywiście.

J: Później będzie otwarte?

T: Tak, oczywiście.

J: A o której godzinie?

T: Tak, oczywiście.

*...e, dopiero tutaj zrozumiałem o co chodzi.*

Idziemy dalej, druga kolejno chata jest zamknięta i chyba wyludniona, wchodzimy do trzeciej:

Ja: Namaste

Tubylec: Namaste ☺

J: Do You have room for three?

T: Aaaaa (uciekł),

J: WTF?

Oglądamy się na siebie, co jest grane? Nie trwało to dłużej niż 5 sekund, po czym z drzwi, w które uciekł, wychodzi kobieta i „*Can I help You?*”, ...nareszcie.

Bardzo miła gospodyni, widząc, że nam wyraźnie zimno każe nam zasiąść wokół pieca, do którego wrzuca przygotowane wcześniej kupy jaków. Rozgrzewając się przy piecu, na kolację zamawiam dwa dania. Miałem oszczędzać, ale w końcu dziś niedziela i Polacy jedzą tradycyjny obiad złożony z dwóch dań. Na pierwsze danie, zupa – *dal soup*, bardzo dobra, tradycyjna i szeroko znana w Nepalu zupa z soczewicy. Na drugie bardziej przyziemnie, makaron z żółtym serem i jajkiem, w sumie dobra kolacja kosztuje mnie 380rs (18,9zł), razem z herbatą, ceny są jeszcze OK.

Po kolacji dochodzimy do wniosku, że chyba jednak źle trafiliśmy, schodzą się tubylcy i jesteśmy w zasadzie jedynymi białymi turystami którzy się tutaj zatrzymali. Tylko przez okno zauważyliśmy może dwie nietutejsze osoby, ale przeszły szybko w głąb osady. Tragarzy przybywa coraz, więcej i w szczytowym momencie jest ich chyba z dziesięciu. Zaczynają jeść kolację mlaszcząc przy tym tak, że zawstydziliby niejednego polskiego bezdomnego. Część z nich po kolacji rozmawia między sobą, inni siedzą cicho i patrzą się tylko w ścianę przed sobą. Wszyscy tutaj nie mają szans na edukację, z tym, że jednym sytuacja ekonomiczna na to nie pozwala, inni nie bardzo chcą. Część z nich do końca swoich dni zostanie tragarzami, co sprytniejsi, wyrobiją się na przewodników jeśli tylko uda się im opanować dobrze język angielski. Tylko ich orientacja seksualna wydaje się podejrzana i to będziemy jeszcze zauważać do końca podróży. W krajach arabskich czymś normalnym jest, gdy kolega trzyma drugiemu rękę na kolanie, ale Ci tutaj wyraźnie się obmacują pod stołem. Robią to niezależnie od wieku i sytuacji. W zasadzie jest mi to obojętne co robią między sobą, ale Rafał żartuje, że lepiej się na noc dobrze zamknijmy w pokoju od środka.

**2009.03.30 – Dzień 9 (poniedziałek) – Dughla, 4620m n.p.m.**

Tragarze, potrafili się rano zachować bardzo cicho (czego nie można powiedzieć o Anglikach dzień wcześniej). Rano gdy się budzimy, ani jednego już nie ma w lodge. Wyszli dość wcześnie, nieść swoje ciężkie pakunki dalej. Nie spieszymy się specjalnie, pogoda zazwyczaj rano jest ładna, a my dziś mamy do przejścia może 4-5km, ale z dużą różnicą wysokości, więc trzeba ostrożnie. Na śniadanie zamawiam omleta, ten niezależnie gdzie kupowany, wygląda tak samo, różni się jedynie ceną i dodatkami. Dwa roztrzepane jajka i tak usmażone, że są strasznie cienkie. Ceny posiłków nie są bardzo różne i w zasadzie na każdej wysokości zbliżone. Niezależnie od tego co jemy na kolację, spanie i śniadanie czyli w zasadzie można by to nazwać HB (*Half Board*), zostawiam w każdej około 1000rs (50zł), tutaj nie jest inaczej. Najdroższe jednak są śniadania, za dobrą kolację i pełny talerz ryżu z dodatkami płacimy około 300rs (15zł), podczas gdy za głupi omlet śniadaniowy trzeba już dać 200rs, co nijak się nie ma do stopnia najedzenia. Najciekawiej jednak wygląda chleb ...jest kosmicznie drogi. Za zwykłą małą kromkę chleba tostowego, trzeba tutaj zapłacić 100rs co się równa 5zł, za to w Polsce, można kupić dwa całe bochenki w piekarni. Wytłumaczeniem jest to, że muszą z dołu nosić mąkę, a ta jest ciężka, jednak to i tak się nijak nie kalkuluje. W *Tengboche* jest piekarnia gdzie ten chleb wypiekali, nie wiem ile kosztował cały bochenek chleba, ale za małą, twardą bułkę, taką kajzerkę (cena w Krakowie 29gr), chcieli 300rs (15zł). Podstawowym jedzeniem w Polsce jest chleb, tutaj ze względu na cenę, to co wyrośnie samo czyli ryż albo ziemniaki. W sumie to chleba zaczyna nam już brakować, nie sądziłem że, kiedyś do tego dojdzie, ale wieczorami, jak nam się nudzi, to rozmawiamy o jedzeniu wspominając frytki i hamburgery z popularnej sieci Mc'Donald's. Nie żeby jedzenie tutaj mieli złe, ale wszystko smakuje podobnie i po paru dniach monotonii, może się naprawdę znudzić.

O dziesiątej idziemy już przez wieś, specjalnie się nie spiesząc, wysokość jest dość znaczna i nie wolno się przemęczać, łatwo o niedotlenienie, a potem ból głowy. Miejscowość jest dość duża, jak na sezonowe życie. Poza sezonem ludzie wyprowadzają się do miast niżej. W porze monsunowej, czy w zimie tutaj nie ma co robić i są też odcięci od świata. Pomimo to, mają tutaj szpital, w części finansowany przez *Himalayan Rescue Association* (Himalajskie Towarzystwo Ratownicze) i prowadzony przez wolontariuszy z krajów całego świata. Placówka ta, jak nie trudno zgadnąć specjalizuje się w leczeniu choroby wysokościowej. To właśnie tutaj trafiają ciężkie przypadki z obrzękiem płuc, czy nawet mózgu, spowodowanych wysokością. Szpital powstał w 1973 roku i od tego czasu zmniejszyła się liczba ludzi umierających tutaj z powodu zbyt szybkiego zdobywania wysokości. Placówka nie tylko wyposażona jest w tlen, ale również w komorę hiperbaryczną. Dziś poza leczeniem turystów,

szpital prowadzi badania nad lekami i ich wpływem na wysokość. Jak wyczytaliśmy w jednej lodge, można się nawet bezpłatnie zgłosić na testy różnego rodzaju leków, podczas przebywania w górach. Ponadto, w każdy wtorek o piętnastej, prowadzone są seminaria, na temat bezpiecznego zdobywania wysokości (uwaga, ta pora zmienia się co roku). Nie jest to jednak takie piękne, poza testami leków i seminariami, za typową wizytę i poradę się płaci 300rs (15zł). Trzeba więc być ciężko chorym, aby tu trafić i wyjść bez płacenia.

Szlaku, czy żadnej drogi poza miejscowością dosłownie nie ma i czuć prawdziwie dzikie góry, ale takie bardzo dzikie, jak chyba nigdzie indziej. Idziemy bardzo szeroką, surową doliną z lewej strony mamy *Taboche Peak* (6367m n.p.m.), który w zasadzie już obeszliliśmy. Z prawej strony kamienistą dolinę zamyka *Pokalde* (5806m n.p.m.). Drzew brak, z roślinności tylko resztki słabej trawy. Krajobraz iście księżycowy i idąc, pierwszy raz, trzeba chwilami zerknąć na kompas i w odpowiednim miejscu przy wylocie z doliny odbić na północ. Idąc dalej, na północny-zachód, dojdzie się do *Dzonghli*, a na to jeszcze za wcześnie. Najpierw musimy zobaczyć i oddać pokłon wielkiej górze. To w zasadzie ostatnia taka płaska dolina, jutro wchodzimy już na morenę lodowca *Khumbu*, który swój początek ma właśnie na Evereście. Wyobrażam sobie lód, śnieg, zimno i krajobrazy jak z Alp. *Dughla*, lub też *Thokla* (zależy od wymowy, ostatecznie przyjęto dwie nazwy), jest w zasadzie ostatnią miejscowością gdzie ten lodowiec ma swój koniec. Tutaj początek ma strumień wypływający spod lodu, który w *Namche* oczyszczają, butelkują i reklamują jako wodę z Everestu. W zasadzie jest w tym trochę prawdy.

Jeszcze na etapie przygotowań, zastanawiało mnie dlaczego nie można pić wody ze strumienia, zrozumiałem to tutaj. Wystarczy, że jeden taki *jak* walnie kupę do wody i już jest zanieczyszczona. Wypij, a pasożyty pewne. W zasadzie wielu himalaistów po powrocie do kraju, leczy się na jakąś amebę, mnie badanie też czeka. Trzeba uważać, takie choroby potrafią być bardzo przewlekłe i ciężkie. Nie trzeba wiele, w zasadzie wystarczy wdychać tylko to zakurzone powietrze, stada jaków z wielkimi torbami mijają nas tutaj cały czas, gdyż jest to droga bardzo uczęszczana przez dostawców do EBC.

Na tej wysokości są już prawdziwe jaki, początkowo gdy pierwszy raz natrafiliśmy na prawdziwego jaka pomyślałem, że to jakiś *turbo-jak*, mutacja, albo się wściekł i ruszył zabijać turystów. W porównaniu z takim *dzo*, jest nawet do 40% większy, ma długą sierść, niemal po samą ziemię, wielką głowę, rogi i chodzi do 30% szybciej. Te, które nas pierwszy raz mijaly dosłownie pędziły, podczas gdy zwykłe *dzo* gramolą się krowim tempem. Wrażenie było o tyle silniejsze, że idziemy sobie

spokojnie, a tutaj nagle, zza pagórka wyskakują takie potwory z czerwonymi ślepiami, aż przystanęliśmy z wrażenia i niepewności. Dopiero Darek nas później oświecił i wyjaśnił, że to nie są wściekłe jaki, tylko prawdziwe jaki. Ograniczone są jednak wysokością i ceną, przez co większość tragarzy, tych co chyba nie mogą już nosić albo się już dorobili, używa krzyżówek z bykiem. Ktokolwiek oglądając zdjęcia twierdzi, że widzi na nich jaki, jednak tych jest tutaj bardzo mało, przeważają *dzo*. Oczywiście jak dla mnie koszt prawdziwego jaka się zwróci, jest szybszy i wydajniejszy, ale przeciwnie do *dzo*, niżej niż do *Namche* z nim się nie bardzo da zejść, a umowy na transport zaczynają się w *Lukli*. Uściślając i informując mamy tutaj 2 gatunki i 4 nazwy:

- *Jak* – typowe duże zwierze z długą sierścią, czerwonymi oczami, szybkie, wydajne i groźne ale tylko tam gdzie zimno, źle znosi ciepło.
- *Nak* – Samica niebezpiecznego jaka.
- *Dzo* – Samiec krzyżówki jaka z krową, czyli popularny środek transportu, tam gdzie cieplej, daje radę też tam gdzie zimno.
- *Dzom* – Samica *dzo*, bardzo często wypasana na niższych stokach, dająca smaczne mleko, przerabiane na ser.

Smaczny biały ser, określany często przez turystów jako ser z jaka (prawidłowo powinien się nazywać serem z naka), jest najczęściej podróbką, bo mleko powszechnie jest brane od dzom. Jeśli więc ktoś mówi, że jadł ser z jaka, to w Polsce najpewniej jadł też ser z byka. Można powiedzieć, że prawdziwy ser z naka sprzedawany w *Namche* jest tutaj tak trudno dostać, jak prawdziwy oscypek z owczego mleka w Krakowie – niemożliwe. Wszędzie sprzedają krowie podróbki.

Początkowo pogoda jest dobra, przynajmniej dopóki świeci słońce. Nawet czuję, że mnie lekko opaliło na twarzy. Momentami tylko wieje zimny wiatr z gór, co szczególnie przeszkadza po chwili na postojach. Gdy się idzie to w ruchu, jest w sam raz. Jeśli natomiast znajdzie się ustronne miejsce, pomiędzy wielkimi kamieniami, gdzie jest słońce i nie dochodzi wiatr to jest bardzo ciepło i przyjemnie, choć jak zdradliwa potrafi być ta pogoda to już wiemy. W ciągu 30 minut słońce i ciepło może zastąpić zimny wiatr i nawet śnieg. Niemniej dziś ubrałem już czapkę w której pozostanę przez najbliższe dni i rękawiczki. Pod polar dodatkowo włożyłem wełniany sweter i dodatkowy t-shirt (żółty z flagą Tybetu), na już noszoną koszulkę termoaktywną z długim rękawem. W sumie razem z kurtką mam na sobie pięć warstw, czyli prawidłowy ubiór w góry.

Około pierwszej po południu, nie spiesząc się zupełnie, po niecałych trzech godzinach wolnego marszu, dochodzimy do *Dughli* albo przynajmniej do czegoś co mamy za tą miejscowość. Nareszcie naszym oczom ukazuje się pierwsza, dość wysoka

lodowa skarpa, najpierw trzeba się po niej wspiąć, potem przejść nad małym mostkiem przerzuconym nad szczeliną, w głębi której płynie strumień i jesteśmy na miejscu. *Dughle* w zasadzie to trudno nazwać miejscowością, całą stanowi jedna chata, parę pomniejszych budek i stała ludność (w sezonie), w liczbie może 10 osób. To co złapałem w kadrze poniżej to w zasadzie cała wioska.



Pytamy o wolne pokoje, pora wczesna, więc jeszcze są. Cena jest standardowa. Zostawiamy plecaki w pokojach i siadamy przed lodge obserwując góry oraz przechodzących turystów. W dzień jest tu ich nawet dużo, przeważnie koło południa gdyż to uczęszczany szlak. Po południu zostaje już około 15 osób, które również zatrzymały się tutaj na nocleg. Właściciele wszystkich lodge mówią, że w tym roku jest 80% mniej turystów niż rok temu a Ci co są mówią o problemach ekonomicznych. Darek, też to potwierdza. W zasadzie wybraliśmy o tyle dobry czas na wyprawę, że można się nacieszyć dzikimi górami, nie ma tłumów i przede wszystkim nie ma problemów z miejscem do spania. Oczywiście normalnie wychodzenie o 7 rano ma sens, a jeśli idzie się grupą zorganizowaną to rano naprzód wysyła się jednego przewodnika, żeby dotarł szybko na miejsce i zarezerwował całą chatę. W tym roku z powodu kryzysu, my możemy się wyspać i przenocować bez problemu. Jak dotąd wszędzie gdzie zaszliśmy, mimo czasami późnej pory były wolne miejsca.

Siedzimy przed lodge w kurtkach, ale grzejąc się jeszcze w słońcu i oglądamy toczące się tutaj życie. Niżej w oddali, na równinie widać naszą wczorajszą miejscowość, w której zatrzymaliśmy się na nocleg. Powietrze jest wspaniałe, typowo „górskie”, ale i tak jak się weźmie pełny wdech to nie czuje się takiej satysfakcji z

oddychania jak w polskich górach. Dookoła trochę śniegu, gdzieś tam, widać miejscami duże fragmenty lodowca.

Miejscowość to w zasadzie taki łącznik komunikacyjny i dobry przystanek między przełęczą *Cho La*, trasą na dół i do EBC. Przez większość jest traktowana jako punkt pośredni przez co czegoś ruch jest tutaj duży, dla nas jest to nocleg na dziś. Około 15 przybywa chmur, pojawia się gęsta mgła która zakrywa skutecznie słońce i robi się zimniej, więc przenosimy się do środka. Liczba ludzi też już wyraźnie zmalała i cały szlak dobrze widoczny z lodge wyludnił się. Kto gdzieś szedł, już doszedł, na miejscu została ekipa która będzie tutaj nocować. Mamy grupę Anglików, kilku Amerykanów, czterech Rosjan i trzech Polaków (nas). W kącie śpi jakaś dziewczyna z Chin, zainteresował się nią jeden z obsługi, pyta jak się czuje, ale ona coś taka „niemrawa”. Każe jej wstać i przejść się kawałek wzdłuż prostej deski, Chinka robi 3 kroki każdy w inną stronę i o mało się nie przewraca. Następny test, zamknij oczy i trafia palcem w czubek nosa, dziewczyna uderza się w czoło ...bez szans, musi natychmiast zejść niżej. Problem w tym, że jej znajomi wyszli na wycieczkę aklimatyzacyjną i ich jeszcze nie ma, ją samą zostawili. W końcu jedna osoba z obsługi pomaga jej i powoli ruszają w dół, najpewniej trafi do mijanego przez nas szpitala w *Periche*. Utrata równowagi i senność to klasyczne objawy AMS, gdyby dać jej dłużej pospać, zapadłaby prawdopodobnie w śpiączkę. Gdzieś czytałem, że wielu zdobywców Everestu idących bez tlenu zginęło właśnie przez utratę równowagi. Po przeanalizowaniu wszystkich ofiar wielkiej góry, dużo z nich zginęło w podejrzenie prostych okolicznościach. Ja czuję jak dotąd tylko satysfakcję, chłopaki pewnie też, niedużo nam brakuje do granicy 5000m, a nie odczuwany nawet najmniejszych dotąd objawów. Jak wszystko dobrze pójdzie jutro będziemy wyżej niż ktokolwiek był w Europie, przekroczymy wysokość Mont Blanca.

Najpopularniejszy jest ból głowy, zaraz po, mamy utratę równowagi i senność. Równie często spotykane objawy za szybkiego zdobywania wysokości to wymioty oraz brak apetytu. Główne czynniki powodujące, że warunki tutaj stają się ciężkie są dwa, to niskie ciśnienie i co z tego bezpośrednio wynika to niższy poziom tlenu. Na 5000m ciśnienie jest dwa razy mniejsze niż na poziomie morza, przez co również tlenu też jest dwa razy mniej.

Niskie ciśnienie panujące na tej wysokości, powoduje, że pęcherzyki płucne zaczynają po części działać jak nerkowe. Płyny z krwi, oraz sama krew przedostają się do płuc, na początku objawia się to intensywnym kaszlem z czerwoną pianą, potem jest coraz gorzej. Płuca powoli wypełniają się płynem i człowiek po prostu się topi, bez bezpośredniego kontaktu z wodą. Objawy obrzęku płuc można łatwo wcześniej

rozpoznać i trzeba taką osobę zabrać szybko na dół, lub zastosować komorę hiperbaryczną. Komora taka to szczelny worek z bardzo małym ujściem powietrza i pompką. Zamierzeniem jest uzyskanie wewnątrz większego ciśnienia niż na zewnątrz, a uzyskuje się to przez pompkę, z braku elektryczności ręczną. To co spotkało Chinę to jednak nie obrzęk płuc ale dużo groźniejszy – mózgu. Występujący rzadziej ale częściej zbierający śmiertelne żniwo. Jest jak sen, przychodzi nagle, często niczym niepoprzedzony i lubi atakować w nocy podczas snu.

Kolejny, znacznie częstszy objaw mniejszego ciśnienia to opuchlizna całego ciała, kłębki nerkowe odpowiadające za filtrację wody i zanieczyszczeń z naszej krwi, potrzebują odpowiedniego ciśnienia do poprawnej pracy. W mniejszym ciśnieniu zewnętrznym ich rola zostaje zaburzona. Wewnątrz ciała zalega więc woda, co może się przyczynić do szybszego obrzęku płuc i mózgu. Lekiem na ciśnieniowe objawy jest *Diuramid*, zwiększa on ciśnienie wewnątrz nerkowe, pozwalając w ten sposób na odprowadzenie wody i odwadnia organizm, przez co również zmniejsza ciśnienie śródczaszkowe, łagodząc ewentualne bóle głowy. Oczywiście uniwersalnego leku nie ma, opisane objawy zależą ściśle od człowieka i są czasem określane mianem genu wysokości. Jeśli kogoś w normalnych warunkach miejsca zamieszkania, czasem, boli głowa i źle się czuje przez zmianę pogody (i ciśnienia tym samym), najpewniej na wysokości skończy jak ta Chinka. Mnie szczerze powiedziawszy zmiana pogody nie rusza, toteż i tutaj nic mi jeszcze nie jest. Rafał z Marcinem, też jeszcze czują się dobrze, choć przyznają, że coś wisi w powietrzu. Trzeba będzie uważać. Tutaj jest jeszcze w porządku, przy dłuższym przebywaniu, ale za tak zwany „*death zone*” – strefę śmierci, uważana jest wysokość 7500m. Powyżej tej granicy człowiek nawet z dodatkowym tlenem nie może przebywać dłużej niż 48 godzin, ze względu na niskie ciśnienie, choć i od tej reguły też są wyjątki. Zależy to od konkretnej osoby i wytrzymałości organizmu. Właśnie przez strefę śmierci wszystkie wyprawy na 8-tysięczniki mają napięty plan. Zmianę ciśnienia widać też po rzeczach, które tu przynieśliśmy, tabletki pakowane w Polsce, mają teraz wypukłe wieczka, niektóre już nawet popękały. W kosmetyczce pasta mi uciekła z twardej plastikowej tubki paplając wszystko, a woda po goleniu (nie żebym się golił), po odkręcaniu zrobił psst, jak puszka z piwem.

Im wyżej tym gorzej, nie tylko przez zmianę ciśnienia ale także przez poziom tlenu, to drugi czynnik. Oczywiście odpowiednio stymulowany organizm, wystawiony na takie warunki, zwiększa z czasem ilość czerwonych krwinek (erytrocytów), odpowiedzialnych za transport tlenu i w ten sposób człowiek, może się w pewnym stopniu przystosować. Poza składem krwi, zwiększa się również podświadomie tępo i głębokość oddechu. Zaczynamy oddychać szybciej i całym płucami sami o tym nie



wiedząc, choć nawet przez to organizm nie otrzymuje tyle  $O_2$  ile potrzebuje. W powietrzu tak ubogim w tlen, w organizmie zatrzymują się procesy trawienne. Człowiek może jeść ale i tak organizm tego pokarmu nie spożytkuje należycie. Organizm ma kłopoty z trawieniem cukrów i tłuszczu. W wielu relacjach czytałem, że wspinacze dosłownie wciskają w siebie cokolwiek, przed wyjściem dalej, żeby nie iść zupełnie na pusto a i to czasem kończy się wymiotami. Dobrze jest mieć wcześniejsze zapasy tłuszczu i energii. Dodatkowo wszystkie zapalniczki przestały nam działać, za mało tlenu i nie chcą się palić. Żeby z nich wyprodukować ogień trzeba najpierw na chwilę odkręcić butle z tlenem i w tej niewidocznej chmurce ją zapalić, lub odpowiednio długo próbować. Jak już zaskoczy to się będzie palić, ale mimo wszystko polecam zapałki.

Przejęci sytuacją Chinki, analizujemy, że pijemy za mało wody, zgodnie z podręcznikiem i zaleceniami, powinno się pić 3-4l dziennie, a ja dziś naliczyłem może dwa. Cały wieczór zamawiamy więc wrzątek, czekamy aż wystygnie i pijemy, w sumie zamówiliśmy 6l. Wrzątek jest tańszy niż woda butelkowana, bo tę trzeba przynieść z miejsca butelkowania, najbliższe jest *Namche* – litrowa butelka kosztuje tutaj już 250rs (12zł), cena ta rośnie wraz z wysokością, podczas gdy w Kathmandu 15rs (75gr). Trzeba jeszcze wspomnieć, że na tej wysokości, wrzątek ma tylko 90 parę stopni Celsjusza. Tylko na poziomie morza, woda wrze w temperaturze 100 stopni.



Podobno im wyżej, tym ma się mniejszy apetyt, ja tego nie mogę powiedzieć, jestem głodny jak wilk. Zamawiam ryż z warzywami, zjadam pełny talerz po czym zamawiam jeszcze jeden cały wypełniony ziemniakami z dodatkiem warzyw, obydwa dania smakują tak samo. Po dwóch pełnych talerzach, jestem prawie najedzony. W

Polsce na przeciętny obiad zjadam pół takiego jednego posiłku i mam dość, czyli tutaj apetyt zwiększył mi się czterokrotnie. Marcin jednak potwierdza regułę, traci apetyt coraz bardziej, Rafałowi też nie dopisuje, z tym, że oni czują już że trochę schudli. Ja przy wadze 72kg w stosunku do wzrostu 178cm za bardzo nie mam z czego, muszę straty energii nadrabiać ilością jedzenia.

Wieczorem siedzimy trochę z, boku i przysłuchujemy się życiu w lodge, Amerykanin Jon (czyż nie klasyczne imię dla Amerykanina?), opowiada napotkanym historię swojego życia. Wiem już, że jego żona jest księgową, nie lubi jeździć po świecie przez co on musi sam, ma dwójkę dzieci itd. Jeszcze opowiada to z takim przejęciem i dramaturgią, jakby to był życiorys co najmniej jakiejś ważnej osoby. Do rozmowy włączył się nawet Rosjanin i wyraźnie się z niego nabija, my to zauważamy. Jon tego nie widzi, zaintrygowany komentarzami z zaciekawieniem opowiada dalej. Tutaj wynika jak duże, są różnice kulturowe między ludźmi, Amerykanie nie cieszą się tutaj poważaniem i to nie tylko przez turystów z Europy.

### **2009.03.31 – Dzień 10 (wtorek) – Lobuche, 4910m n.p.m.**

Początkowo szukaliśmy na mapie jakiejś alternatywy dla *Lobuche*, jednak nie ma dookoła specjalnie dużo miejscowości, sensownie blisko żeby do nich dojść. Darek opowiadał, że to miasto jest najgorsze na całej drodze z powodu brudu tam panującego.

Szlak na wyjściu jest ciężki i prowadzi ostro pod górę, początkowo i tak musieliśmy się zorientować na mapie, gdzie konkretnie iść, ścieżki żadnej nie było, a kto miał wyjść, wyszedł o 7 rano. Dalsza trasa prowadzi lodowcem już do samego Everestu. Poza tym, że miejscami, gdzieś z boku wystają kawałki lodu, to zawiedziony jestem tym lodowcem, tym bardziej, że taszcę w plecaku półautomatyczne raki których jeszcze nie miałem okazji użyć. To co na mapie jest narysowane jako „*Khumbu Glacier*” w rzeczywistości jest tylko pozostałością, moreną pełną kamieni i tylko miejscami widać odsłonięte fragmenty lodu. Droga cały czas prowadzi po kamieniach, albo może głazach ze względu na ich wielkość. Poza pierwszym ostrym podejściem, nie wznosi się bardzo wysoko. Trzeba jednak skakać po skałach i bardzo przy tym uważać. Skręcenie lub co gorsze – złamanie nogi to byłby tutaj duży problem, wszyscy jesteśmy ubezpieczeni na taką ewentualność ale i tak trzeba by dotrzeć gdzieś, gdzie mają telefon. Potem czekać, może jeden dzień, może więcej, mgły są tutaj częste a samoloty nie latają w trudnych warunkach. Po paru godzinach takiej ścieżki kamienie zaczynają się nudzić, po jeszcze paru zaczynają denerwować.

Miejsce, które przekraczamy na mapie nazywa się przełęczą *Thokla*, pogoda jak na razie dopisuje, jest słonecznie i ciepło, mgła jeszcze nie zdążyła zejść na ziemię mimo popołudniowej pory, a widoki są nieprzeciętne. Wielu turystów podróżujących w Himalaje i zostających w *Namche*, tak naprawdę poza paroma szczytami, nie widzi tej całej potęgi Himalajów. Tutaj widać w całej okazałości krainę, którą już przeszliśmy i wszystkie szczyty, które obeszlśmy na swojej drodze.



Na zdjęciu zaczynając od lewej: Rafał, Marcin i Ja, w tle (też od lewej): *Pokalde* 5806m, w oddali *Ama Dablam* 6856m, *Kangtega* 6779m, *Thamserku* 6608m (pomiędzy mną i Marcinem), oraz *Taboche* 6542m. Krajobraz dookoła, też jest interesujący, miejsce szczególne. To właśnie tutaj można spotkać często opisywane kilkanaście czortenów, każdy z nich to jedna ofiara Everestu. Niektóre są małe, zwyczajne kopczyki z przerdzewiałą tabliczką z wyrytym imieniem, inne wielkie, murowane z marmurową tablicą. Wszystko zależy od tego jak bogatą ktoś miał rodzinę. Ciało zostało na wielkiej górze, tutaj są tylko kopce, upamiętniające wszystkich, którym się nie udało. Niczym niezmacona cisza dookoła potęguje to odczucie. Dla mnie, to chyba najpiękniejsza forma nagrobka, jaką mogę sobie wyobrazić, jeśli miałbym wybór gdzie miałbym spoczywać, spocząłbym tutaj.

Do samej *Lobuche* przybywamy około 14, w stosunku do lat poprzednich mam wrażenie, że dużo się tutaj zmieniło. Darek namalował w naszej wyobraźni wrażenie miejscowości niemal ze średniowiecza z dwoma tylko lodgami. Na miejscu owszem jest brudno i śmierdzi. Dosłownie przez środek miejscowości, prostopadle przecinając szlak, płyną ścieki z wszystkich okolicznych chat, nie tylko tworząc swoiste bagno na środku miejscowości ale też pozostawiając odpowiedni zapach. Jednak poza dwoma lodgami, jest też jeden całkiem dobry Resort (prawie jak Hotel) i jedna Lodge,

naprawdę na poziomie. Te ostatnie całkiem nowe, najwyraźniej wybudowane niedawno. Sugerując się ceną wybieramy jedną ze starszych, nie za bardzo luksusową, ale też nie wyglądającą na lepiankę. Cena standardowa, warunki takie jak do tej pory, no może pomijając niesprawny komin i gryzący dym w środku. Odbieramy klucze do pokoi, ostatnio nocujemy osobno ze względu na brak trójek. Zostawiamy plecaki, po czym ruszamy już bez ładunku, na spacer aklimatyzacyjny do pobliskiej piramidy. Rafał dużo czytał o niej jeszcze przed wyjazdem, ja też się natknąłem na adnotacje o włoskim centrum badawczym, w którym prowadzone są długoterminowe badania, nad wpływem wysokości i niedotlenienia na człowieka. Według mapy, to tylko kilometr na północ, wzdłuż moreny lodowca. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że w środku jest podobno jeszcze włoska restauracja, oraz możliwość noclegu.



Wieczorem decydujemy się na zmianę planu, jutro dotrzemy do *Gorak Shep* i zgodnie z planem mamy po południu wejście na *Kalla Pattar*, ale biorąc pod uwagę pochmurną pogodę która zjawia się koło południa, decydujemy się jutro ruszyć do *Gorak*, zostawić plecaki i uderzyć do Everest Base Campu, a dopiero pojutrze zdobyć *Kalla Pattar*. EBC to mój punkt kulminacyjny, właśnie po to tutaj przyjechałem. Zobaczyć legendarne miejsce z którego wyruszają te wszystkie ekipy na szczyt. Miejsce do którego w każdym filmie o zdobywaniu szczytu ekspedycje idą przez pół czasu jego trwania. Przeciętny człowiek ma niewielkie pojęcie o komercji jaka tutaj panuje, ja też nie miałem, dopóki nie zacząłem czytać o tych rejonach przed wyprawą. Na filmach sprzed laty, każda ekspedycja idzie tygodniami do samego Campu, żeby potem wyruszyć na szczyt. Po drodze oczywiście giną ludzie, tragarze strajkują, schodzą groźne lawiny, itd. Do tego wejście na sam szczyt to już totalna walka ze śmiercią. Jeszcze w Polsce, jak komuś mówiłem, że jadę na Everest, ale nie sam szczyt, tylko do obozu 3km od szczytu, to mama stwierdziła, że jakby to od niej zależało to bym nie pojechał, a znajomi zorganizowali mi imprezę pożegnalną na tydzień przed wyjazdem.

Tak niebezpiecznie wyglądały wyprawy na szczyt dawno, dawno temu kiedy to Nepal był jeszcze zamknięty dla turystów a od strony Tybetańskiej, cywilizację od pierwszej bazy, dzieliło ponad 400km bezludzia. Prawda teraz, jest inna. Są owszem momenty, że szlaku nie ma i idzie się kilometrami po zupełnych bezdrożach, jak my teraz. W tym roku jest to szczególnie widoczne, przy małej liczbie turystów. Ogólnie jednak, niewiele to ma na razie wspólnego z jakimiś ekstremalnymi wyczynami. Jedyna ekstrema na dotychczasowej drodze, jaką tutaj można spotkać to zimno, no i dziś mija piąty dzień bez mycia.

Wieczór, jak każdy inny, siedzimy w lodge, gadamy o czym nam przyjdzie na myśl, czasami z innymi turystami i czekamy na godzinę snu. Tym razem Lodge zdominowana przez Amerykanów, siedzą i bawią się w państwa-miasta. Jeszcze podczas pobytu w Ameryce miałem okazję poznać ich zabawy i naprawdę dorośli ludzie świetnie się bawią w głuchy telefon, powtarzanie słów z ostatniej litery poprzednika, czy budowanie zdań, gdzie każdy dodaje po jednym słowie i przegrywa gdy zdanie przestaje mieć sens. Ci tutaj bawią się dokładnie tak samo, jakoś my się na nich dziwnie patrzymy, bo u przeciętnego Europejczyka takie zabawy, u dorosłych ludzi, wywołują ironiczny uśmiech, a czasem współczucie. Dwójka obok nas, przy sąsiednim stoliku, kłóci się czy Kambodża to państwo czy miasto. Idą z jakiejś komercyjnej wyprawy, bo mają przewodnika, który im mówi, kiedy spać, co jeść, gdzie iść i budzi ich o siódmej rano. Mówi, że jutro się mogą wyspać, będzie dobra pogoda, a mają niedużo do przejścia.

Wieczorem usiłuję umyć chociaż ręce przed kolacją, żeby nie korzystać z drogiej butelkowanej wody, zauważyłem, że w ubikacji jest w beczce trochę wody do splukiwania. Zbijam więc lód z góry zbiornika i tak jakoś udaje się mi tego dokonać. Mała miska ciepłej wody kosztuje 300rs (15zł), tyle samo co kolacja, więc nikogo z nas na nią nie stać. Zresztą po co? Jakoś dramatyczna potrzeba codziennego mycia się powoli mi przechodzi. Jeszcze w Kathmandu myłem się codziennie w zimnej wodzie, żeby tylko się umyć. Drugi raz tego nie popełnię. Na kolację zwyczajowo już zamawiam ryż albo ziemniaki.

Mamy kryzys przez ostatnie dni, przynajmniej Rafał go tak nazwał. Z dnia na dzień coraz bardziej kaszlący i chorzy. Nawet gadać nam się nie chce, siedzimy tylko jak głupki przy piecu opalonym kupą jaka analizując ile jaków musiało robić na dzisiejsze ciepło i dlaczego te klitki tutaj, poza jedną salą, nie są ogrzewane. Już kilka razy dyskutowaliśmy o pomysłach na ciepło w pokojach, od nawiewu ciepłego powietrza po rury centralnego ogrzewania, ale tu się nic nie zmienia. Podobnie jak znudzeni już tutejszą kuchnią i ciągle jednym smakiem wszystkich potraw marzymy

głośno o hamburgerze ze strefy niskich cen za 3,99zł z Mc Donalda. To najwyraźniej znak, że źle z nami.

### **2009.04.01 – Dzień 11 (środa) – Gorak Shep, (EBC), 5140m n.p.m.**

Rano, pół przytomni i jeszcze zaspani, wchodzimy do głównego pomieszczenia „*Dining room*”, zamawiamy śniadanie, wprawdzie skromne bo tylko omlet, ale trzeba oszczędzać. W międzyczasie, stoły obok zajmuje wczorajsza zorganizowana pielgrzymka turystów, dosłownie rzucają się na jedzenie, zamawiając, więcej niż my zjedliśmy przez całą wyprawę. Jeden taki turysta zjada omleta, dwie porcje tostów z dżemem i dwie kawy. Szybko wertuję cennik, sumując tylko jednego gościa i podliczam go na prawie 1000rs (50zł), za samo śniadanie. No tak, ale przecież taki musi mieć energię na cały dzień dźwigania tego swojego 2kg plecaczka. Na głos rozważają, że po drodze zjedzą jeszcze drugie śniadanie, obiad, podwieczorek i kolację, więc następny posiłek będzie za jakieś 2 godziny, trzeba się najeść.

Przed wyjściem chłopaki smarują się jeszcze filtrem UV, ja pasuje, jakoś nie mam potrzeby i nawet mnie już trochę opaliło na twarzy, po czym wyruszamy w drogę. Szlak poza wielkimi kamieniami spokojny, z lekkim wzniesieniem. Mamy do przejścia jakieś 7km z czego tylko 200m różnicy w pionie, zupełnie nie wiem dlaczego na mapie ta trasa zaznaczona jest na 6 godzin drogi. Szybko mijamy zejście ze szlaku do piramidy (według mapy to już 1/3 drogi do *Gorak*) i idziemy dalej. Droga się jednak komplikuje, nie idzie się już po drodze, ale po skałach, skacząc z jednej na drugą. Po paru godzinach mam już dość tych skał, a przed samym *Gorak*, gdy już widać miejscowość, jesteśmy tak wkurzeni tymi skałami, że się cieszymy końcem. Ile ich może być? Idzie się i idzie i jeszcze idzie, cały czas po głazach, jeden większy od drugiego, miejscami między głazami lód i nic innego w krajobrazie tylko całe kopy takich skał różnej wielkości. Na nich brudny wydeptany szlak. Czasem i tego nie ma, tam gdzie spadły, niewiadomo skąd nowe skały, całe kopy. Zastanawiam się ile w Europie kosztuje taka jedna granitowa skała do ogródka, chyba nie tanio, tutaj jest ich tyle, że nie widać nic innego, są denerwujące i nikt za nimi nie będzie tęsknił, trzeba je tylko przywieźć. Teraz już wiem dlaczego 7km zostało zaznaczone na mapie jako droga na 6 godzin, chodzenie po takim rumowisku nie należy do szybkich.

Istnienie samego *Gorak* jest łatwe do wytłumaczenia, otóż idąc przez te skały nagle wychodzi się na kawałek takiego prostego terenu, nawet dość duży kawałek, gdzie nie ma skał, ale w miarę równy twardy grunt. Miejscowość całkiem duża, w jednej chacie mają nawet Internet satelitarny. Resztę stanowi sporo domków w której mieszkają nie tylko turyści, ale też lokalni pasterze. Niedaleko po naszym wyjeździe

wyczytałem w nowościach z regionu, że rozegrali tutaj najwyżej położony na świecie mecz piłki nożnej ...naprawdę wielki szacunek dla tych sportowców. My się już nieco zaaklimatyzowaliśmy, choroby wysokościowej brak, ale chwila większego wysiłku niż chodzenie, kończy się ciężką zadyszką. Jeszcze jakby mi tu przyszło biegać za piłką, przypuszczam, że po paru minutach ciężko by było się podnieść.

Wkurzeni skałami, wbijamy się do pierwszej z brzegu lodge, ciesząc się stanem na twardym równym gruncie. Odbieramy klucze do pokoju (bez okien jak się okazało), zostawiamy plecaki i idziemy na chwilę do restauracji, jak ją tutaj nazywają. Posilamy się dobrą zupą pomidorową i wyruszamy do głównego celu wyprawy, jak pomyślę, że trzeba będzie iść przez więcej skał to mi się mniej chce, ale to już ostatnia droga do bazy. Według mapy trasa z *Gorak* do EBC to 4 godziny, teraz już wiem czemu, jednak bez plecaków i posileni zupą pokonujemy tę trasę niczym kozice, a nie jaki i faktycznie udaje się ją przejść w 2,5 godziny. Sam koniec trasy jest układany przez jakiegoś geniusza. Jest to początek moreny lodowca Khumbu, oczywiście jak to morena o tej porze roku, jest to kupa skał, pod nimi lód, znowu skały i tak na przemian. Miejscami są małe kamienie i lód, miejscami sam lód. Ogólnie całość jest (patrząc z góry), bardzo chropowata, to znaczy jest dużo kilkumetrowych pagórków, szczelin i ścieżka może nie jest długa, ale idzie się 3-4 metry pod górkę, metr po prostym i schodzi a czasami ślizga 3-4 metry w dół i tak ciągle. Ścieżka poza tym jest tak zaplątana, że momentami idzie się w przeciwną stronę niż do EBC, który już widać u stóp lodospadów. Nie wiem co za przeszkodę mieli żeby nie zrobić ścieżki w linii prostej do obozu.



Jesteśmy... kupa żółtych namiotów, jeden biały z wielkim plazmowym ekranem na ścianie i leżaczkami w środku, znany z YouTube i Internetu. Dużo już o tym czytałem przed wyjazdem. Do tego polowa kuchnia z całą stertą zużytych butli gazowych przed nią i parę śpiworów suszących się na skałach. Ludzie na środku robią chyba coś na kształt rynku, bo główny plac gdzie zwrócone są wszystkie namioty zastawia właśnie taka skała z lodem i kują ją twardo kilofami, uparcie równając teren. Kawalek dalej w drugim Campie, już przy samym początku lodospadów, biwakują wyprawy, które z tego miejsca zaczynają drogę na Wielką Górę. Ogólnie całość

sprawia wrażenie jakby się dopiero co rozbili i jeszcze nie zdążyli się do końca rozłożyć.

Tak naprawdę zdobywanie Everestu, nie jest bardzo trudne. Jeśli ktoś się dobrze zaaklimatyzuje, chwilę tu pomieszka, trafi na dobrą pogodę to może wejść na Wielką Górę ...jeśli ma na to fundusz. Oczywiście mam na myśli tutaj osoby, które lubią góry i nie mają problemów z żadnym wyższym szczytem. Dla innych ludzi z przeciętną kondycją niestety góra jest nieosiągalna. Everest technicznie nie jest trudną górą i liczba śmiazków, którzy ją zdobyli powiększa się z roku na rok o setki ludzi, jedyna różnica jest taka, że nikt już o tym nie mówi. Zwykły śmiertelnik słysząc, że ktoś zdobył Everest ma już takiego kogoś za wyczynowca-podróżnika i w ogóle kogoś wyjątkowego, tymczasem tylko kiedyś tak było. Dopóki nie zainteresowałem się bliżej tematem, miałem o zdobywaniu Everestu takie same pojęcie, ile zobaczyłem w starych filmach, gdzie najpierw pół filmu cała wyprawa szła do stóp góry. Na końcu z około 10 osób połowa wpadła do szczelin lodowych, jeszcze innych porwała lawina i tak w końcu na koniec filmu 1-2 osoby stawały na szczycie. Oczywiście lekko tutaj dramatyzuję, ale, kiedyś, bardzo dawno temu w czasach Cichego i Wielickiego w 1980r. podczas pierwszego polskiego zimowego wejścia na Everest w zimie było podobnie. Nie było jeszcze tylu osad i komercji panującej obecnie. Czasy jednak bardzo się zmieniły, świadomość ludzi nie.

Teraz w zasadzie wystarczy być w odpowiednim miejscu, w odpowiednim czasie, mieć szczęście i załapać się na jakąś sponsorowaną wyprawę na Everest. Samemu też to można osiągnąć, ale wymaga to sporych nakładów finansowych lub sponsora o którego niestety nie łatwo, będąc osobą nie-medialną. W nagłośnionej przed kilku laty „*Falvit Everest Expedition 2006*”, nikt nic nadzwyczajnego nie dokonał. Poza doświadczonymi osobami, były na wyprawie też takie, które nigdy nie były wyżej niż 3000m. Oczywiście całość została dobrze nagłośniona, był film, jest też książka w której Martyna opisuje jak dramatyczne i przejmujące było to wejście. Na półkach w księgarniach do dziś kurzą się albumy z kadrami z wyprawy, które zresztą mało kto kupuje ze względu na niską wartość merytoryczną i wysoką cenę jak za kilka zdjęć.

Dla kogoś kto nie ma pojęcia o stopniu trudności, wygląda to jak zdobywanie Giewontu. Pod samym szczytem zawsze tworzą się przy łańcuchu korki, w zależności od sprawności osób wchodzących akurat na górę, ta przeważnie jest niska. Popularna na Everest droga przez kocioł zachodni, jest żartobliwie nazywana przez alpinistów „drogą dla jaków”. Łańcuch zastępuje poręczówka, czyli lina albo obecnie kilka lin, rozwieszanych dla wszystkich wypraw przed sezonem. Można ją rozwiesić samemu, ale po wielu konfliktach najczęściej korzysta się ze wspólnej, na ten poczet wpłacając



odpowiednie pieniądze. Skały zastępuje lodowiec, temperatura odczuwalna jest przeważnie ujemna a po zmroku spada dużo poniżej zera, no i najtrudniejsze – wysokość. Właśnie to sprawia tutaj prawdziwą trudność, niskie ciśnienie i poziom tlenu. Gdyby jednak ostatnie 3km szczytu w pionie, pomijając *Ice Falls*, przenieść na poziom morza, to zwykli ludzie zdobywaliby go jak dziś zdobywa się Rysy. Prawie każdy kto był w Zakopanym i wszedł na najwyższy szczyt Polski z odpowiednim podstawowym sprzętem zdobyłby i Everest bez specjalnego wysiłku. Niestety, ktoś kto nigdy nie był powyżej 5000m wysokości nie zrozumie ile wysiłku kosztuje to tutaj. Problemem stają się proste czynności. Bez dodatkowej butli, poziom tlenu nie tylko „otumania”, ale powoduje totalne lenistwo. Im wyżej, tym ciężiej się podnieść po przerwie i tym trudniej wykonać każdy krok. Anna Barańska, zdobywając Everest w tym roku pisała, że jest też bardzo duża różnica w ciśnieniu między niskimi a wysokimi 8-tysięcznikami, podobnie jak Marcin Miotk w 2005r. weszła tam bez tlenu. Takie osoby, moim zdaniem zasługują na wielki szacunek, Marcin dokonał pierwszego polskiego wejścia bez tlenu, a Anna pierwszego kobiecego od strony północnej. Na swoim koncie mają długą listę gór przed Everestem i nie szukali rozgłosu w mediach.

Ktoś jednak słusznie stwierdzi, że wszystko fajnie, ale skoro to takie proste to dlaczego giną tam ludzie? Owszem giną, poza tym, że jest to proste, jest też niebezpieczne. Nawet z tlenem zawsze można spaść w szczelinę lodową na słynnym lodospadzie, dostać przypadkowym kamieniem w głowę, stracić równowagę itd. Bez dodatkowego tlenu, zdarzają się momenty nie do końca czystej świadomości. Czasami też zupełni amatorzy, którzy średnio znoszą wysokość idą na Wielką Górę, ale nie ma obecnie w tym nic dziwnego, Everest swoim atutem dachu świata przyciąga coraz więcej ludzi z zasobnymi portfelami, którzy niewiele mają wspólnego ze wspinalką.

Ginie tam też inny typ zdobywcy, ale to nie są już zwykli ludzie i nie idą zwykłą drogą. Teraz zdobycie Everestu klasyczną drogą w środowisku Himalaistów, nie jest żadnym osiągnięciem i nawet nie trzeba się tym chwalić. Osiągnięciem jest zdobycie góry np. zimą albo/i wytyczyć przy tym nową drogę którą nikt dotychczas nie szedł. Tak oto niektórzy pamiętają polską wyprawę na Everest, chyba w 2002r. o której się dużo słyszało w mediach. Polacy nie dość, że szli zimą gdzie pogoda jest tutaj naprawdę ekstremalna, to jeszcze próbowali wytyczać własną, nową trasę. To jest teraz osiągnięcie i za taką chwałę stawka jest dużo wyższa. Dla przeciętnego człowieka jednak nie ma różnicy kto, z kim, jaką trasą, kiedy itd. ważne, że zdobył górę. Są jeszcze ludzie którzy nigdy tego nie rozumieją i słysząc Everest komentują „...i po co oni się tam pchają?”. Trudno to wytłumaczyć tym, którzy tego nie czują, jednak w odpowiedzi przytoczę cytata Waltera Bonattiego: „Góry są środkiem, celem

jest człowiek, nie chodzi o to, aby wejść na szczyt, robi się to po to, żeby stać się kimś lepszym”.

Szczerze powiedziawszy człowiek, przychodząc na ten świat, w skali całego wszechświata i historii istnienia ludzkości ma swoje przysłowiowe 5 minut. W tak małej skali wolę przeżyć 30lat życia i zginąć w trakcie zdobywania Everestu, niż przeżyć 80 lat, twierdząc w całym swoim spokojnym życiu, że wspinaczka jest niebezpieczna, jednocześnie nigdy jej nie próbując. Ludzie tacy mają tendencję do twierdzenia, że wszystkie sporty ekstremalne są niebezpieczne i przez to nigdy się nie odważą spróbować czegokolwiek innego od schematu jakiego są nauczeni. Wspinam się od paru lat i ze spokojem twierdzę, że bardziej ryzykowna jest jazda samochodem, bo ile ludzi ginie w wypadkach samochodowych a ilu podczas wspinaczki? Owszem samochodem jeżdżą wszyscy, wspina się tylko wąskie grono, jednak nawet po przeliczeniu skali, wypadków będzie dużo mniej.

Wspinaczka wnosi owszem pewien element ryzyka, ale nie większy niż dziesiąte części procenta, bo w zasadzie to, jak dobrze jesteśmy ubezpieczeni, zależy tylko od nas samych. Nie jesteśmy pewni punktu przelotowego? Możemy założyć dodatkowy, stanowisko jest niepewne? Zawsze możemy je wzmocnić itd. Oczywiście piszę tutaj o klasycznej wspinaczce skalnej. Wspinaczka na Everest jest trochę bardziej niebezpieczna, bo niestety nie wszystko od nas jest zależne. Himalaista wchodzący na Everest czasami doświadcza skrajności. W stanach głębokiego niedotlenienia, na dużej wysokości, człowiek myśli inaczej i funkcjonuje zupełnie inaczej. Zrozumiałem to dopiero czytając książkę „Zdobyć Everest” Wojciecha Adamieckiego która jest relacją ze zdobywania Everestu zimą w czasach Leszka Cichego i Krzysztofa Wielickiego. Poza skrajnymi warunkami pogodowymi, stanu niedotlenienia można doświadczyć o każdej porze roku, jeśli się oczywiście zdobywa szczyt bez dodatkowego tlenu. Każdy z nas ma przecież jakąś motywację do życia, jakieś plany na przyszłość, coś do czego zawsze warto wrócić. Z pewnej perspektywy fascynującym jest doświadczyć tak skrajnego wyczerpania żeby po prostu usiąść i czekać na koniec, bez żadnej woli walki. Poddać się zupełnie i już na zawsze zostać pod szczytem, bez względu na to co zostawiamy na dole. Chyba właśnie chęć doświadczenia takich skrajności sprawia, że marzę o zdobyciu Everestu i jest to tak samo atrakcyjne jak wyprawa w niebezpieczną dżunglę.

Podsumowując moją wizytę w Base Campie, było fajnie, nie tylko zobaczyć go na własne oczy, ale szczególnie zobaczyć na własne oczy kulisy zdobywania dachu świata. Na co dzień jest on mniej kolorowy i tutaj żadnych wiedzy zachęcam do przeczytania artykułu „Szmal, Dziwki i Everest” lub znakomitej książki „High Crimes” by Michael Cudas. Dostępna niestety tylko po angielsku, dobrze obrazuje jak wygląda

baza poza chwilowym pobycem oraz co towarzyszy komercyjnym wejściom na szczyt. Obecnie każdy z odpowiednim zasobem finansowym może sobie wykupić wycieczkę na szczyt i będzie miał przy tym pełny serwis. Ogrzewany namiot, tlen na zawołanie, Kuchnie z dostępnym całym menu itd. Komercja w tym miejscu osiągnęła szczyt, a firmy pośredniczące w takim zdobywaniu zarabiają wielkie pieniądze na amatorach, których niekiedy prawie wciągają na szczyt. Już wielu wielkich ludzi, nazwało to profanacją i brakiem szacunku dla góry.

Wieczorem, w cenniku lodge wypatrzyliśmy hamburgery z racji, że wszyscy fast-food uwielbiamy, zamawiamy z Marcinem po jednym. Rafał nadal nie ma apetytu, zamawia tylko talerz zwykłego ryżu. Po 30 minutach przynoszą nam nasze hamburgery, do Mc Donalda im daleko, wprawdzie są duże z porcją frytek i sałatki, ale robione z jakiejś obkrojonej suchej bułki. Ponadto, cały hamburger jest pokrojony w cztery ćwiartki. Zjadłem wszystko co było na talerzu, nawet niesmaczną i trochę zwiędłą sałatę. Marcin daje radę tylko trzem ćwiartkom, więc kończę za niego. Potem skończyłem jeszcze ryż Rafała i zamówiłem jeszcze jeden talerz ryżu, tym razem z tuńczykiem. Całość zamknąłem dwoma herbatami. Ponownie, po zjedzeniu całej tej góry jedzenia czułem się dopiero prawie najedzony. Poziom apetytu osiągnął tutaj chyba maksymalny poziom, nie pamiętam żebym, kiedyś na raz zjadł taką ilość czegokolwiek.

Ponownie spotykamy Jona (Amerykanin), który przed nowym audytorium opowiada, że jego żona jest księgową, że on tutaj jest sam i dokładnie tą samą historię co ostatnio. Uszy mi już wędną i nie mogę się nadziwić dramatycznej potrzeby niektórych ludzi, żeby nieznanym, opowiadać historię swojego życia. Zauważa nas i stwierdza, że go chyba śledzimy, bo spotykamy go po raz trzeci. Opowiada, że był dziś na *Kalla Pattar* i zajęło mu to 3 godziny w jedną stronę, zapoznaje nas ze swoim przewodnikiem, który przed lodge jeszcze tego samego dnia pokazuje mi i nazywa wszystkie okoliczne szczyty, oraz wskazuje na Everest... nareszcie. 11 dzień od wyruszenia i pierwszy raz na własne oczy widzę tą górę, z tej perspektywy sąsiednia *Nuptse* wydaje się wyższa, a sam czubek *Czomolungmy* to szary niepozorny kawałek skały zza jej, boku. Ucinam sobie też krótką pogawędkę z parą z Indii, spotkaną po raz drugi, nawet się sobie przedstawiliśmy, ale nie potrafiłem nawet powtórzyć ich imion, nie wspomnę o zapisaniu. Pytam o opinię popularnego ostatnio filmu „*Slumdog*” oraz o najważniejsze zabytki w *Delhi*. Podobno *Slumdog* to nic w porównaniu z rzeczywistymi slumsami, ale po pierwszym szoku w Kathmandu już chyba nic mnie nie zaskoczy.

**2009.04.02 – Dzień 12 (czwartek) – Lobuche, 4910m n.p.m.**

Rano czuję się fatalnie, mimo dobrze przespanej nocy, jestem zmęczony i czuję ból w gardle przy każdym przełykaniu. Przeziębilem się i to porządnie, chyba przez to jestem dziś bardzo osłabiony. Jak pomyślę, że jeszcze dwa dni temu chciałem wieczorem spacerować się na *Awii Peak* (5245m), to się zastanawiam skąd miałem tyle energii która dziś, gdzieś nagle odleciała. Na śniadanie zamawiam gorącą zupę pomidorową, robi mi się trochę lepiej, ale mimo to po wyjściu przed lodge mam lekkie zawroty głowy (czyżby choroba wysokościowa?) i czuje się fatalnie. Gdyby nie to, że dotychczas widziałem tylko czubek tej wielkiej góry która mnie tutaj przyciągnęła i dziś może być jedyna okazja w pełni ją zobaczyć, nigdzie bym się dziś nie ruszył.

Podchodzimy dużym płaskim terenem do stóp góry, zaczynamy się wspinać, po przejściu dosłownie 10 metrów pod górkę mam kompletnie dość i muszę się na chwilę zatrzymać. Po drodze robimy jeszcze kilka postojów, doganiam na nich chłopaków, potem już jest między nami większa różnica, bo robię coraz częstsze postoje. W pewnym momencie rozważam nawet czy nie poczekać tutaj na Marcina i Rafała jak będą schodzić, Everest już widać całkiem ładnie, ale mimo wszystko ruszam dalej. Przekroczyliśmy granicę 5000 metrów, wysiłek na tej wysokości w moim stanie nie jest dobrym pomysłem.

Do pomocy opracowałem sobie „taktyki skończonego człowieka” wchodzącego na wysoką górę. Pierwsza to wchodzenie bardzo powoli z miarowym tempem i oddechem, prawie bez przystanków i z jednakowym zmęczeniem przez cały czas. Niestety przy moim obecnym poziomie sił skutkowało to wchodzeniem po tzw. tip-topach, czyli stopę stawiać nie dalej niż koniec pierwszej stopy i powoli na górę. Od czasu do czasu trzeba było tylko zrobić większy krok gdy wchodzi się na kamień, przekracza jakiś większy dół w śniegu itd. Tą taktyką przeszedłem mniej, więcej połowę drogi nie idąc ścieżką, ale w linii prostej na szczyt. Ścieżka jest tutaj bardzo zygzakowata, co w rezultacie daje mniejszy kąt nachylenia i idące za tym zmęczenie, ale powoduje, że trzeba przejść 3-4 razy, więcej drogi niż w linii prostej. Ogólnie dobra taktyka, ale dla kogoś w dobrej formie. Strasznie mnie to denerwowało, więc szedłem w linii prostej przecinając zygzaki na wprost miarowym tempem. Po godzinie takiego podchodzenia ilość drogi jaką jeszcze trzeba przejść mnie zniechęciła, więc opracowałem drugą metodę. Stojąc chwilę i odpoczywając na tej wysokości człowiek, nawet tak zmęczony jak ja dziś nabiera pewnych sił. Wylczyłem, że siły jakie zebrałem po kilkunastu sekundach głębokiego oddechu pozwalają na szybkie, a nawet bardzo szybkie przejście 8 skoków zanim będzie się ciężko zdyszany przez poziom tlenu. Jednak nie należy przesadzać, zmęczenie nie przychodzi od razu, ale po kilku

sekundach. Po 8 skokach po dużych kamieniach albo szybkich, długich krokach w bardzo stromym terenie jest się tak zmęczonym, że oddech znacznie przyspiesza, ale się stoi, oddycha i czuje dobrze. Po kilkunastu sekundach oddech znowu się uspokaja i ma się siłę na przejście kolejnych 8 kroków. Kroki trzeba liczyć, przejście jednego, więcej powoduje, że zmęczenie, które nadchodzi jest nie liniowo większe, a przejście 12 kroków powoduje takie osłabienie, że musiałem aż usiąść ze zmęczenia. Docelowo stosowałem te dwie techniki naprzemiennie i postanowiłem nie patrzeć na ilość drogi jeszcze do pokonania – to zniechęcało. Trzeba się skupić na najbliższej perspektywie 10 metrów i myśleć nad tym gdzie bezpiecznie postawić stopę.

Ostatnie kilkaset metrów wędruje, już po pięć kroków robiąc kilka sekund przerwy między każdym i w sumie wchodzę tempem starego dziadka, ale bliskość szczytu i perspektywa poleżenia na słońcu na 5550m powodowała, że chciałem się jak najszybciej się tam znaleźć i mieć to za sobą.



Na ostatnich 10 metrach, zostawia się już kije i plecak pod skałą. Można wdrapać się po grani na sam czubek i znaleźć sobie miejsce na jakiejś półce skalnej. Turystów tutaj dużo nie ma, *Kalla Pattar* mimo swoich walorów nie przypomina Giewontu gdzie stoi się w kolejkach do wejścia na szczyt. Widoki za to nieprzeciętne zarówno na otaczające góry jak i na dół. Wyglądając poza grań, przeciwległa ściana niż ta którą wchodziliśmy jest bardzo stroma, niemal pionowa.

Trzy godziny zajęło mi wejście tutaj. Nie pamiętam żebym, kiedyś w życiu bardziej się z czymś zmordował niż z tą górą. Przypuszczam, że nawet Jon tutaj był szybszy. Chłopaki czekali już dobre 30 minut, obserwując moje poczynania z góry i nawet nie komentowali gdy zwałem się bezwładnie obok nich na skale. Rafał tylko powiedział: „Patrz jak pięknie widać Everest”, odpowiedziałem „Pie....e, odechciało mi się go zdobywać”. Leżę między skałami, wiatru nie ma, słońce świeci, jest nawet ciepło, nic mi się już dziś nie chce i najchętniej bym tu został.

Na zdjęciu ta szara góra po mojej prawej stronie to dawniej nazywany szczyt XV. Dla niektórych trzeci biegun, dach świata albo Góra Gór, dla Neplalczyków Sagarmatha (Bogini Niebios), dla Tybetańczyków Czomolungma (Bogini Matka Świata), dla reszty świata Everest, od nazwiska George'a Everesta. Perspektywa powoduje, że *Nuptse* wydaje się być wyższy choć ma z Everestem prawie kilometr różnicy.



Po tak ciężkim podejściu, miny nie mogłem mieć innej. Przypomniała mi się satyra Grzegorza Sobczaka, jak to Anglik, Niemiec, Rosjanin i Polak zdobywają jakąś wysoką górę, świetnie obrazuje moje przeżycie chwili wejścia na szczyt. Poza Polakiem wszyscy mają uśmiech na ustach.



Zejście było już szybsze i dla mnie już dużo łatwiejsze, jak nie lubię podejść, tak z góry schodzi mi się doskonale. Docieramy do Lodge w której zostawiliśmy plecaki, prawie równocześnie z Indyjską parą poznaną wczoraj. Mówię, że nie widziałem ich na górze, odpowiedzieli tak samo śmiejąc się, mnie stać jedynie na lekki uśmiech. Wpadamy do środka i ledwo znajdujemy wolne miejsca. Właśnie dotarła tutaj pielgrzymka do EBC, którą już wcześniej spotkaliśmy. Na zewnątrz tragarze szykują namioty do rozbicia, jednakowe kurtki, piękne naszywki z logo, niedoświadczone blade twarze. Głośno przekrzykują się nawzajem, dosłownie co drugi Anglik z iPodem w uszach. Mnóstwo hałasu i tłoku, który powodują sprawia, że znienawidziłem ten typ turysty i wycieczki zorganizowane w góry. Dlaczego Anglicy gdziekolwiek się nie pokarzą, muszą być najgłośniejsi i zawsze robią złe wrażenie. W Krakowie mają już nawet zakaz wstępu do lepszych lokali w rynku, to co robią tutaj, to niemal profanacja.

Mieliśmy oszczędzać, jednak na rozgrzanie i uzupełnienie zapasów energii zamawiamy zupę na obiad. Mając dość hałasu i przepychu w środku ruszamy do *Lobuche* w drogę powrotną niemal zaraz po zjedzeniu. Po gorącej zupie zrobiło mi się trochę lepiej, poza tym, teraz z każdym krokiem będziemy już bliżej końca, jest nadzieja, że dotrzemy. Dla mnie EBC i dzisiejszy widok na Everest było tym dla czego tutaj przyjechałem, swój cel spełniłem, teraz mogę wracać.

Droga powrotna jest szybsza i łatwiejsza bo z góry, ale tak samo denerwująca jak droga w tą stronę, znowu trzeba skakać po tych wielkich kamieniach, mija szybko i do osady docieramy na kilka minut przed nocą. Myśleliśmy, żeby udać się do poprzedniej Lodge, ale Marcin z Rafałem uznali, że była zdecydowanie za bardzo zadymiona przez niesprawny komin i strasznie to przeszkadzało. Chwilę się wahamy, ale w końcu wchodzimy do jednej z tych nowo wybudowanych. Bardzo niepozorny tubylec przedstawia się jako prowadzący ten interes i pokazuje pokój, jestem zaskoczony standardem. Takiego pokoju nie mieliśmy jeszcze od początku wyprawy. Na podłodze jest nawet dywan, ściany ładne, równe, odmalowane, a całość budynku murowana z jednakowych pustaków. Brakuje chyba tylko ogrzewania i bieżącej wody do trzech gwiazdek. Początkowa cena to 600rs (30zł), za osobę, ale po chwili rozmowy, nawet nie negocjacji, spuścił na 300rs, a potem na standardowe 100rs (5zł). Szczerze nawet jeśli ceny nie opuścił i tak bym się zgodził, jestem tak zmęczony, że oddałbym te 300rs za nocleg choć dziś w przyzwoitych warunkach.

Widać brak turystów w tym sezonie odbija się i to bardzo. W każdym przypadku oddania miejsca noclegowego nawet za darmo, zawsze zarabiają na jedzeniu. W korytarzu jest nawet zlew i bieżąca woda z beczki, ale tylko w dzień, w nocy już zamarza w kranie. Widziałem nawet coś na kształt kabiny prysznicowej, do której można zamówić sobie miedniczkę gorącej wody za 350rs (17,5zł), ale jakoś nikt z nas nie czuje już takiej potrzeby, znikła dawno temu.

### **2009.04.03 – Dzień 13 (piątek) – Dzonglha, 4830m n.p.m.**

Dobra w naszej lodge zaczyna się i kończy o dziewiątej rano, musieliśmy się więc spieszyć z wyjściem dalej. Droga początkowo łatwa, do samej prawie *Dughli* schodzi się z góry w pewnym momencie odbijając początkowo lekko w prawo, stopniowo coraz bardziej oddalającą się ścieżką na zachód. Samej wysokości do pokonania nie ma dużo i szczęśliwie droga ma łagodne wzniesienia, w zasadzie to w stosunku do *Lobuche* dzisiejszy nocleg będzie na niższej wysokości. Droga prowadzi dookoła szarego szczytu *Awi Peak* (5245m), zupełnym pustkowiem i całkowicie wyludnioną drogą. To już jest dużo rzadziej uczęszczana droga, przez co czystsza, kupy jaka tutaj się nie uświadczą, bo te nie przeszłyby przez przełęcz do której idziemy.

Początkowo z przyzwyczajenia trochę nerwowo jeszcze patrzę pod nogi, nauczony przykrymi doświadczeniami, ale po kilku kilometrach się uspokajam. Tutaj naprawdę nie ma kup. Przez ostatnie dni nauczyliśmy się uważnie patrzeć pod nogi zamiast na okoliczne krajobrazy, chwila nieuwagi może spowodować wdepnięcie na



minę a potem przykry zapach ciągnący się dopóki nie wyczyścimy podeszwy. Za cały trekking naliczyłem tylko 6 niespodzianek.

Droga najpierw wchodzi na zbocze *Awí Peak*, potem chwilę je trawersuje, po to żeby na koniec zejść w obszerną spokojną dolinę i wejść dość stromym podejściem do *Dzonglhi*. Jakoś nie spotkaliśmy po drodze do samej wioski żadnego turysty. Chcieliśmy się po drodze nawet zatrzymać na herbatę, po sprawdzeniu mapy dość blisko było do wioski *Tsholo*, jednak po kolejnej godzinie drogi okazało się, że z wioski zostało już tylko parę ścian i puste zagrody po jakach. Zaczynam mieć nawet szczere wątpliwości co do tego w jakim stanie jest sama *Dzonghla*, na mapie nie ma zaznaczonego nawet możliwości przenocowania. Nawet *Dughla* była oznaczona jako możliwość noclegu, a tam była raptem jedna chata. Rafał jednak pewnie twierdzi, że sprawdzał te informacje przed wyjazdem i można tam przenocować. W razie niemożności zawsze mamy jeszcze następną wioskę – *Leisyasa*, ale jak się później dowiedzieliśmy i sami naocznie stwierdziliśmy, z tej wioski również nie został już nawet kamień na kamieniu.

Sama *Dzonghla* sprawia wrażenie nie do końca wybudowanej miejscowości, z daleka rysowały się na horyzoncie dachy, które na miejscu okazały się należeć do kilku tylko chat. Są tutaj dosłownie dwie lodge, jedna bardzo przyzwoita i druga będąca odwrotnością pierwszej. Poza nimi, reszta dachów należy do dwóch pustych stajni dla jaków i jednej tubylczej lepianki. Jak na ostatnią żywą osadę przed przełęczą *Chola*, wygląda mizernie. Dobrze, że są tutaj jakiegokolwiek miejsca noclegowe, poza zagrodami dla jaków.

Wbijamy się do tej lepszej lodge, właściciel chce 300rs (15zł), za noc od osoby i niechętny do negocjacji, co to jakiś hotel? Idziemy się dowiedzieć jak wygląda sytuacja w drugiej z nich, ta nie zachęca wyglądem. Jest to taka lepianka zbudowana na zasadzie kamień na kamieniu, zlepionych ziemią. Dach kryje parę blach z uwagi żeby nie odleciały podczas czasami silnych wiatrów, co metr na krawędzi leży ciężki głaz (popularna tutaj praktyka). Ten majestatyczny szczyt zaraz za chatą w tle to *Cholatse* 6440m n.p.m.



W środku nie lepiej, ale bardzo pogodny właściciel prezentuje nam pokoje, jedne mają okna, inne nie i tylko taki kawałek folii w suficie przez, który wpada do środka światło (bardzo niewiele), przez podobne otwory w dachu. Pokój jest złożony w zasadzie tylko z łóżka zbudowanego z takiego samego kamienia jak cała chata i na takie podwyższenie rzuconych jest parę kocy. Samą podłogę stanowi klepisko na, które położony został kawałek maty mający najpewniej stanowić podłogę łatwą do zmycia, choć większość tych pokoi pewnie nie jest w ogóle sprzątna, bo w zasadzie nie ma po czym. Ściany zewnętrzne to kamienie, wewnętrzne, działowe to cienka sklejka drewniana powycinana i przybita gwoździami do prostej konstrukcji. Z tej samej sklejki zrobione są prowizoryczne drzwi do, których dostajemy dwie chińskie (!?), kłódki, wprawdzie nie stanowiące żadnej przeszkody dla potencjalnego złodzieja. Pokoi single niestety nie ma, ale proponuje mi dwójkę w standardowej cenie 100rs. Warunki do tego są po prostu niezemskie, a gospodarz bardzo miły i po pytaniu skąd jesteśmy oznajmia, że on jest z Tybetu (*me, Tibet – Ja, Tybet*) ...zostajemy. Szczerze powiedziawszy właśnie takie miejsca, gdzie jest podstawowe minimum do spania, najbardziej egzotyczne, najmilej się wspomina.

Mamy jeszcze dobre trzy godziny zanim przyjdzie pora obiadowa, więc zbieramy się w głównym pokoju, tak samo zimnym jak na zewnątrz i czekamy na wieczór, kiedy będzie można rozpalić w piecu. Ubieram co mam i rozgrzewając się cytrynową herbatą kiwam się nad rozłożoną mapą. Marcin i Rafał znoszą sobie nawet śpiwory i zasypiają oparci jeden o drugiego. Śmiesznie wyglądali, jak jakaś para, ale było tak zimno, że nie chciało mi się nawet ruszyć do pokoju po aparat.

W końcu do środka wpada młody chłopak, zapewne syn właściciela i wrzucając wysuszone kupy jaka do pieca podpala je. Rozsiadamy się natychmiast dookoła pieca łapiąc pierwsze promienie ciepła. Po chwili robi się już przyjemnie ciepło i do stołu podają naszą kolację. Jesteśmy jedynymi gośćmi i cały wieczór upływa nam przy rozmowie z Langdangiem na temat sytuacji w Tybecie. Langdang mówi, że sprawa nie wygląda tak pięknie jak opisują to media, czasami dzwoni do swojej rodziny i tylko niedawno jakiś jego krewny został aresztowany, bo na ulicy znaleziono przy nim zdjęcie Dalaj Lamy. On sam wyemigrował z Tybetu w 1986r. mówi, że przez trudną sytuację. Teraz ma tutaj chatę w której mieszka w sezonie turystycznym, a w porze monsunowej zamieszkuje w *Khumjung*, to sąsiednia wioska do *Namche* którą odwiedziliśmy podczas aklimatyzacji.

W pewnym momencie oglądając wszystkie te Tybetańskie rzeczy na ścianie, poszedłem po aparat i zapytałem czy mogę sobie z nim zrobić zdjęcie, oczywiście zgodził się. Wymagało to zdjęcia kurtki, polaru i swetra, ale chciałem żeby moja Tybetańska koszulka zakupiona jeszcze w Polsce była na tym zdjęciu, tak powstało jedno z lepszych zdjęć, które z uśmiechem wspominam. Na ścianie dodatkowo wisi pomarańczowa koszulka z napisem „Chiny kłamią, że Tybetańczycy umarli, stop ludobójstwu w Tybecie” oraz drugim już napisanym markerem „Wolność religii w Tybecie”. Langdang wspominał, że największym problemem nie jest zależność od Chin, ale prześladowania religijne. Tybet nie chce niezależności, chcą na razie tylko wolności wyznawania religii.



Na ścianie wisi portret Dalaj Lamy oraz modlitwa w dwóch językach, po tybetańsku i po angielsku dla turystów, odpisałem treść:

*Long Life Prayer for His Holiness the Dalaj Lama*

*In the land encircled by snow mountains  
You are source of all hapiness and good;  
All powerful Chenrezing, Tenzin Gyatso,  
Please remain until samsara ends.*

Po Polsku wyglądałoby to mniej, więcej tak jak poniżej, wybaczcie mi ewentualne błędy tłumaczenia, ale dwa słowa wymagały znalezienia tybetańskiego słownika, a to nie jest łatwe:

*Modlitwa o długie życie jego świętobliwości Dalaj Lamy*

*W ziemi otoczzonej śniegiem i górami  
Ty jesteś źródłem całego szczęścia i dobra;  
Wszelka potężna Miłość i Współczucie, Tenzin Gyatso,  
Niech pozostaną z Tobą dopóki czas przemian się nie zakończy.*

*Tenzin Gyatso* to dla tych którzy nie wiedzą, obecne imię XIV Dalajlamy, duchowego i politycznego przywódcy Tybetańczyków. Prawdziwie nazywał się *Lhamo*

*Dhondup*, przynajmniej przed tym, jak zgodnie z tradycją, rozpoznano w nim inkarnację. Czasami spotyka się też „*Jetsun Jamphel Ngawan Lobsang Yeshe Tenzin Gyatso*”, z czego wszystkie przedrostki po przełożeniu z Tybetańskiego znaczą: *Święty Pan, Łagodnej Chwały, Wymowny, Współczujący, Uczony obrońca Wiary, Ocean Mądrości*. Obecnie przebywa na emigracji w Indiach, Langdang wspomina, że miał okazję widzieć go już 6 razy i było to dla niego wielkie przeżycie.

W nocy mimo wysokości spało mi się dobrze, obudziłem się tylko raz około trzeciej w momencie gdy na dachu coś dość głośno wylądowało. Dopiero rano skojarzyłem kruki. Chris Bonington w książce „Everest – Najtrudniejsza Droga” nazywa je *gorakami*, ponoć są kłopotem nawet w obozie drugim (~6500m n.p.m.). Jednak nigdzie nie znalazłem potwierdzenia, że *goraki* istnieją, przez co zostają przy krukach. Gdzieś czytałem, że rekord ptaków żyjących na wysokości, należy do andyjskich kondorów, widywane są nawet na 5000m, powątpiewam w ten rekord. Kruki świetnie znoszą naszą obecną wysokość, choć zachodziłem w głowę, czym się tutaj żywią. Najpierw chodziły po blaszanym dachu strasznie przy tym tupiąc, potem wpadły przez jedną z dziur do środka. Nad foliowym dachem mojego pokoju zobaczyłem tylko cień w słabym świetle księżyca. Chwilę później dostały się do środka przez dziurę w ceracie przykrywającej korytarz i ewidentnie grzebały po pokojach, zaczynając od nr 1. Wiem, że brzmi to śmiesznie czy niewiarygodnie, ale wyraźnie słyszałem jak wchodziły do wszystkich pokoi, kolejno rewidując pokój za pokojem. Zgasłem czołówkę i nastłuchiwałem. Mieliśmy pokoje na samym końcu korytarza, gdy w końcu dotarły tuż pod drzwi nastąpiła na chwilę cisza. Najwyraźniej zastanawiały się co zrobić z zamkniętymi drzwiami, po czym nic nie wymyśliły i odeszły. Chwilę po krukach coś mniejszego biegało jeszcze po korytarzach, chyba myszy, potem już zasnęłam.

#### **2009.04.04 – Dzień 14 (sobota) – Dragnag, 4700m n.p.m.**

Poranna toaleta przebiega szybko na tej wysokości, wychodzi się przed chatę, ręce w śnieg i trochę szorowania, to samo po twarzy. W rezultacie, po minucie człowiek jest gotowy i od razu odechciewa się spać. Przed domem, przy wyjściu z chaty jest lustro i prowizorka półki na kosmetyki, ze starą szczoteczką do zębów. Przeglądam się w nim i stwierdzam, że wyglądam jak Robinson Crusoe po przejściach. Rafał z Marcinem co rano smarowali się filtrem UV, ja jakoś sobie darowałem i mam za swoje. Twarz mam całą spaloną słońcem i niemal brunatną, chyba częściowo od brudu, miejscami schodzi mi naskórek od spalenia i do tego ostatnio goliłem się przy okazji prysznic, a to było 9 dni temu. Nos, najbardziej wystawiony na promienie słońca, ucierpiał najwięcej i widać to po nim.

Miejscami po chatach wprowadzie oferują tzw. „*Hot Shower*”, który najczęściej, kiedyś był hot, a teraz już niewiele z tym ma wspólnego, dwa razy, kiedy miałem na niego ochotę akurat go nie było. Jeśli już gdzieś działa to prawie zawsze ogrzewany jest słońcem, więc żeby się na niego załapać trzeba być na miejscu około południa, kiedy słońce jeszcze mocno świeci. Najczęściej są to takie budki z przezroczystym dachem z którego wystaje wąż przez, który leje się letnia woda, wystarczająca żeby się umyć. Taka przyjemność najczęściej kosztuje 200-400rs (10-20zł), warto? Ja stwierdziłem, że chyba nie.

Wychodzimy około ósmej rano, wcześniej, ale dziś jest ciężki dzień ścieżki w nieznanie przez przełęcz *ChoLa*. Obawialiśmy się jednego, żeby nie spadł śnieg, inaczej może być trudno znaleźć ścieżkę. Po opadach może być dość niebezpiecznie, szczeliny są przykryte śniegiem, wyżej istnieje też niebezpieczeństwo lawinowe. Na szczęście śnieg spadł 3 dni temu i szlak jest przetarty. Tybetańczyk na pożegnanie wręcza mi kartkę z napisanymi nazwami Lodge, w których możemy się zatrzymać, obiecuje zniżki. Oczywiście zniżek najczęściej żadnych nie ma, ale ludzie zawsze są mili i wypytują co u ich znajomych (najczęściej rodziny), w innej osadzie.

To chyba pierwszy raz gdy chcieliśmy wcześniej wyjść i faktycznie wychodzimy, idziemy na zachód, szlaku nie ma, miejscami jest tylko mniej lub bardziej widoczna ścieżka prowadząca w stronę przełęczy. Tybetańczyk tylko ręką wskazał perymetr jakiego się trzymamy, trochę „na czuja”. Dolina jest ze wszystkich stron zamknięta przez góry i przez to bardzo cicha, spokojna, a dołem płynie ładny czysty strumień. Mimo ciepłego i ostrego słońca jeszcze pokryty lodem po zimnej nocy. Wychodzimy w pełnym ekwipunku, ale po chwili zatrzymuję się żeby najpierw ściągnąć kurtkę, potem polar, a po jeszcze kilkudziesięciu metrach, sweter. Ściana i podejście do którego idziemy wydaje się być blisko, ale wszystkie góry sprawiają podobne wrażenie, do EBC szło się podobnie. W rezultacie jakieś półtorej godziny zajmuje nam przejście 6km do skalnej ściany z namalowaną strzałką w lewo do ostrego podejścia po rumowisku skalnym na samą górę. Do tej pory droga była łatwa, z lekkim nachyleniem. Teraz nie dość że czeka nas wspinaczka po tych kamieniach to robi się wyżej i zimniej. Po zdobyciu każdej półki skalnej która wydawała się już być końcem, z niej dopiero widać następną i tak cały czas w górę. Samej różnicy wysokości jest według mapy dokładnie 500m co nie jest fajne, o ile do tej pory duże wysokości zdobywaliśmy bez ładunków, tak teraz trzeba wejść na 5330m z ciężkim plecakiem.

Ściana po której wchodzimy nie jest nachylona w stronę słońca przez co zimno nie tylko potęguje wysokość, ale brak słońca, co tutaj czuć. Miejscami kamienie przykrywa warstwa śniegu i lodu z tendencją do coraz, więcej lodu im wyżej, aż do

samego lodu na górze. Trzeba uważać gdzie się stawia stopy, szczeliny pomiędzy głazami, nieraz dość głębokie są przykryte śniegiem. Widoczność chwilami bardzo mała, jest jeszcze wcześniej, ale wyżej wiatr niewiadomo skąd przywiał chmury, które gęstą mgłą zasłaniają ładne widoki. Jest to dość niebezpieczne miejsce do przechodzenia, zwłaszcza zaraz po zimie lub opadach śniegu, w zeszłym roku zginęły tutaj dwie osoby. W niektórych lodge widzieliśmy ogłoszenia o oferowanym 1000\$ za odnalezienie ciała, jeśli wziąć pod uwagę ile tu jest szczelin może zająć to bardzo dużo czasu. Jeśli legendarny Yeti miałby gdzieś w tych Himalajach mieszkać to mieszkałby chyba na tej przełęczy, miejsc, w których mógłby się schować i w spokoju konsumować porwanych turystów jest tutaj bardzo, bardzo dużo.

Po wejściu na samą górę czeka nas jeszcze jakiś kilometr trawersu śniegowym zboczem i podziwianie chwilami naprawdę dużych seraków zwisających nad ścieżką. Jak do tej pory o swoje bezpieczeństwo byłem spokojny, tak tutaj czuje się trochę nieswojo. Marcin z Rafałem mają jeszcze trochę lepszą kondycję pod górkę i idą przodem, ja powoli z tyłu odmierzając każdy krok i pomagając sobie kijami. Mniej, więcej cała droga prowadzi po wydeptanym twardym śniegu, ale wystarczy wdepnąć 30cm poza tą linię, a człowiek zapada się na pół metra w zaspę. Tutaj nawet nie wiadomo jak oddychać, oddychając za wolno będziemy niedotlenieni, za szybko, możemy nabawić się hiperwentylacji. W pewnym momencie spostrzegłem się, że ciemno mi się robi przed oczami, wbiłem kije w śnieg żeby się podeprzeć, opadłem na kolana i ciężko oddychając podziwiałem wspaniałe czarne kleksy krążące po białym śniegu. Zastanawiałem się, czy nie zrzucić plecaka i nie wyjąć butli z tlenem, ale jakoś tą chwilę słabości przetrwałem, potem bardzo powoli ruszyłem dalej. Warunki tutaj są ekstremalne, jeśli ktoś grywał w grę Diablo2 przypomina to trochę górę starożytnych, z podobnymi widokami. Robimy przerwę pomiędzy skałami, ale tylko na parę minut, dłużej nie można, przez zimno, wszędzie dookoła śnieg, lód miejscami popękany w naprawdę piękne lodospady. Pobliskie szczyty skutecznie zasłaniają słońce i do tego z racji przesmyku pomiędzy wysokimi szczytami wieje tutaj bardzo silny, zimny i nieprzyjemny wiatr, a w powietrzu czuć niedobór tlenu. Takim powietrzem można oddychać, ale człowiek nie czuje takiej satysfakcji z tego oddechu i dotlenienia jak na normalnej wysokości. Pocieszam się, że jeszcze jakieś pół kilometra i zacznie się robić przyjemniej.

W jednej chwili cały ten lód się kończy, jest trochę kamieni i wychodzi się na skalne urwisko prowadzące w dół. Wygląda to jak wielka kupa wielotonowych skał zrzuconych bezwładnie na siebie prowadzące na dół, miejscami bardzo stromo i bez asekuracji. Stok jednak już nachylony do słońca, bez śniegu i z każdym krokiem bliżej

końca. Chwilę tutaj stoimy podziwiając nieprzeciętne widoki, zimny wiatr nie pozwala na dłużej.

O ile chłopaki prowadzili pod górkę, tak mi się wspaniale po tych skałach skacze na dół, z jednej na drugą, a buty Salomona z podeszwą *contragrip*, podobno nawet lepszą niż *vibram*, spisują się w tym terenie znakomicie. Nie mam porównania do *vibram*, ale z zakupu tych jestem bardzo zadowolony, zapewniają dobrą przyczepność nawet na bardzo stromej, wyślizganej skale. Spotkałem się z pojęciem, że gdzie jak wejdzie tam człowiek też da rady, jakoby jaki miały wyznaczać czy człowiek da radę czy nie. Zgodnie z takim miernikiem, człowiek nie dałby rady przejść przez przełęcz, jak wspomnę te strome skały tak nie widzę wyobraźnią chodzących tam jaków. To bardzo sprytne zwierzęta ale takich przeszkód jak tutaj by nie przeszły.

Co parę minut robię, chwilową przerwę. Na samym dole odpoczywamy chwilę i ruszamy dalej. Słońce powoli się już chowa, a my mamy jeszcze do przejścia dobre 6km do *Dragnag*, najpierw podejście rozległą równiną pod górę (jakieś 200m różnicy wysokości), a potem chwilę po płaskim i wąską malowniczą doliną na dół. Pomimo wątpliwości czy dobrze idziemy, trafiliśmy. W momencie osiągnięcia małej osady, jest godzina osiemnasta, robi się już ciemno i zewsząd nadciąga mgła. Mamy za sobą prawie jedenaście godzin marszu, ale udało nam się, przeszliśmy bezpiecznie przełęcz, zgodnie z planem. Przeszliśmy ze wschodu na zachód i jeśli miałbym ocenić to jest to chyba lepszy sposób na przejście tej przełęcz, niż w drugą stronę. Chyba przez fakt, że zejście z przełęcz było bardzo strome. Można spotkać wiele sprzecznych opinii, jednak żeby moja była obiektywna to musiałbym się wrócić tą samą trasą a na kolejne 11 godzin drogi nie mam ochoty.

Zatrzymujemy się w lodge polecanej przez Tybetańczyka - *Cholaview*, nie jest luksusowa, ale podobnie przyjemna. Właścicielką jest 24 letnia Anyche wraz z siostrą, nawet ładna, choć siostra z bardziej azjatycką urodą podoba mi się bardziej. Kolację zamawiamy niemal od razu, jak na 11 godzin przeprawy dziś nie mam takiego apetytu jak kilka dni temu i zupa *Sherpa Stew* z wieloma dodatkami w środku oraz ryż z soczewicą wystarcza mi zupełnie. Marcin stęskniony za smakiem piwa zamawia jedną małą puszkę za 300rs (15zł), ale stwierdza, że zupełnie mu ono nie smakuje.

Rafał właściwie zaraz po kolacji kładzie się już spać, my jeszcze chwilę grzejemy się przy dogasającym piecu opalonym kupą jaka. Marcin leży przy piecu i ku uciesze gospodyni coś śpiewa pod nosem, Anyche przy świetle świec układa pasjansa. Jest już dość późno gdy do lodge przychodzi znajomy Anyche, już nieco podchmielony – Arach. Bardzo miły starszy dziadek, angielskiego nauczył się od turystów pół gestykulując, a pół odgadując słowa. Proponuje nam spróbowania wina z ryżu,



przezornie usłyszawszy już nieco o relacjach jakie mogą wystąpić po wypiciu, próbuję tylko małego łyka. Marcin spróbował, więcej i dzień później stwierdził, że chyba źle postąpił. Smak w niczym nie przypomina wina, a już na pewno nie zgadłbym, że to robione z ryżu. Lekko kwaśny i z zawartością alkoholu jedynie 3-4%. Trzeba wypić naprawdę dużo żeby cokolwiek odczuć. Lokalni przetrzymują je w czym popadnie, pustych bańkach z oleju, słoikach, a u Anyche rozpoznałem pojemniki po paliwie do helikoptera. Identyczne widzieliśmy później w *Lukli* na lotnisku podczas tankowania jednego z nich. W końcu o prawie jedenastej w nocy kładziemy się spać.

### **2009.04.05 – Dzień 15 (niedziela) – Gokyo, 4790m n.p.m.**

Na śniadanie, tradycyjnie zamawiam duży talerz zupy pomidorowej i kanapkę z serem, apetyt mi nie zmałał i powoli zaczynam czuć się dużo lepiej, choć kaszel ustępuje bólowi w gardle. Jeszcze jeden dzień na wysokości, a potem już będziemy schodzić na dół do normalnego powietrza. Do przejścia jest niedużo, więc nie spiesząc się szczególnie przed jedenastą w końcu wyruszamy. W momencie wyjścia, Anyche ma już 3 gości na dzisiejszą noc, zastanawiamy się, o której Ci turyści musieli wstać, że są tutaj już przed południem.

Wychodzimy niedaleko za *Dragnag* i ...gdzie tu iść? Szlaku ciągle nie ma żadnego, jedynie kamienie, resztki traw gdzieś i lekko pod górkę, orientujemy mapę do kompasu po czym ja się upieram żeby iść na północny-zachód jak najkrótszą drogą, a Rafał uparcie chce iść tak jak jest na mapie czyli prosto na zachód. Idziemy chwilę razem potem ja z Marcinem lekko skręcając idziemy jak najkrótszą trasą, a Rafał idzie dalej na zachód. Na mapie mamy zaznaczone iść taką drogą jakieś 2km z czego kilometr to przejście w poprzek morenę lodowca *Ngozumpa* na drugą stronę, najdłuższego w całych Himalajach. Morena lodowcowa, najprościej mówiąc to taki wielki rów wypełniony kamieniami, żwirem, piaskiem i wszystkim co przyniósł i stworzył lód wędrując sobie z góry na dół. Kamienie w dzień zazwyczaj się rozgrzewają przez to lodu z pozoru nie widać, jest zaraz pod kamieniami. Całość uwalnia oczywiście dużo wody, przez co miejscami płynie, a potem znika pod lodem woda, są też i jeziora.

Dochodząc, do moreny lodowca *Ngozumpa* powiedziałem tylko wow, przed nami krajobraz jak z innej planety. Nie powinienem być bardzo zaskoczony, bo już przeszliśmy *Khumbu*, z tym, że poprzedni lodowiec nie był tak duży. Sam tylko rów rozpoczynający ścianę moreny miał z 10 metrów głębokości z dość stromymi ścianami i nie bardzo było jak zejść na dół... Teraz już wiem, czemu szlak przez Morenę prowadził na zachód, a nie od razu na północny zachód do *Gokyo*. Po prostu tam była

jedyna bezpieczna droga zejścia na dół i ścieżka przez morenę, dużo bardziej zróżnicowaną i głębszą niż *Khumbu*. W odległości kilkuset metrów widzimy Rafała w podobnej sytuacji jak my, też lekko zboczył ze szlaku i nie trafił na zejście. Woła że widzi zejście, jakieś pół kilometra od niego na południe. Ja się rozglądając też widzę jakieś zejście (albo coś co je przypomina), ale w przeciwną stronę. Ruszamy, więc on na południe, ja z Marcinem na północ i schodzimy na dno moreny dość stromym zejściem, ale czymś jednak na kształt ścieżki. Po kolejnych paru set metrach ścieżka ginie gdzieś pomiędzy lodem, a skałami, ale po paru stromych podejściach w końcu idąc jednak w kierunku południowym trafiamy na główną ścieżkę przez morenę. Z daleka widzimy Rafała czekającego na nas przy zejściu, widać czekał aż się wrócimy. Cóż, nadłożyliśmy chyba z kilometr drogi starając się ją skrócić, spotykamy się w połowie moreny na przerwie pośród skał.

W moim odczuciu, morena *Ngozumpa* należy do najładniejszych w Himalajach, choćby tylko poprzez duże zróżnicowanie terenu. Zaczyna się wśród skał, po to żeby za chwilę prowadzić po ziemi gdzie płynie strumyk, chwila wspinaczki ścieżką do góry i już zupełnie inny klimat, duże kamienie, ciepło od słońca i przepiękne widoki na jeziora w odległości parunastu metrów.



Cała morena to taka szuflandia, mini kraina 100 krajobrazów, w pewnym momencie idąc przez skały nagle wychodzi się na piasek, tak drobny i gorący jak na Saharze, tylko po to, żeby po przejściu 200 metrów wejść znowu na lód i śnieg.



W końcu osiągamy główny szlak do *Gokyo* i mijamy po drodze najwyżej położone na świecie jezioro, nazwane tak samo jak miejscowość u którego brzegu leży. Cała trasa była bardzo łatwa technicznie, bez przemęczeń, z różnicą wysokości, tylko 200m na plus i pokonaliśmy ją w 2,5 godziny bardzo wolnym tempem. Rafał spodziewał się tutaj pełnej kultury i nawet zasięgu GSM. Wieś, owszem większa niż inne, bo to ostatnia cywilizacja przed granicą Nepalu do której jest jeszcze trochę drogi (jakieś 6km), ale poza tym nie ma szczególnej rewelacji. Na zdjęciu osada, zdjęcie ze stoku *Gokyo Ri*, naliczyłem 17 zamieszkałych budynków, jezioro jest częściowo zamrożone rano i nocą, w południe lód znika od ostrego słońca.



Na południe od *Gokyo* prowadzi szlak w stronę Nepalskiej granicy, na mapie jest dobrze opisany, z lodge w której się zatrzymaliśmy widać nawet gdzie iść i szkoda, że nie mamy tego w planie i za bardzo ekwipunku, ale osobiście wybrałbym się w tamte strony. Powyżej *Gokyo* są jeszcze dwie małe wioski, przynajmniej tak mówi jedna z naszych map, ale mogą to już być tylko ruiny jakich tu dużo. Niemniej, jeśli ktoś chce zaznać potęgi gór w samotności i naprawdę poczuć ducha Himalajów to można by się zapaść z dużym zapasem jedzenia i namiotem w tamte rejony.

Dochodząc do osady, spotykamy nad brzegiem jeziora Polaka, przynajmniej przywitał się po naszymu, ale po 5 minutach rozmowy idziemy dalej, nie wywarł na mnie dobrego wrażenia, na chłopakach chyba też nie. Wskazał nawet na lodge gdzie się zatrzymał on i jeszcze 3 innych Polaków, ale nawet tam nie zajrzeliśmy. Dialog z nami rozpoczął słowami „Kur...a, ale mnie łeb napi.....a”. Strasznie go, bolała głowa i chwalił sobie zupę z czosnkiem jako lek na chorobę wysokościową, mówi, że inni Polacy z nim to lekomani i jedzą dużo tabletek, on żadnych nie bierze, woli czosnek. Jak dodał, że jest z Warszawy to już zupełnie zwątpiłem, (nie żebym miał coś do Warszawiaków ☺).

Skierowaliśmy się do lodge polecanej nam przez Tybetańczyka, ale po raz pierwszy spotkaliśmy lodge w której były wszystkie zajęte miejsca. Kobieta strasznie przepraszała i zaproponowała herbatkę w zamian, ale podziękowałem i wyszliśmy. Zauważyła, że przysiedliśmy na murku 100m za lodge i przyniosła nam tą herbatę, nie wierzyłem, że oferuję ją za darmo, ale jednak, nie chciała żadnej zapłaty, po angielsku mówiła średnio, ale i tak porozumieliśmy się trochę.

W międzyczasie obkoczyłem dwie lodge pytając o cenę, chwilę się zastanawialiśmy, (sami nie wiedząc nad czym) i poszliśmy w końcu do jakiejś dziwnej lodge której nazwy nawet nie zapisałem, kiepska była. Po południu odwiedziliśmy pobliski sklep z całkiem niezłym asortymentem. Kupiliśmy rybki w puszcze, Marcin dodatkowo wziął sobie na spólkę z Rafałem mielonkę z kurczaka z datą produkcji 2007, ale nie była rewelacyjna. Przegryzając sucharkami, skonsumowaliśmy to w moim pokoju, numer – 107. Zastanawiałem się z Rafałem nad strepsilem, ale ostatecznie podziękowaliśmy, gardło mnie bolało, ale nie aż tak żeby płacić za to 400 rupii (20zł), co jest bardzo wysoką ceną jak na Nepal. Zastanawiałem się przez chwilę, żeby wieczorem może odwiedzić sąsiednią lodge i pogadać z tymi Polakami, ale pomysł jakoś upadł.

**2009.04.06 – Dzień 16 (poniedziałek) – Gokyo, 4790m n.p.m.**

Obudziłem się nad ranem nie mogąc spać, była może 5 rano. Gardło strasznie mnie bolało i pożałowałem wczorajszej oszczędności. Chwilę przewracałem się z boku na bok, żałując że nie wziąłem z Polski więcej jakichkolwiek tabletek, które by mi teraz pomogły. W mini apteczce zostały mi już tylko plastry i opatrunki, zupełnie nieprzydatne. Chłopakom też się skończyły wszystkie leki, no może poza ibuprofenem, ale on na Evereście w cudowny sposób pomaga tylko Agnieszce z reklamy. Na przeziębienie cenione tutaj są leki z paracetamolem, których niestety wszędzie brak, a nam wszelki zapas czegokolwiek się już skończył.

Sam nie wiem, kiedy tak rozmyślając zasnąłem, tuż nad ranem, po 9 obudził mnie Marcin pukający do drzwi. Rafał już w kuchni popijał gorącą herbatę, też się przeprosił ze sprzedawcą i z samego rana kupił strepsils, był w podobnej sytuacji. Wytargował 360rs (18zł), z początkowych 400. Dziesięć minut później sprawca widząc mnie powiedział „400, ale twój kolega kupił za 360, więc dam Ci za tyle samo”.

Dzisiaj zdobywamy *Gokyo Ri*, Marcin od kilku ostatnich dni nie czuł się za dobrze i odgrażał się że nigdzie nie idzie i poczeka na dole, zawsze jakoś te groźby przemilczaliśmy – poczekamy, zobaczymy. Chyba miał w nocy rozmowę z Rafałem, bo zapytany o powód wyjścia odparł „a tak jakoś”. Ja też przy wejściu na Kalla Patar wyklinałem, że na żadne *Gokyo Ri* nie wchodzić choćby nie wiem co, widok na ośmiotysięczniki z *Cho Oyu* na czele poczeka, jednak nie czuję się aż tak źle jak w *Gorak* i pomimo bólu gardła mogę iść. Nie spieszymy się specjalnie, wychodzimy przed lodge bez plecaków i widzimy poznanego wczoraj Polaka od bólu głowy, za nim inni Polacy i też mówi, że idą na szczyt. Idziemy chwilę za nimi na pierwszym postoju mijamy ich i mówimy dzień dobry. Dziwne, na pierwsze wrażenie wydają się być w porządku. Po drodze Adam (Warszawiak), wyskoczył na sam przód i pobiegł wręcz na szczyt, my na kolejnych postojach rozmawiamy i Ci Polacy okazują się być naprawdę w porządku, otwarci, towarzyscy ludzie którzy przyjechali w Himalaje. Wprawdzie mają ze sobą tragarza i przewodnika, którego nawet teraz wzięli ze sobą, ale przecież nie każdy lubi nosić swój bagaż. Wymieniamy spostrzeżenia na temat ich warszawskiego kolegi, okazuje się, że nie mają o nim lepszego zdania, a nawet gorsze, ktoś spyta pewnie skąd się tutaj wziął?

Jakiś czas temu, kiedy organizowali wycieczkę, też na własną rękę stwierdzili, że we 4 będzie im raźniej. Justyna napisała, więc podobne ogłoszenie jak Rafał w [travelbit.pl](http://travelbit.pl) tylko, że na innym forum – [globtrotter.pl](http://globtrotter.pl). Takim oto rezultatem w zespole pojawiła im się czarna owca – Adam z Warszawy, któremu umiejętności interpersonalnych i współpracy w grupie nie zazdrościmy. Kompletnie się nie

dogadują i my z nim też, a tutaj już doszło do tego, że idą wprawdzie razem, ale Adam śpi osobno i rozlicza się osobno, na jego własne życzenie. Trochę się dziwię, byłem zdania, że jeśli ludzie mają wspólne zainteresowania i wspólnie chcą gdzieś jechać, poznawszy się choćby przez Internet, to niezależnie od innych czynników się dogadają. Dla przykładu, ja z Rafałem i Marcinem, jak na kompletnych nieznajomych z drugiego końca Polski, lepiej trafić chyba nie mogłem, dogadujemy się, mamy podobne cele i w wielu rzeczach (jak np. wynajmowanie tragarzy), mamy to samo zdanie. Justyna pisząc ogłoszenie o poszukiwaniu 4 członka wyprawy trafiła chyba na nie to forum co trzeba, poleciłem jej następnym razem travelbit i wymieniliśmy się kontaktami na przyszłość.

Razem wchodzimy na szczyt, ale dość rozciągniętą grupą, na przedzie Adam, który znikł już całkiem z pola widzenia, potem trójka nowo poznanych, niewiele niżej ja, na samym końcu Rafał z Marcinem. Grupa Justyny ma jeszcze energię, bo w zasadzie dopiero zaczynają i dotarli już do *Gokyo*, ja odzyskałem już powoli siły i idzie mi coraz lepiej, a chłopaki chyba dopiero teraz zaczynają ciężkie dni. Narzekają na brak apetytu i przez ostatnie dni niewiele jedzą. Spotykamy się na postojach, a po prawie 3 godzinach wędrówki pod górę, wszyscy stajemy na szczycie. Tylko drugi Adam z Warszawy zszedł już chyba, boczną drogą, żeby nas nie spotkać.



Kolejno od lewej, od góry: Adam, Marcin, Rafał, na dole: Agnieszka, Justyna i Ja. Na dół schodzimy już razem, jest godzina 14, Marcin mówi, że musi odpocząć chwilę, żeby iść dalej, więc odbieramy plecaki zostawione w naszej lodge i po krótkiej naradzie zostajemy w *Gokyo* jeden dzień dłużej. Jak na razie trzymamy się planu, a nawet jesteśmy o jeden dzień do przodu. Początkowo chcieliśmy dziś już zejść niżej do *Dole*, ale przez późną godzinę i dość długi szlak decydujemy się zostać tutaj do jutra, tym bardziej, że towarzystwo mamy bardzo dobre i o 15 nie ma już sensu ruszać dalej.

Wieczorem zachodzi gęsta mgła i zaczyna obficie sypać śniegiem przez parę godzin, wszędzie uzbierała się dość gruba warstwa. Wszystko po to, żeby o 22 niebo zrobiło się zupełnie czyste. Chmury nagle gdzieś znikły i nad ośnieżonymi górami doskonale widać gwiazdziste niebo. Przenieśliśmy się do nowych znajomych w „*Friendship lodge and restaurants*”, popijając herbatę miętową z dużego termosu oraz grając w karty i rozmawiając. Przedłuża nam się prawie do dwunastej w nocy. Agnieszka z Justyną mówią, że jeszcze się tak późno nie kładli tutaj spać. Nastroje mamy bardzo dobre a tamten wieczór wspominał bardzo miło, przyjemnie spotkać takich ludzi na swoim szlaku, szkoda tylko, że jutro się rozstaniemy.

To ostatnia noc na tej wysokości od jutra zacznie się już droga powrotna, łatwiejsza, szybsza i z każdym krokiem bliżej końca. Z perspektywy czasu wielokrotnie zatęskniłem jeszcze za potęgą Himalajów i każdą chwilą tam spędzoną, wtedy po prawie dwóch tygodniach bez prysznic i przejściu tylu kilometrów cieszyłem się na powrót ponownie w stronę cywilizacji.

### **2009.04.07 – Dzień 17 (wtorek) – Dole, 4200m n.p.m.**

Obudziłem się rano w dobrym humorze i chyba już odzyskałem formę. Gardło mnie już nie boli, katar ustąpił, przestałem nawet kaszleć. Dziś mam zapędy ruszyć do samego *Namche Bazar*, według mapy trasa jest na 12 godzin drogi, ale to jest droga dla jaków, jest dużo z górki i tylko parę wzniesień po drodze. Gdyby to ode mnie tylko zależało to już o 7 rano bym wyruszył biegiem do samego dołu. Jednak sam nie jestem, teraz nas jest 7 osób + dwóch Szerpów i zanim się wszyscy zebrali przed lodge jest dziewiąta godzina. Przez jakieś dwa kilometry będziemy szli razem, potem grupa Justyny odbija na przełęcz, a my kontynuujemy schodzenie, pół kilometra różnicy wysokości i jakieś 11km szlaku w linii prostej. Na odbiciu w stronę moreny lodowca rozdzielamy się żegnając, widzimy się jeszcze przez kilkaset metrów gdyż ich szlak początkowo tylko lekko odbija w lewo stopniowo zwiększając wysokość żeby wejść na brzeg moreny, aż znikają za wzniesieniem. Szkoda, że się rozstajemy, myślę, że wtedy wszyscy żałowaliśmy, że nie idziemy w jednym kierunku.

Szlak poza tylko paroma łatwymi wzniesieniami prowadzi w dół i dominują zejścia. Okolica i widoki są naprawdę fantastyczne i któryś raz nasuwa mi się skojarzenie z filmową trylogią *Władca Pierścieni*. Ujęcia tutaj kręcone byłyby wspaniałe. W ogóle całość i wszystkie te miejsca mają niesamowity klimat. Grań którą teraz idziemy jest jak wprost z filmu, a nawet lepsza, bo widoki w tle są znakomite.

Na sam koniec drogi nadchodzi gęsta mgła, chwilowo ograniczająca widoczność dosłownie do 50 metrów, do tego znowu zaczyna sypać śnieg, ciągle jednak rozpoznajemy ścieżkę. W momencie gdy próbujemy zorientować mapę żeby stwierdzić gdzie jesteśmy, na najbliższym znaku widzimy, że to już Dole, trasa minęła nam naprawdę szybko. Chwilę się zastanawiamy czy jednak nie iść dalej, bo mamy wczesną porę, ale mgła i perspektywa, że i tak już prawdopodobnie nie zdążymy przed nocą do *Namche*, ani innego sensownego noclegu powoduje, że zostajemy, tak jak mieliśmy w planie.

Odszukujemy poleconą nam lodge „*Alpine Cottage Dole*” i odbieramy klucze do pokoi. Na sam wieczór mamy już komplet ludzi i dostajemy ostatnie wolne miejsca. Są też Polacy, idą w góry. Chwilę z nimi rozmawiamy, ale powodują ogólnie nieprzyjemne wrażenie. Pytam ich o drogę przejścia – nie mają i jeszcze nie wiedzą gdzie pójść. Jakoś ciężko mi pojąć, że ktoś lecąc taki kawał drogi w Himalaje leci bez konkretnego planu czy woli dotarcia do jakiegoś konkretnego miejsca. Góry, można przecież zobaczyć wszędzie, Alpy są równie piękne, a bliżej położone. Rozmowa też się z nimi specjalnie nie klei, w naszym odczuciu straszne cwaniaki, widać jednak nie wszyscy którzy tu jeżdżą myślą podobnie, a do tej pory miałem takie wrażenie. Zaczynam naprawdę doceniać towarzystwo Rafała i Marcina. Wieczór, ostatecznie schodzi nam na dyskusjach we własnym towarzystwie, zamieniając z pozostałymi jedynie parę zdań.

### **2009.04.08 – Dzień 18 (środa) – Namche Bazar, 3440m n.p.m.**

Poprzedniego wieczoru, było tutaj chwilami tak ciasno, że nie było gdzie usiąść, gdy punkt dziewiąta stawiamy się na śniadanie, w całej lodge nie ma już ani jednej osoby, wszyscy wyszli bardzo wczesnie rano. Pozostali Polacy, ze swoim przewodnikiem też wyruszyli około siódmej gdy my jeszcze spaliśmy. Na śniadanie zjadam wielki talerz ryżu z warzywami i zupę pomidorową, testujemy je po różnych lodge. Poza tym chyba najlepiej tutaj rozgrzewa i odżywia z tych wszystkich zup. Doskonała na śniadanie przed wyjściem w zimne góry. Największy bubel to chyba zupa czosnkowa, kosztuje około 150-200rs (7,5-10zł), za talerz, a jest przy tym zwykłą wodą ugotowaną z dużą ilością przetartego czosnku, czasami z resztkami cienkiego makaronu z jakiejś innej zupy. W tej samej cenie lub niewiele droższa jest pomidorowa, która w zależności od lodge czasem jest wodnista na bazie chyba zwykłego tylko przecieru z pomidorów, a czasem zupełnie gęsta. Sekretem dobrej zupy pomidorowej jest wbicie na koniec gotowania roztrzepanego surowego jajka tak, aby się ścięło. Gdziekolwiek istnieje to w menu jako „*Tomato Egg Drop Soup*”.



Czasami jednak jajko już jest w standardzie, jak było to u Tybetańczyka na przełęczy. Jak dotąd zaserwował nam najlepszą pomidorówkę na całym szlaku. Jajko czyni zupełnie nie tylko gęstszą, smaczniejszą, ale też bardziej pożywną. Dobra pomidorówka może nawet sprawić, że na jeden wieczór zapomnimy o hamburgerach czekających na nas w strefie niskich cen w Polsce. Do dziś praktykuję zupełnie pomidorową z surowym jajkiem jako sposób na dobrą kolację wspominając przy tym Langdanga. Ostatnio dowiedziałem się, że nie jestem sam, co gorsza Rafał też tak robi, to chyba syndrom weteranów z Himalajów ☺.

Szeroka dolina, potem ginąca chwilami, słabo widoczna ścieżka powoli przeradza się w dobrze widoczny szlak, a ten im bliżej *Namche* w całą wąską drogę wyłożoną równo kamieniami, jak w Tatrach. W miarę schodzenia robi się też cieplej. Jeszcze trochę i będzie można włączyć telefon komórkowy i wysłać sms-a, że żyjemy. Przed samym *Namche* na postoju zdejmuję kurtkę i przyczepiam do plecaka, na następnym ściągam nawet polar. Trochę się nieswojo czuję, polar przez ostatnie dni nie ściągałem nawet do spania w śpiworze. Flora też wyraźnie jest inna, mijamy pierwsze wątle drzewa, a z daleka widać już całe lasy, nareszcie trochę zielonego koloru po surowych górach i śniegu. Schodzimy na znaną już drogę z *Khumjung* do *Namche*, którą szliśmy już podczas powrotu z wypadu aklimatyzacyjnego. Mijamy most na rzece, trochę stromego podejścia w górę i jesteśmy na ostatniej prostej ścieżce trawersującej z boku do *Namche*.

W zamierzeniu mieliśmy dziś nie oszczędzać, pieniędzy mamy jeszcze sporo i w planie mieliśmy zatrzymać się w hotelu *Khumbu*, tym, w którym mieszkał Darek i dobrze go reklamował. Jednak już po wejściu do niego dowiadujemy się, że nie ma miejsc, właśnie dotarła tutaj jakaś wyprawa na Everest, wszystkie korytarze zawałone są beczkami ze sprzętem. Chwilę szukamy, więc lodge polecanej nam w *Dole*, też wygląda na dobrą – *Himalayan Lodge*. Szczerze ją polecam, standard jest na dość wysokim poziomie, przy tym pokoje bardzo ładne. Jednak w moim coś niesamowicie początkowo śmierdzi, dywan wygląda na nieczysty albo może pościel która o dziwo tutaj jest (ciekawe jak często i czy w ogóle ją zmieniają), uchylam okno. Stwierdziłem, że potem się tym będzie przejmował, idę się dowiedzieć o prysznic. Już na samą myśl o nim się uśmiechnąłem. Dostaję klucz do małego pomieszczenia z kranem, prysznicem i gazową termą. Odkręcam wodę na maksimum gorącej – jest lekko parząca, wchodzę pod prysznic i czuję jakbym się dosłownie rozpuszczał. Stałem tak dobrą minutę w bezruchu. Ktoś kto dwa tygodnie się nie mył i potem wszedł pod prysznic będzie wiedział jakie to uczucie. Szczególnie czuje się twarz gdy pod wpływem ciepłej wody powoli rozpuszcza się cała ta warstwa brudu. Po prysznicu przeglądam się w lustrze, jestem wyraźnie mniej opalony, widać połowę mojej

karnacji stanowił czarny osad ze szlaku. Jeszcze na kolorowym zdjęciu z Tybetańczykiem na przełęczy *Czo La*, karnację mam niewiele różną od niego, teraz już jestem prawie jak Europejczyk po solarium. Nawet nos ciężko poparzony od słońca, które jest bardzo zdradliwe na tej wysokości, ładnie mi się zagoił. Wykorzystuję jeszcze pięć minut w łazience żeby się ogolić, brodę tylko wyrównuję i umyślnie zostawiam. Z Robinsona Cruoe po przejściach teraz wyglądam jak kapitan Nemo po przepłynięciu całego świata w 20 000 mil podmorskiej żeglugi. Koszt prysznic tutaj to 350rs (17,41zł), ale choćby kosztował dwa razy tyle, dla uczucia „po” byłby wart swojej ceny. Przebieram się w czyste ubranie, a w zasadzie drugą z posiadanych i ostatnią czystą koszulkę jaką mam w plecaku, z żalem zdejmując tą z tybetańską flagą. Jeśli chodzi o ubranie, to po przeczytaniu wszystkich relacji, jeszcze w Polsce ograniczyłem bagaż ubrań na cały miesiąc do absolutnego minimum. Poza tym co mam na sobie mam tylko jedną czystą koszulkę, koszulę stylu safari (przyda się w Kathmandu) i jedną termoaktywną. Całość dopełnia pięć par skarpetek i razem z tymi, które kupiłem i mam na sobie – trzy pary spodni, więcej ubrań nie ma sensu dźwigać.

Rafał z Marcinem dostali podwójny pokój na trzecim piętrze z bardzo niskim sufitem, ja jestem w pojedynczym na drugim, umówiliśmy się na 18 w głównej sali. Mam jeszcze trochę czasu, rozpakowuje plecak obwąchując teraz uważnie dywan i łóżko, ale już nic tak nie śmierdzi jak przed prysznicem, ciekawe co to było... Otwieram okno, mam stąd dobrą perspektywę na całe miasto, które z góry wygląda bardzo malowniczo. Jako, że jestem informatykiem nasunęło mi się kolejne porównanie do nieśmiertelnej gry komputerowej – *The Settlers*. Strategiczna gra w której budujemy osadę od podstaw, rozwijając całą gospodarkę żeby potem iść oczywiście na wojnę. W *Namche* nikt nie wojuje, ale przypomina bardzo taką osadę, jest dużo budynków, gdzie nigdzie szkielety tych, które dopiero powstają i z całego miasta dobiega stukot młotków z obrabianego na równe bloki kamienia. Planu zabudowy najpewniej nie ma, przez co budynki są przeróżnej wielkości, kształtów i kolorów. Miasto poprzecinane wąskimi uliczkami gdzie tylko się da i ze względu na strome miejscami nachylenie terenu podzielone sztucznie na duże poziome półki. W tym naprawdę czystym, górskim, zimnym powietrzu, całe miasto ma magiczny klimat, można w ten sposób z góry patrzeć na nie godzinami, tak jak godzinami można grać w dobrą grę strategiczną. Wychodząc nieopodal za miasto na wzniesienie można podziwiać większość ładnych szczytów przy dobrej widoczności nawet Everest widoczny za niższych sześciotysięczników tej części Himalajów. To tylko kilka z powodów dlaczego wielu, wielu turystów idzie tylko do *Namche*, nigdzie dalej.

Rafał tylko mnie zobaczył po prysznicu, stwierdził, że już nie jestem tak opalony jak przedtem, zamówili już kolację, ja też coś wybieram, siedząc zauważamy

parę stolików dalej nikogo innego niż samego Jona. W zasadzie wymieniliśmy tylko cześć i parę zdań. Historię jego życia już znamy wszyscy, więc tematy do rozmowy nam się skończyły, przynajmniej na nasz poziom angielskiego. Jest wyraźnie podekscytowany spotkaniem z dwoma Amerykanami w podobnym wieku i z podobnymi problemami. Najpierw opowiadają sobie historię życia, a potem dyskutują o górach. Wszyscy mają wybitny talent do dramaturgii, Jon jako, że już wraca, a oni dopiero idą w góry opowiada im jak stanął na szczycie *Kalla Pattar*, zobaczył Everest i poczuł się dwadzieścia lat młodszy. Jego nowi koledzy, tylko co chwila przerywają wstawkami „*oh really?*” albo „*unbelievable*” (naprawdę? albo niewiarygodne), zachowując przy tym godną sytuacji powagę, co dla Europejczyka jest bardzo komiczne. Gdybym opowieść kolegi w Polsce komentował tymi samymi słowami, uznaliby, że się z niego naśmiewam w oczy. Amerykanie jednak są inni. Przykładowy dialog dwóch Amerykanów, wygląda mniej, więcej tak:

- *I killed, a fly today,*
- ***Oh really?***
- *Yes, it was huge...*
- ***Unbelievable!***
- *Dud, I've never seen such, a huge fly before in my life.*
- *And was it possible to kill it?*
- *I was doing my best, but at least I succeeded.*
- *I guess it would be too tough for me.*
- *I thought so, but you should try, you'll feel it!*

Co w tłumaczeniu, uwzględniając ich styl znaczyło by:

- *Zabiłem dziś muchę,*
- ***Naprawdę?***
- *Tak, była ogromna...*
- ***Niewiarygodne!***
- *Stary, nigdy w swoim życiu nie widziałem tak gigantycznej muchy,*
- *I dała się zabić?*
- *Staratem się naprawdę mocno, ale dałem w końcu radę,*
- *To by było chyba ponad moje siły,*
- *Ja też tak myślałem, ale spróbuj, zobaczysz co poczujesz.*

Oczywiście nie słyszałem rozmowy o zabijaniu muchy, ale oni potrafią o podobnie błahe rzeczy rozmawiać w ten sam sposób. Zachowują przy tym pełną powagę, używają tych samych słów i cała opowieść brzmi niezmiernie dramatycznie ...gdyby nie była śmieszna. Komuś, kto nie zna zupełnie angielskiego, mógłbym po

nauczeniu się powyższych tylko zwrotów, zagwarantować udaną pogawędkę z Amerykaninem, a już Jon zagadałby takiego ucznia na śmierć.

Po kolacji wychodzę na zakupy, chłopakom się nie chce, chciałem początkowo odwiedzić Martę i zrealizować zaległe zaproszenie na herbatę, ale *Namche* się tak szybko zmienia, że w miejscu gdzie pamiętałem rów, był już murek i mostek, a potem w ciasnych uliczkach chyba źle skręciłem, bo nie znalazłem znajomego hotelu którego nawet nie zapisałem nazwy. Bez problemu za to trafiłem do sklepu, w którym zobaczyłem wspaniałe goretexowe, czerwono czarne spodnie North Face, które dalej wisiały w tym samym miejscu. Sprzedawca bardzo miły, najpierw przedstawił ponownie ich walory po czym tą samą cenę 2000rs (100zł). Tym razem załatwiłem to szybko „Dajesz rabat 300rs i płacę od ręki”, najwyraźniej ze względu na późną porę też nie miał już ochoty dziś na targowanie, uśmiechnął się i z miejsca zgodził słowami „Tylko nie mów nikomu, że tak tanio”. Na pewno nie powiem ...napiszę ☺

Rafała i Marcina spotykam jeszcze na chwilę kimających w głównym pokoju, gdzie zasiadam i studiuje mapę Delhi. Mimo wszystko ucinam krótką pogawędkę z Jonem, jego przewodnikiem i żałuję, że nie mam jakiejś książki ze sobą. Początkowo śmialiśmy się z turystów, którzy do plecaka, gdzie limit wagowy jest naprawdę napięty, bo trzeba to przecież nosić, wrzucali ciężkie nieraz księgi w liczbie większej niż jedna sztuka. Nam wieczorami nie zostaje nic innego jak grzać się przy piecu, dyskutować o sposobach ogrzewania pokoi oraz studiować mapę, którą już chyba znamy na pamięć, łącznie z wysokością każdego mijanego pagórka. Mam jeszcze przewodnik Pana K., ale ten już przeczytałem w Polsce od deski do deski, a braki wiedzy i ciekawostki o, których nie raz tu piszę uzupełniałem rozmawiając z ludźmi. W końcu gdy już nawet Jon poszedł spać i obsługa zaczęła zbierać stoły, też udałem się na odpoczynek.

### **2009.04.09 – Dzień 19 (czwartek) – Phakding, 2610m n.p.m.**

Pogoda z rana nie jest za dobra, jest zimno i pada drobny deszcz ze śniegiem. Chwilę schodzi nam na kramach z drobiazgami, których jest dużo przy wyjściu z miasta po czym po wymeldowaniu w budce ze strażnikiem od książeczek TIMS, wychodzimy na szlak do *Lukli*. Droga dość prosta, bo teraz pokonujemy ją od drugiej strony, czyli zejście, choć miejscami bardzo stromo. Sam jestem chwilami pod wrażeniem jak my daliśmy radę wdrapać się po takich skarpach. Rafał narzeka na kolana i dogania mnie i Marcina co jakiś czas na postojach. Mnie też zaczynają trochę, boleć, po tylu dniach chodzenia najwyraźniej nie były przygotowane na ciągłe dźwiganie prawie 20 kilo więcej, dobrze że to już koniec. W miarę upływu czasu i

wysokości robi się też cieplej. Co ciekawe mijamy bardzo dużo turystów idących w góry, widać dopiero teraz zaczyna się właściwy sezon. Kilka razy spotykamy też Polaków, nie wiem naprawdę jak nas rozpoznają, ale parę razy słyszeliśmy „dzień dobry” zamiast popularnego *namaste*. Nawet zapytałem jednego starszego Pana, jak mnie rozpoznał, odparł bez szczególnego zastanowienia, że np. po tym, wskazując na logo HiMountain na mojej kurtce.

Pokonaliśmy prawie 600m różnicy wysokości i stosunkowo łatwą trasą (bo z góry) doszliśmy do *Phakding*, mimo iż ostatnia prosta wymęczyła mnie trochę, zresztą chłopaków chyba też. Docieramy do naszej Lodge, tej samej w której nocowaliśmy podczas drogi pod górę, czuję dużą ulgę zrzuciwszy ciężki plecak. Marcin odbiera depozyt pozostawiony przed dwoma tygodniami po czym czarnulka (córka właściciela) zaprowadza nas do tego samego pokoju co za pierwszym razem. Rozkładamy rzeczy i rozwijamy od razu śpiwory. Marcin mówi, że kładzie się na chwilę (już wiem jak się ta chwila skończy), ja też wbijam się w śpiwór żeby się trochę rozgrzać. Rafał popatrzył ze zwątpieniem i tylko skomentował „no nie żartujcie nawet”, po czym dodał już sam do siebie, „no i co mi zostało?”. Zrobiło mi się przyjemnie ciepło i tak jak poprzednio w tym samym pokoju film mi się urwał.

Parę godzin później, jest już ciemno, budzą nas wrzaski, krzyki i śpiewanie „sto lat” po Angielsku. Do lodge zwała się właśnie kolejna hałaśliwa wycieczka znienawidzonych przeze mnie Anglików z iPodami, idą do *Namche*. Tym razem grupka chyba licealistów z przewagą dziewczyn, bardzo rozwrzeszczanych. Nie wiem czemu, ale Anglik się nawet nie musi przedstawiać, że jest Anglikiem, wszyscy są bardzo charakterystyczni i mają okropny akcent, izolacja na wyspie im nie służy. Schodzimy na dół, poza licealistami jest tutaj też Jon ze swoim przewodnikiem, wyraźnie nas śledzi, jest przecież z 15 lodge w *Phakding*, dlaczego on akurat trafił do tej samej co my już, któryś raz. Znalazł kolejną ofiarę której opowiada historię życia, w zasadzie to mógłbym opowiadać już za niego, ominął kilka szczegółów, nie powiedział tym razem, że jego żona jest księżową.

Po kolacji na zewnątrz gdzie jest trochę spokojniej bardzo miło rozmawiamy z jednym z przewodników, który prowadzi wycieczkę tych głośnych angielskich dziewczyn (przyznał, że to trudne). Pytam go o możliwości potwierdzenia terminu lotu z *Lukli*. Mówi, że nie ma problemu i można to zrobić już na miejscu, nie trzeba wcześniej dzwonić, chyba, że chcemy jutro wstać o 4 rano i zasuwać na samolot – nie chcemy. Zapisuje mi na bilecie nazwę lodge i imię gościa do którego się udać w *Lukli*, przy okazji notuje swoje imię, on na tym skorzysta, my też.

Jest już ciemno i zrobiło się zimniej, ale mimo to chodzę w samym tylko swetrze i tylko dwóch koszulkach pod spodem, nawet polar chwilowo odstawiłem, temperatura na to już tutaj pozwala. Przystawiliśmy się już na inny tryb, zamiast walczyć o przetrwanie, żywność i oszczędzając pieniądze, wychodzimy pozwiedzać osadę nocą w poszukiwaniu piwa, którego nie piliśmy już dość długo. Trafiamy do dość ciekawej knajpki której wyposażenie wnętrza mnie co najmniej zdziwiło.



Z zewnątrz rozpadająca się chata z napisem „Pool House” (Dom Bilardowy), w środku światło z kolorowych żarówek, dywan i plakaty z Liśćmi marihuany na ścianach. W zadymionym wnętrzu, na środku stoi profesjonalny stół bilardowy i lokalni sprawiający wrażenie umiejących grać w bilard. Ze starego radiomagnetofonu słuchali amerykańskiego czarnego hip hopu. W pomieszczeniu obok mającym robić za bar, centralne miejsce zajmuje piec opalany drewnem, a półki nad nim zajmują butelki z piwem, jednak drogim. W kącie na półce pod sufitem wisi telewizor tak stary jak nigdzie w Polsce nie spotykanym i wyświetlający na bardzo małym kineskopie filmy karate rodem z lat siedemdziesiątych, chyba jeszcze z Bruceem Lee. Dookoła mocno ściśnięte dzieci w różnym wieku z wielkim zainteresowaniem wpatrywały się w telewizor. Całość wyglądała jeszcze bardziej zabytkowo, niż niejeden polski skansen. Pytamy żartem czy mają haszysz podobno bardzo popularny w Nepalu. Zaczepiony lokalny chłopiec, już chyba upalony odpowiada z szerokim uśmiechem „Sorry, only grass” (Sorry, tylko trawa) i proponuje nam garść za niewiele, więcej niż 300rs (15zł). Dziękujemy, źródło pochodzenia i dodatki mogą być bardzo niepewne.

Niemniej wieczór spędzamy w bardzo pogodnej atmosferze śmiejąc się do późnej nocy aż pod drzwi przychodzi jedna z uczestniczek tej angielskiej

rozwrzeszczanej ekipy próbując nas uciszać. Mówi, że nie mogą spać, przez chwilę chciałem jej odpowiedzieć, żeby się nie martwiła, bo my też, ale się we właściwym momencie ugryzłem w język.

### **2009.04.10 – Dzień 20 (piątek) – Lukla, 2840m n.p.m.**

Rano pożegnawszy się najpierw z czarnulką (zimne to było pożegnanie, chłopaki uważają, że nas zdradziła), ruszamy dalej w drogę, pogoda na szczęście dopisuje i zapowiada się dobrze, choć jesteśmy tu już tyle, że naprawdę nie wiadomo, kiedy zza pagórka wyskoczą jakieś chmury i w chwili zrobi się deszczowo. Trasa bardzo przyjemna, jest ciepło, polar i kurtkę przypiąłem już do plecaka. To chyba pierwszy dzień gdy można zdjąć z głowy czapkę, którą na dobrą sprawę chyba od jakiegoś czasu nie ściągałem z głowy, nawet w niej śpiąc. Przed wyjściem przepinam jeszcze paski w plecaku nieco niżej, po dwóch tygodniach codziennego noszenia już zdążyły się trochę naciągnąć. Mamy na dobrą sprawę 2,5 godziny marszu niezbyt ostrego, ale pod górkę, na szczęście to ostatnie kilometry i z każdym metrem jesteśmy bliżej końca. Wieje lekki wiatr, szumią dookoła drzewa, dookoła gdzieś chaty tubylców i zza góry którą obchodzimy wychodzą promienie przedpołudniowego słońca. Teraz ta otaczająca przyroda cieszy nas inaczej niż na początku. Po dwóch tygodniach patrzenia na śnieg, gołe kamienie i przebywania na wysokości gdzie ostre warunki nie pozwalają rosnąć nawet trawie, taka kolorowa pachnąca natura pozwala na siebie popatrzeć w inny sposób. Nareszcie jesteśmy na normalnej wysokości z normalną pogodą i poziomem tlenu. Dość szybko docieramy do miejsca, w którym mieliśmy pierwszy postój idąc w góry, wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy czego się spodziewać po tych górach. Byliśmy jeszcze zieleni, teraz idziemy dumnie po przejściu całej tej trasy i śmiejemy się z turystów mijających nas w przeciwnym kierunku, czasem zupełnie nieprzygotowanych, w lekkich butach, czasem sandałach, idących najpewniej tylko do *Namche*.

Im bliżej *Lukli* tym głośniejszy huk samolotów tutaj lądujących, na ostatnim odcinku widać już jak podchodzą do lądowania i startują, trzeba im jednak przyznać, na tym lotnisku i w tych warunkach efektownie to wygląda. Jest już około godziny 11, a one ciągle latają, decydujemy zapytać się zaraz po przyjeździe do miasta o możliwość lotu jeszcze dziś. Zatrzymujemy się, więc przed Lodge blisko lotniska, zostawiamy plecaki i idę na lotnisko zapytać o godziny lotów, niestety biuro naszego przewoźnika już zamknięte, a pan z sąsiedniego mówi, że będzie o 18. Wracam się, więc szybkim krokiem na główną ulicę *Lukli* gdzie widzieliśmy biuro *SitaAir*, to jednak czynne dopiero od 15, więc dziś już nie polecimy. Rozkładamy plecaki w *Himalajan Lodge* i

zasiadamy na stolikach przed budynkiem podziwiając widoki. Podchodzi do nas właściciel lodge któremu oddałem nasze bilety z prośbą o rezerwację lotu na jutro. Po krótkiej rozmowie dowiedziawszy się, że jesteśmy z Polski i wypytawszy o naszą trasę, oznajmia, że 3 lata temu mieszkała tutaj Polka, która zdobyła Everest. Imienia zapomniał, ale mówi, że była chyba aktorką albo występowała w telewizji. Pytam czy Martyna ...potwierdza. Potem na drzwiach, zwykle gęsto zdobionych nalepkami z wypraw znalazłem przyklejoną dużą nalepkę „Falvit Everest Expedition 2006”, że akurat mieliśmy pecha tutaj trafić. Dopiero po powrocie do Polski udało mi się dostać film „przesunąć horyzont” Dariusza Załuskiego, który nie jest niczym innym jak wideo-relacją z wyprawy Martyny. Faktycznie zaraz po przylocie do *Lukli* w pierwszej lodge żegna ich ten sam gość, który nam potwierdzał bilety. Film poza kadrami z Martyną ogląda się z uśmiechem na ustach, dlatego, że pokazuje bardzo znajome tereny. Montowanie naszej wideo-relacji pewnie trochę potrwa, Rafał przez cały czas dźwigał małą kamerę i od czasu do czasu filmował fragmenty naszej przeprawy.

Wychodzimy pozwiedzać *Luklę*, mamy ochotę na kawę w dobrej restauracji, przypominam sobie, że mijaliśmy na głównej uliczce w *Lukli Starbucks Cafe*, razem z *Dunkin' Donuts* jest to sieć którą w Stanach jest klasą samą w sobie i ma swoją sieć na całym świecie. Obydwie firmy prym wiodą w pączkach (uwaga, kto był ten wie, że niewiele wspólnego ma to z polskim pączkiem) i kawie czyli to co każdy przeciętny Amerykanin zwykł jeść na śniadanie. O ile Mc Donald's i KFC jeszcze do Nepalu nie dotarły tak kawa po amerykańsku już jest. Wnętrze bardzo przyjemne i urządzone w niespotykanej tutaj klasie, czysto, równe ściany, jednakowe stoliki i krzesła. Poza opalonymi twarzami za ladą, które po angielsku mówią tylko pięć słów, można się poczuć naprawdę jak w kafejce w Nowym Yorku. Przeglądamy menu i wychodzimy, owszem styl mają amerykański, ale ceny też i to płatne w dolarach. Dobra kawa kosztuje 5\$. Wchodzimy do kafejki po przeciwnej stronie ulicy gdzie ceny mają już w rupiach przy zbliżonym standardzie. Spędzamy więc popołudnie przy kawie i ciastku. Oczywiście potem po przeliczeniu cen z tej kafejki na dolary wyszedł prawie *Starbucks* i tak na koniec dostajemy rachunek na 1000rs (50zł). Zaszaleliśmy nie ma co, jak prawdziwi turyści z zachodu.





Siedzimy i nic się nam już nie chce, jesteśmy w stanie tego błędnego uczucia, gdy wszystko ma się za sobą, wszystko poszło zgodnie z planem. Jesteśmy z siebie dumni, Rafał chyba najbardziej, po pierwszym podejściu do *Namche* mówi, że naprawdę źle widział całą dalszą wyprawę, jednak kije okazały się chyba nam wszystkim, nad wyraz pomocne. Ja na kolana nie narzekałem nigdy wcześniej, ale też mi się trochę odezwały po przejściu całej tej trasy z 20kg plecakiem. Wysokość nas nie pokonała, ale za to zwykłe przeziębienie powaliło na nogi. Teraz przypominam sobie trekkera, którego widziałem raz w górach w okolicach EBC, całą twarz miał osłoniętą profesjonalną górską kominiarką ze specjalnym ustnikiem, wycięciami na nos i oczy. Wtedy się dziwnie patrzyłem, ale jeśli tutaj przyjadę drugi raz to znajdzie się ona w obowiązkowym wyposażeniu. Nie dość, że chroni twarz przed spalaniem, to jeszcze zapobiega wdychaniu bardzo zimnego powietrza i chroni przed całym tym pyłem, którego wdychanie sprzyja chorobom. Wiedzą to też tragarze i poganiacze jaków, dlatego zasłaniają nos i usta chustką, my też to wiedzieliśmy, ale dopiero teraz zdajemy sobie tak faktycznie sprawę z tego, jak ważna jest ta ochrona.

Wieczorem robimy ostatnie przepakowanie bagażu, chowam niepotrzebne rzeczy i przygotowujemy się do zmiany klimatu. Jutro skończą się mgła, śnieg i deszcze, zastąpi je ostre słońce. Wyprawa poszła nam nadzwyczaj zgodnie z planem przez co będziemy mieli 4 dni wolnego czasu w Kathmandu na odpoczynek i zwiedzanie. Podliczam pieniądze, zostało mi jeszcze 100 awaryjnych euro i prawie 6000 nepalskich rupii (300zł), chłopaki podobnie, czyli nie musimy bardzo oszczędzać.

## Rozdział trzeci – Kathmandu po raz drugi

### 2009.04.11 – Dzień 21 (sobota) – Kathmandu

Bilet dostajemy z powrotem na samym lotnisku, tak jak obiecał właściciel lodge. Odprowadził nas i całą pozostałą grupkę do wylotu na lotnisko i tak jak było napisane, cała obsługa z tym związana była za darmo. Kontrola bezpieczeństwa jest, ale dlaczego nie ma takiej na każdym lotnisku? Oficer pyta najpierw czy masz przy sobie zapalniczkę, zapałki, ostre przedmioty czy cokolwiek z rzeczy na wskazanym obrazku. Na wszystkie pytania odpowiadam Nie (na wszystkie oczywiście kłamie, bo mam i zapałki i zapalniczkę i nóż), po czym przepuszcza Cię dalej, a na bagażu bez żadnych prześwietleń nakleja „*Security Cheked*” (bezpieczeństwo sprawdzone). Jak na porządne lotnisko przystało, była także kontrola osobista, prowadziła ją młoda i ładna dziewczyna w mundurze, wyłapując z tłumu turystów, którzy się jej nie podobali (albo podobali) i prosiła za parawan. Niestety mimo szczerych chęci i deklaracji, że jesteśmy niebezpieczni, żaden z nas się nie załapał.

Chwilę czekamy na właściwy samolot, obserwując lądowania po czym naganiacz woła, że teraz czerwone bilety czyli nasz kolor, każda linia dostała inny. Jeszcze ostatnie zdjęcie i zajmujemy miejsce w środku. Po mojej przeciwnej stronie siedzi jakiś Amerykanin. Wyraźnie zdenerwowany, tuż przed startem przeżegnał się, wyciągnął i ucałował zdjęcie jakiejś kobiety (chyba żony), po czym ściągnął mocniej pas i zamknął oczy. Patrzyłem tak w ciszy jeszcze przez chwilę sam zaskoczony takim zachowaniem, pierwszy raz spotkałem osobę która by była tak zdenerwowana lotem, scena jak z filmu katastroficznego. Najpewniej jest to jedna z tych osób, które potem będzie opowiadała znajomym jak to dramatyczny i niebezpieczny jest ten lot z *Lukli* i inne historie, które można wyczytać w Internecie.

Przez środek samolotu przeszła stewardesa (tak samo uroczą jak pani z kontroli), rozdając cukierki i zatyczki do uszu jeśli ktoś potrzebuje. Nie potrzebowałem ale jej spojrzeniu nie mogłem się oprzeć. Samolot wjechał na pas startowy, przed samą skalną ścianą zatoczył koło, zaciągnął hamulec ręczy (lub jego lotniczy ekwiwalent) i targany szarpnięciami do przodu, zwiększył ciąg silników na maksimum, co skutkuje niesamowicie energetyzującym, głośnym rykiem i szumem śmigieł. Dopiero wtedy pilot zwalnia hamulce i pełnym ciągiem, rozpędza się z górki aż do końca krótkiego pasa. Przyspieszenie i nagłe szarpnięcie wbija nas w fotele i mniej, więcej 10 metrów przed końcem pasa, pilot szybkim manewrem podrywa samolot i jesteśmy już w powietrzu. Start na nachylonym pasie jest znacznie ciekawszy niż lądowanie tutaj.



Podczas lotu nisko nad ziemią można jeszcze pooglądać w dali szczyty Himalajów, trochę mi smutno, że już się skończyło i nie prędko je znowu zobaczę. Mam nadzieję, jednak tutaj wrócić, ale już z pozwoleniem na wspinaczkę za parę lat. Krajobraz stopniowo się zmienia z urwistego w górzysty, potem w pagórkowaty w końcu w całkiem płaski, jesteśmy w dolinie Kathmandu, po czterdziestu minutach lotu z daleka widać już stolicę Nepalu i gęste zakurzone powietrze nad nim.

Modlitwy Amerykanina zostały wysłuchane i bez żadnych incydentów, około dziewiętej rano, odbieramy plecaki z krajowego lotniska. Jest bardzo gorąco, słonecznie, wręcz duszno, poziom tlenu w normie, humory dobre i żadne plany na dziś poza zakwaterowaniem się gdzieś w centrum i znalezieniem zimnego piwa. Mijamy szybkim krokiem miejscowych naganiaczy, tzw. *pre-paid* taxi itd. wychodząc prosto na parking, dopiero tutaj werbujemy taksówkarza. Po krótkiej rozmowie o cenach, zgadza się nas zawieźć do takiego za nie więcej niż 3\$ za dobę i do tego na *Thamelu* upewniam się najpierw czy to przypadkiem nie jest *Encounter*. Początkowo twierdził, że to niemożliwe przenocować w mieście za 3\$ od osoby, ale jak mu powiedziałem, że jesteśmy tutaj drugi raz (wprawdzie drugi, ale tylko w stolicy), niech sobie nie myśli, że amatorów na coś nabierze, to zmienił zdanie. Jak zresztą chyba w większości miejsc turystycznych, taksówkarze są jednocześnie przedstawicielami hoteli. Chwila jazdy w nepali stylu do hotelu już zupełnie mnie nie przeraża i nawet



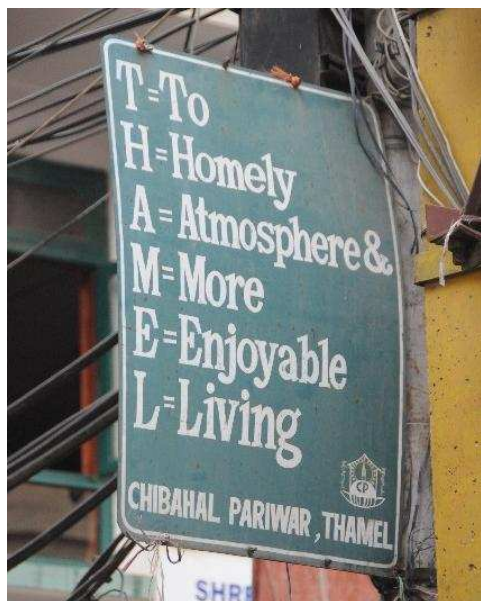
nasz poprzedni kierowca jeździł lepiej (szybciej = bardziej niebezpiecznie). Mniej, więcej orientujemy się już w kierunkach po mieście. Kierowca tak jak obiecał dowozi nas do hotelu w samym środku *Thamelu*, ale tym razem jest to faktycznie sam środek. Hotel jest sprytnie ukryty pomiędzy budynkami i nie

ma bezpośredniego widoku na ulicę. Nazywa się *Silver Home Hotel* i z czystym sumieniem mogę go polecić. W recepcji jest darmowy Internet dla lokatorów (w godzinach obecności prądu), kuchnię mają nie najgorszą, choć jak wszędzie doliczają swoje podatki, *service charge* itd. Dla tego tylko raz z niej korzystaliśmy. Do tego cały czas jest ciepła woda, pokoje nawet przyzwoite, pomimo wielkich wypasionych karaluchów, dobra obsługa i spało mi się tam bardzo przyjemnie. W zasadzie tutaj pierwszy raz w życiu, na żywo, widziałem tak spasione karaluchy. Dochodzą do 7cm długości i są podobne do tych, jakie Ryszard Kapuściński opisuje w wojnie futbolowej, tylko tamte afrykańskie były niczym niewzruszone, te tutaj są bardziej płochliwe. Na widok turysty, uciekają w zawrotnym tempie do najbliższego zakamarka i niejednokrotnie w ciemnym korytarzu, jakiś cień przecinał mi dywan. Natomiast pod butami, chrupią tak samo jak te deptane w znanej grze komputerowej Half-Life.

Rozkładamy bagaże w całkiem przyjemnym, trzy osobowym pokoju na trzecim piętrze, po czym prawie od razu wychodzimy na miasto, w poszukiwaniu czegoś na obiad. Nie szukamy długo, trafiamy do bardzo przyjemnej, lokalnej knajpki z ich smażonym, a przede wszystkim tanim jedzeniem.

Idziemy w stronę *Durbar Sqare* ale nie zamierzamy kupować biletu. Podczas ostatniej wizyty, za pierwszym razem zauważyliśmy tylko 3, może 4 punkty kontrolne gdzie sprawdzają i sprzedają bilety, licząc po 300rs (15zł), za całodzienną przepustkę. Dochodzimy, więc do jednego z nich i skręcamy w boczną małą uliczkę, ta prowadziła na jakieś podwórko, gdzie bawiły się dzieci i okazała się ślepa. Następna podobnie, ale w końcu za trzecim wejściem, w kolejne wąskie przejście między budynkami, wychodzimy na *Durbar* ...bez biletu. Zasiadamy na jednej ze starych świątyń i oglądamy miasto z góry. Ludzi, ich zwyczaje, życie się tutaj toczące i dziewczyny. Te są po prostu wspaniałe, każda, jak jedna z idealną talią, sylwetką, wzrostem do tego uroda azjatycka daje im +5 w mojej ocenie. Wszystkie Polski zostają w tyle, co chwila na ulicy przechodzi się obok tak uroczej dziewczyny, że aż na chwilę trzeba przystanąć i wtedy można żałować, że nie zna się języka Nepali.

W drodze powrotnej do hotelu, znajdujemy też kilka pożytecznych sklepów z cenami z góry ustalonymi i wypisanymi na półkach. Mimo wysokiej ceny zaopatrujemy się w piwo na wieczór, dawno go nie piliśmy. Na dodatek mają działającą lodówkę, przez co szybko znikło po naszym przyjeździe do hotelu. Akurat staliśmy na progu jednego z kiosków gdy słyszę za sobą „cześć”. Odwracam się i nie wierze... znowu spotykamy Darka, mówi, że wczoraj wrócił z gór, ma krótką przerwę i leci dalej, spotkać się z ekipą i zdobywać Everest. Tym razem wymieniliśmy się mailami na przyszłość.



THAMEL, dzielnica w której mieszkamy to skrót, który można przetłumaczyć mniej, więcej tak: „Za Domową Atmosferę & Jeszcze Bardziej Wspaniałe Życie”. Przyznam, że jak wcześniej szukaliśmy tego Thamelu, ze sklepami trekkingowymi i biurami podróży, tak dopiero teraz go znaleźliśmy. Pośród ulic na której mieszkamy, co 3 sklep jest z rzeczami trekkingowymi, a co drugi z pozostałych to biuro podróży, oferujące przeloty do Lukli, przejażdżki na słońcach, skoki na bungie czy rafting. W sumie stać by mnie było jeszcze na spływ pontonem, ale przed nami jeszcze zakup pamiątek, 4 dni życia w Kathmandu

i jeszcze Indie a piwo nie jest tanie. Jakoś jest mi to zresztą obojętne, swój cel tutaj osiągnąłem. Nawet się nie interesujemy cenami. Raz nawet zaczepił nas jakiś przewodnik oferujący swoje usługi w górach, ale jak usłyszał jaką obeszliliśmy trasę, stwierdził „*So i don't make business with You?*” (więc nie zrobię z wami interesu), zdecydowanie nie mój przyjacielu, odparłem. Tego przyjaciela, to adoptowałem od nich. Zresztą jak wszędzie w krajach turystycznych, każdy tubylec po chwili rozmowy będzie Cię nazywał przyjacielem, a jeśli spotkasz go na drugi dzień to już będziesz *family* (rodziną). Nepalczycy nie są pod tym względem inni, tacy sami, tylko od Arabów dużo bardziej „wychowani”, bo mniej nachalni, nie wciskają Ci interesu na siłę, czekają aż sam zapytasz.

## 2009.04.12 – Dzień 22 (niedziela) – Kathmandu

Wstajemy rano i schodzimy do restauracji hotelowej, mamy przecież szczególny dzień – Wielkanoc. Żeby tradycji stało się zadość, trzeba zjeść wielkanocne śniadanie, zamawiamy, więc na śniadanie po dwa jajka, tosty i herbatę. Specjalnie po to żeby się stuknąć jajkiem. Marcin mówi, że mieli nawet spakować markery, żeby z nich zrobić pisanki, ale ostatecznie nie wyszło. Zastanawiam się czy tutaj też działa firma Jezus dostarczająca jajka.

Prądu nie ma, więc muszą je ugotować na gazie, w końcu po prawie 30 minutach czekania, przynoszą nam nasze niedosze pisanki ...obrane ze skorupki, chyba specjalnie pozbawili nas przyjemności stuknięcia i złożenia sobie życzeń.

Po świątecznym śniadaniu, dziś gwoździem programu są palone zwłoki. Ruszamy według mapy brudnymi ulicami na południe, w stronę lotniska i kompleksu

świętyń *Pashupatinath*, gdzie odbywają się ceremonie. Obawialiśmy się początkowo, że nie trafimy akurat na żadnego nieboszczyka, ale jak się dowiedzieliśmy ciężko jest nie trafić. Cały czas tam kogoś palą. Istotnie z daleka widać ciągłą smużkę dymu, w końcu Kathmandu to ponad milionowe miasto.

Trochę błądzimy, ale w końcu znajdujemy właściwą drogę, już z daleka widać pierwszy punkt gdzie sprzedają bilety wstępu. Oczywiście robimy myk w bok idąc cały czas w kierunku rzeki zwiedzając przy okazji stragany tubylców. Na jednym z nich zaczepia nas tubylec i informuje, że przed samą rzeką gdzie są stanowiska do palenia, też sprzedają bilety za 300rs (15zł) i on może nas wprowadzić, bokiem za 100rs (5zł), od osoby, zataczając jednocześnie ręką dość szeroki łuk. Dziękuję mu, sami sobie znajdziemy drogę. Kończy się tym, że po przeszukaniu wszystkich uliczek, w końcu trafiamy na bramkę wejściową i nie ma innej drogi nad brzeg rzeki, jak zapłacić wstęp albo wracać się całą drogą i kombinować z drugiej strony. Tak oto, sami sobie nie wierząc, płacimy legalny wstęp. Wchodzimy na brzeg, trzeba tutaj uważać na przewodników, jeśli nie chcemy się dać naciągnąć. Staje taki tubylec obok ciebie, patrząc w tą samą stronę i zaczyna opowiadać, wygląda to po prostu jak taki zwykły przechodzień ot gadatliwy, ale w momencie, gdy zaczyna udzielać dużo bardziej precyzyjnych informacji, dochodzi do mnie co ma za interes i ucinam rozmowę, że nie potrzebujemy przewodnika. Czasem w zależności od determinacji, trzeba mu to jeszcze powtórzyć ze trzy razy i tutaj zauważyłem ciekawe działanie słówka „*onest*” (ang: szczerze, szczerowość). Gdy tubylec jest natrętny, wystarczy za drugim razem powiedzieć: Szczerze dziękuję (*onest, no*) i się zazwyczaj z miejsca odczepia 😊



Po obejściu wszystkiego co interesujące w zasięgu wzroku, zasiadamy na brzegu po sąsiedniej stronie palenisk z dala od turystów, przewodników i naganiaczy z zamiarem obserwowania od początku takiego ceremoniału palenia zwłok. Oczywiście długo nie czekamy jak przed stanowiska przynoszą kilka takich przykrytych pakunków, kłócąc się w międzyczasie o najlepsze miejsce do palenia. Jak później podliczyłem, spędziliśmy tak jakieś pięć godzin, obserwując prawie cały proces od przyniesienia pakunku do niezłego ognia, mniej, więcej tyle to trwa. Wszystkich stanowisk do palenia naliczyłem 12, pięć z nich jest zadaszona na wypadek deszczu, średnio na 3 z nich, cały czas coś się pali, skończy się jedno, zaczyna następne itd. nieustanny napływ zmarłych.

Cały ceremoniał jest długi, skomplikowany i najpewniej każda rzecz ma tutaj jakieś znaczenie. Wygląda to mniej, więcej tak, że najpierw układa się stos zaczynając od świeżej trawy, potem układa się na przemian drewniane belki, sypie zboże i różne nasiona. Następnie na stos wędruje kilka prywatnych rzeczy zmarłego (które uprzednio umoczy się w świętej rzece), a dopiero na końcu przychodzi kolej na ciało, prawie nagie, przykryte tylko firanką. Samego nieboszczyka też nie kładzie się od razu, najpierw trzeba go trzy razy obnieść dookoła przygotowanego paleniska. Potem najpierw ułożyć kwiaty, związane ze sobą w całe sznury i w końcu ciało, polewając je przy tym obficie oliwą (łatwopalną). Całość przykrywa się mokrą słomą, żeby za szybko się nie spaliło i było, więcej dymu, widać to też ma jakieś znaczenie. Na końcu najstarszy potomek w rodzinie, podkłada ogień do ust zmarłego. Cała rodzina stoi jeszcze chwilę podziwiając dym, a potem odchodzą, jakoś nikt szczególnie nie płacze przy tym i zamiast czarnych garniturów mają na sobie najzwyczajniejsze codzienne spodnie. Na koniec ceremoniału zostaje tylko chłopiec, który cały czas krąży dookoła paleniska pilnując, żeby ogień równo spalał całe ciało. W miejscach gdzie jest go za mało, podkłada więcej, w miejscach gdzie jest go za dużo, kładzie mokrą słomę i tak trwa to około 3 godzin, po, których całość tego co zostanie, długim bambusowym kijem spycha do rzeki.

Nic się też nie marnuje. Długo się nie czeka jak dwóch panów, na tyle niepozornie wyglądających że zachodni turyści ich nie zauważają, wychodzą do tej rzeki z taczkami i zabierają niedopalone do końca belki do ponownego wykorzystania. Resztę dopadają już małpy, skutecznie swoimi małymi łapkami przeglądając wszystkie, niedopalone kawałki ubrań oraz to co pozostało. Tylko europejskie dzieci widząc małpkę w bajce, w zoo czy na obrazku są wzruszone i entuzjastycznie reagują. Te tutaj, wiedzą, że jest to wróg publiczny nr jeden. Widząc sceny takich kochanych małpek kąpiących się w tym szambie i grzebiących w tym co płynie i spada do świętej rzeki, odechciało mi się oglądać je z bliska. Przypomniałem sobie, że w Kathmandu na

początku dokarmiłem je jeszcze orzeszkami, teraz w podobnej sytuacji gdyby mała stanęła mi na drodze potraktowałbym ją czym innym z zamiarem zupełnie odwrotnym niż początkowo.

Wszyscy znajomi w Polsce oglądając zdjęcia z kremacji pytali czy śmierdziało... Nie, nie śmierdziało albo przynajmniej wyraźnie nie było czuć zapachu palonego mięsa, no może odrobinę jak ktoś ma dobry węch, ja do nich nie należę. Ot normalny gryzący dym z drewna, przemieszany z normalnym zapachem świętej rzeki. Wrażenia zapachowe nie różnią się bardzo, od ogniska płonącego nad otwartymi ściekami. W miejscach, w których nie czuć dymu, czuć świętą rzekę, a jak ta pachnie opisywałem będąc pierwszy raz w *Kathmandu*. Cały proces żegnania zmarłego jest w rzeczywistości ciekawszy i dłuższy, ale ostatnie zdjęcie robiłem w momencie gdy całej rodziny zmarłego już od dwóch godzin tutaj nie było, a my ciągle obserwowaliśmy powoli palący się stos. Blade twarze, nie mają też dostępu do świątyni gdzie ciało spoczywa tuż przed spaleniem i gdzie modli się rodzina.



Przeciętny Europejczyk, byłby pewnie zdegustowany oglądając to na żywo, ale jak dla mnie jest to lepszy sposób na pogrzeb, niż nasz europejski zwyczaj chowania do ziemi. Przede wszystkim zdecydowanie bardziej ekonomiczny. Nie trzeba się tyle napracować przy tym, planować całego pogrzebu, oszczędza to też kosztownego nagrobka, trumny itd. Według hinduizmu, podobnie jak w Islamie, zmarłych zostawia się w spokoju wierząc, że są dość zajęci po śmierci i nie trzeba się im naprzykrzać na cmentarzach.



Dochodzi godzina szesnasta, gdy już dość zmęczeni mocnym słońcem i ciągłym wężaniem dymu, decydujemy się wracać, idziemy inną drogą z drugiej strony rzeki i to jest zapewne ta którą sprzedawca chciał nam pokazać za 100rs, nie ma tutaj punktów opłat za bilety. Blisko centrum zahaczamy o wypożyczalnię filmów, mają tam jeszcze nawet stare duże taśmy VHS. Nie pożyczamy nic, ale korzystamy z budki telefonicznej obecnej w środku, żeby zadzwonić do Polski. Popularny i tani sposób na połączenie z innym krajem, dostępny w wielu punktach. Cena za połączenie waha się od kilku do kilkunastu rupii za minutę połączenia, w zależności od kraju, przy czym do Polski kosztuje od 6rs (30gr), za telefon stacjonarny i do 20rs(1zł), za sieć GSM. Połączenie jest przez Internet, chwilami są opóźnienia, ale da się rozmawiać.

Stolica Nepalu znajduje się w strefie czasowej GMT+5:45, przez co miałem problem z ustawieniem zegara w telefonie komórkowym, Nokia obsługuje strefy czasowe z różnicą co 30 minut. Czas Polski, jak wszyscy wiedzą to GMT+1, co oznacza, że mamy cztery godziny, trzydzieści pięć minut, różnicy w czasie. Gdy dzwoniliśmy do domu wieczorem lokalnego czasu, w Polsce było świeżo po obiedzie.

Na przedmieściach THAMELu odwiedzamy jeszcze znaleziony wczoraj supermarket z cenami z góry ustalonymi i wypisanymi na półkach. Kupujemy Gin – 340rs (najlepszy dostępny i najtańszy substytut wódki), paluszki, ciastka, margarynę(?) i inne rzeczy, które można zjeść lub wypić. Dziś będzie świąteczny wieczór. Poznałem nowy, pomorski sposób jedzenia paluszków, macza się go najpierw w margarynie, a potem zjada. W ten sposób zjedliśmy prawie całe duże opakowanie margaryny i dwie duże paki paluszków po 130rs jedna(7,5zł). Całość menu, domknęło parę piw, też kupionych w tym samym sklepie i ciepły, bo nie było go gdzie schłodzić Gin ze spritem, żeby już zupełnie nic nie pamiętać. Kieliszków też nie mieliśmy, więc zrobiliśmy jeden z rozciętej butelki po sprite, drugi też z jakiegoś plastiku, oraz miarkę z puszki po soku pomarańczowym, trzeba sobie jakoś radzić. Wszystko w bardzo romantycznej scenerii dopalających się świeczek i w świetle czołówek, bo prądu wieczorami nie ma.

### **2009.04.13 – Dzień 23 (poniedziałek) – Kathmandu**

W końcu się budzę, patrzę na telefon – jest jedenasta, o dziwo, nie mam kaca i rano nie obudził mnie alternator ustawiony pod oknem, zasilający sąsiedni hotel. W planie na dziś nie mamy nic ciekawego poza spaniem do południa, co się znakomicie udało. Na śniadanie po wczorajszej imprezie zostały jeszcze paluszki i margaryna, ale niewiele, zjadamy to co mamy po czym wychodzimy do miasta, bez celu, ale idąc w stronę *Durbaru*. Tym razem wchodzimy jeszcze inną, boczną i po drodze trafiamy do

fajnej tubylczej knajpki. Knajpkę stanowi tutaj przeważnie mieszkanie bez okien i z otwartymi drzwiami. Żeby wejść do środka trzeba się schylić (Nepalczyki są bardzo niski). W środku zazwyczaj jest ustawionych kilka ławek, lub cokolwiek do siedzenia i coś, na czym można postawić talerz. Na każdym stoliku zauważyliśmy też metalowy dzbanek wypełniony wodą, ale mimo częstego przesiadywania w tych kawiarenkach i obserwowania zwyczajów lokalnej ludności, nie udało mi się rozpoznać do czego służyły. Ktoś by powiedział, że do picia, ale były zbyt nieporęczne żeby się z nich napić, szklanek też nie rozdawali i w każdym lokalu przeważnie mieli napoje butelkowane.



Palenisko do smażenia tych pyszności jest gazowe, choć spotyka się też opalane czym popadnie. Na nim spoczywa misa z olejem i druga, też ogrzewana, ale już na sucho, gdzie czekają wypieczone ciasta. Wyrabiane są prawie zawsze tuż przed wypieczeniem, czyli można się przypatrzeć jak powstają. Turystów tutaj się nie uświadczy, pewnie głównie dlatego, że higiena w takich knajpkach nie jest na najwyższym poziomie. Mi jakoś to nie przeszkadza, skoro oni to jedzą, nic im nie jest i jest to bardzo popularne, to nam może też nie zaszkodzi. Przez cały kilka dni żywienia się ich jedzeniem, nie spotkaliśmy w podobnych jadłodajniach ani jednej bladej twarzy, za to w czystych restauracjach jest ich dość dużo. Dwukrotnie usłyszeliśmy też na ulicy Polaków, ale głównie z górnej granicy wiekowej, więc nie zaczynaliśmy rozmowy. Turystów jest trochę, więcej niż miesiąc temu, najwyraźniej zaczął się już sezon.

Bardzo mi posmakowała nepalska kuchnia lokalna, choć czytałem, że nie wszystkim służy. Tym razem, kupiłem coś jak naleśnik zwinięty w kulę, w środku z prawie całym ziemniakiem, nadziewanym dodatkowo rozgotowanymi nasionami różnych dziwnych roślin. Całość umaczana obficie w cieście drożdżowym i jak wszystko tutaj, smażone na głębokim oleju z dodatkiem ostrych przypraw. Po wysmażeniu ciasto i naleśnik stawały się chrupiące i twarde, a nadzienie jeszcze bardziej miękkie. Całość zakupionego na takim ulicznym straganie jedzenia, sprzedawca zawija brudnymi rękami w kawałki wczorajszej gazety i pakuje w czarny kawałek folii, niemal identycznej jak u nas pakuje się śmieci.

Najlepiej smakuje na gorąco, prosto z przesmażonego oleju, choć na zimno też jest nie najgorsze. Najlepsza jednak w tym ich lokalnym jedzeniu jest cena, jedna taka smażona kula kosztuje od 5, do 8 rupii (24 – 39gr), a normalny człowiek zjadłszy dwie, ma dość na dobrych parę godzin. W *Kathmandu*, jedząc oczywiście ich lokalne jedzenie, a nie stołując się w restauracjach, można przeżyć dzień za śmieszne pieniądze. Tak prawdę mówiąc, to moje jedzenie przez ostatnie 4 dni składało się wyłącznie z ich smażonek, wszechobecnej koli i tego co zakupiliśmy na ulicy żeby uzupełnić dietę o jakieś owoce. Najczęściej wybór padał na banany, Cejrowski, w którymś swoim programie opowiadał, że w każdym zakątku świata smakują inaczej, przyznam mu rację. Te tutaj nadają się do zjedzenia tylko, kiedy są mocno przejrzałe, miejscami czarne i już prawie nadpsute. Mając jeszcze kolor żółty, czyli zwykłego banana dostępnego w Polsce, są zdecydowanie za mało słodkie a nawet gorzkie. Cenę mają bardzo niską, może parę rupii za sztukę. Kupić je można w sklepikach przy drodze, lub prosto z roweru od tubylca, który często na wadze zamiast kilogramowego odważnika którego nie posiada, kładzie swoją rękę twierdząc, że wyważy w ten sposób kilogram.

Zaraz przed *Durbarem*, od strony *New Road* idzie się przez szeroki plac, na którym jest mnóstwo stanowisk z drobnymi pamiątkami. Jest to taki dywan na ulicy, na nim przeróżne rzeczy i sprzedawca kręcący się gdzieś w pobliżu. Szczerze powiedziawszy, to tutaj jest największe kręactwo cenowe w całym *Kathmandu*. Przeważnie w sklepach, cenę można negocjować, ale tutaj dyktują najwyższą i końcowa stawka to zazwyczaj połowa początkowej przy dobrym targowaniu. Zatrzymujemy się przy jednym dywanie na zakupy, po 5 minutach sprzedawca organizuje nam nawet krzesła. Siedzimy, więc we trzech, Marcin zresztą najbogatszy z nas, z poważnym zamiarem kupowania dużej ilości pamiątek. Pomagam mu tłumacząc sprzedawcę. Ja osobiście zakupuję tylko kilka drobiazgów, to czego mi jeszcze brakuje.

Wieczorem w hotelu o dziwo jest prąd i można skorzystać z Internetu, może za szybki nie jest, ale wystarcza na odebranie poczty i przeczytania nowości ze świata, szczególnie z Polski. Dwa tygodnie, byliśmy całkowicie odcięci od jakiejkolwiek komunikacji ze światem. Gdy jest już zupełnie ciemno, najpierw wypijamy piwo w hotelu, potem wychodzimy na drugie do knajpy na mieście, może i drogie, ale powód jest ważny. Dziś jest odpowiednik naszego sylwestra w Nepalu, nowy rok 2066.



Na chwilę zasiadamy na krawężniku na ulicy obserwując tubylców. Przez ten czas dosiadają się coraz to inne lokalne grupki na rozmowę. Wielokrotnie siedząc czy stojąc po prostu podchodzi ktoś do Ciebie, przeważnie młoda osoba ćwicząca angielski i zaczyna rozmowę, nic od Ciebie nie chcąc. Ot skąd jesteś, co tu robisz itd. Co chwila zaczepiają nas też handlarze, podchodzi jakiś młody z zapytaniem typu: *hasish? grass? smoke? sex?* (haszysz?, trawa?, palenie?, sex?), Bardzo często miętoląc przy tym w rękę małą brązową kielbaskę haszysz. Daje ją do wąchania i mówi, że ma towar pierwszej jakości (jak każdy). Żeby kupić tego typu rozrywkę nie trzeba się nawet rozglądać, w zasadzie nic nie trzeba robić. Sami podchodzą i bezceremonialnie ofiarują towar. Czy dobrej jakości nie sprawdziliśmy, głównie dlatego, że ceny mieli strasznie wysokie. Za gram marihuany niesprawdzonej jakości chcieli 700rs (35zł), to cena nawet wyższa niż w Polsce. Podczas gdy w górach garść można już kupić od 300rs (15zł). Nie znaleźmy Nepalu od tej strony, początkowo trafiliśmy na trochę mniej rozrywkowy THAMEL niż teraz. Użytki może tutaj sprzedawać każdy, jedni się bardziej czają, inni bezpośrednio proponują, ale nawet zwykły sprzedawca w kiosku po chwili rozmowy czasem pyta czy nie szukamy czegoś do palenia, a o papierosy mu nie

chodzi. Bardzo często można też w sklepikach spotkać szeroką gamę akcesoriów do palenia od zwykłych rurek po najwymyślniejsze wodne „bongo”.

Lokali na THAMELu jest bardzo dużo, wieczorami zagłuszają się wzajemnie muzyką przez co jest na ulicy bardzo głośno ale urokliwie. Co ciekawe, każdy szanujący się tutaj lokal (czyli większość z nich, jeśli nie wszystkie), ma własną orkiestrę grającą na całkiem niezłym poziomie i do tego całkiem niezły pop. Wprawdzie moje ulubione „*Unforgiven II*” Metalliki trochę sfalszowali, ale reszta piosenek nawet im wyszła. Nie wiem tylko gdzie bawią się tutejsze dziewczyny, wszędzie jest znakomita przewaga facetów i może tylko parę dziewczyn, ale zawsze w towarzystwie. Czasami nawet sami faceci, a tego wieczoru obeszlśmy jeszcze 4 inne lokale, do każdego na chwilę zaglądając. Mimo wszystko do hotelu wracamy przed północą, Marcin szybko położył się spać, ja spotykam Rafała na dachu, przyszedł z podobnym pomysłem jak ja, popatrzeć na obchody nowego roku. Szczerze powiedziawszy, większość knajp nawet nie przestała grać. W niektórych tylko było słychać odliczanie, a na niebie pokazało się kilka fajerwerków, ale nie, więcej niż w przeciętnej polskiej wiosce po odpuście. Tak Nepalczycy przywitali nowy 2066 rok.

### **2009.04.14 – Dzień 24 (wtorek) – Kathmandu**

Po zobaczeniu już wszystkiego co mieliśmy w planie, początkowo ani mi, ani Marcinowi nie chciało się iść do *Patanu*, żeby zobaczyć tamtejszy *Durbar Square*. Tak jakoś jednak wyszło, że rano po śniadaniu na *Durbar Square* w Kathmandu (to chyba już czwarty raz jak nie kupiliśmy biletu wstępu), mimo woli zahaczyliśmy o pocztę, a z stamtąd jak stwierdził Rafał, już blisko do *Patanu*, więc poszliśmy. Mapa i kompas zostały w hotelu, bo jakoś nie mieliśmy zamiaru tam wędrować, a na *Durbar* w *Kathmandu* każdy z nas już trafiał, znając co najmniej pięć dróg, którymi można wejść bez biletu. Dobrą chwilę błądziliśmy, parę razy pytając o drogę, ale w końcu znaleźliśmy stare centrum miasta. Oczywiście byliśmy już na tyle doświadczonymi podróżnikami – kanciarzami, że tam też weszliśmy bez biletu, nawet o tym nie wiedząc. Dopiero przy wyjściu gdy dochodziliśmy do jakiejś bramki, dopadł nas jakiś tubylec z plakietką, strasznie gestykulując i kilkakrotnie powtarzając, że nie mamy biletu i musimy go kupić, albo natychmiast wyjść. Nawet go spytałem którędy do wyjścia, właśnie skończyliśmy zwiedzanie. *Durbar* w *Patanie* jest mniejszy niż ten w Kathmandu, ale też ma swój urok.



W zasadzie to dziś zaczęliśmy dzień od *Durbaru*, potem też był *Durbar*, ale w Patanie i teraz znowu wróciliśmy na *Durbar*, ale już po raz ostatni. To nasz ostatni dzień i okazja do odwiedzenia tego miejsca. Bardzo polubiłem *Kathmandu* przez te kilka dni. Mimo brudu, zapachu, żeby nie napisać smrodu, śmieci na ulicy i tego całego hałasu, miasto jest bardzo egzotyczne i magiczne na swój sposób. Ktoś kto był na wakacjach gdzieś w Europie, czy nawet gdzieś w Północnej Afryce, może powiedzieć, że jest tam inna kultura. Tutaj jednak mamy zupełnie inną kulturę, odmienną architekturę, sztukę, ludzi, religie i zwyczaje. Justyna, z którą mam kontakt do dziś, mieszkała ze swoją ekipą w *Kathmandu* jeszcze przez prawie

dwa tygodnie, gdyż bardzo szybko wrócili z gór. Pisała, że zdążyli znienawidzić to miasto przez ten czas i jest pewna, że każdy by tak zrobił, jednak ja tego pewien nie jestem. Od Polaków spotkanych w *Dole* słyszeliśmy opowieść o emerycie z Polski, który zostawił wszystko, wyjechał do Indii i z wynajmu mieszkania w Polsce, oraz z emerytury przelewanej na konto, żyje tam całkiem nieźle jako tubylec. Jeśli ja miałbym wybrać jakieś miasto na emeryturę to jak na razie, było by to *Kathmandu*.

Siedzimy na górze jakiejś świątyni na *Durbarze* i oglądamy miasto z góry, śmiejemy się z turystów, którzy wchodząc, zamiast uciec w bok, idą wprost na okienko kontrolne i płacą 300rs za wstęp tutaj. W pewnym momencie grupka białych turystów tak zajęła strażnika sprzedającego bilety przy budce, że pewien Anglik w czapce z daszkiem i śmiesznie zapiętym plecakiem z przodu, wszedł bez biletu. Przystanął na chwilę, patrzył, wahał się czy podejść do budki z napisem „*tickets*” (bilety), po czym poszedł dalej. Tylko Marcin skomentował „taki to ma, więcej szczęścia niż rozumu”.

Na obiad zjadamy to co zwykle czyli smażonki z pobliskiej ulicznej knajpki siedząc na jakimś zabytkowym pomniku. Dosiada się do nas Shawn, pyta jak było w górach, chwilę się zastanawiam, skąd ja go kojarzę i skąd wie, że byliśmy w górach, po czym przypominam sobie, że poznaliśmy się za pierwszym razem w *Kathmandu*. Chłop miał dobrą pamięć, że nas rozpoznał. Oferował nam swoje towarzystwo jeszcze przed wyjazdem. Mówi, że jest przewodnikiem górskim i miał okazję kilka razy prowadzić polskie grupy, które bardzo miło wspomina. Jest bardzo wylewny, w ciągu 15 minut rozmowy poznaję całą historię jego życia. Mówi, że nas lubi, bo nie stołujemy się w drogich restauracjach, tylko jemy na ulicy. Szczerze to może nie cena restauracji nas ogranicza, ale po porażce z chlebkiem tybetańskim za pierwszym razem, wolę jedzenie, które widzę, zanim je kupię, a przy tym jest bardzo dobre.

Tubylcy w ogóle są bardzo mili i przyjaźni, raz nawet dostałem oklaski od grupki Nepalczyków. Bardzo zaciękały mnie ich zwyczaje religijne a że hinduizm i buddyzm mnie bardzo fascynują, zacząłem postępować tak samo jak oni. Przechodziłem akurat przez most nad świętą rzeką z *Kathmandu* do *Patanu*, gdzie stała święta krowa. Dotknąłem najpierw jej, potem czoła i w tym momencie zauważyłem idącą z naprzeciwka grupkę Nepalczyków. Ci najpierw na krowę, potem na mnie (wyraźnie zdziwieni) i ...brawo. Jeden nawet mnie poklepał po ramieniu, jak ich mijałem ze słowem *namaste*. O tyle było to dla nich dziwne, że wszyscy biali turyści omijali krowy z daleka, bo są brudne. Hindusi uważają dotknięcie czy karmienie krowy za wielki zaszczyt i zaraz po dotknięciu krowy dotykają własnego czoła w akcie hołdu. Krowa w ich religii jest najstarszym ze wszystkich zwierząt i

zgodnie z wierzeniem właśnie w niej, znajduje się personifikacja wszystkich 300 milionów bóstw z hinduskiego panteonu. Krowa jest święta i nietykalna. Ruch uliczny w Nepalu jest jaki jest, jednak gdy na ulicę akurat wejdzie krowa, wszystko posłusznie staje, dopóki ta się nie usunie. Mało tego, nawet krowie placki i to co nasika też jest święte i nietykalne. Wyrzucić tego nie można, co najwyżej wrzucić do świętej rzeki lub spożytkować inaczej. Niestety nigdzie nie udało mi się zauważyć dostępności ich świętego pokarmu, który w wierzeniu ma moc oczyszczania duszy, a sporządzany jest z tego co krowa daje czyli mieszaniny mleka, białego sera, masła oraz łajna i moczu krowiego. Smak musiałby być niezapomniany. Co bardziej wierzący piją również krowi mocz, który też ma moc oczyszczającą.

Wracamy do hotelu, dziś Nepalczycy świętują Nowy Rok, przez co korzyść z tego taka, że przez cały czas jest prąd. Korzystając z tego przywileju, cały wieczór spędzam w holu hotelowym przed komputerem, przepatruję ciekawe do odwiedzenia miejsca w Delhi. Jutro z żalem opuszczamy Nepal po trzech tygodniach od rozpoczęcia podróży.



## Rozdział czwarty – Indie, kraj kontrastów

### 2009.04.15 – Dzień 25 (środa) – Do Delhi

Rano podliczam pieniądze, zostało mi 145rs, poza stową odłożoną na taksii. Idę na miasto zjeść śniadanie i kupić butelkę pepsi. Nie spiesząc się specjalnie, wracam po prawie dwóch godzinach, niosąc jeszcze zapas ich lokalnego jedzenia na obiad.

Dziś rano zaszalałem i kupiłem wszystkie pozostałe typy smażonek, których jeszcze nie jadłem z ich lokalnej kuchni, w tym celu zaliczyłem trzy różne stragany. Całość kosztowała mnie prawie 75rs (3,7zł), co jest kwotą dużą, jak na ich żywnościowe realia. Człowiek kupując jedzenie tego typu, nie jest do końca pewien czy to będzie na słodko, czy na ostro. Wygląd tego nie zdradza, w obu przypadkach całość jest najczęściej obłana różnym rodzajem ciasta, a sprzedawcy uliczni po angielsku umieją jedynie cyfry, a i to czasem z wielkim trudem. Z drugiej strony szkoda, że w Polsce są takie ostre przepisy dotyczące kuchni, można by np. dobre tradycyjne pierogi sprzedawać na ulicy na sztuki. Gdyby w Nepalu istniała instytucja sanepidu, wszystkie te uliczne punkty smażenia jak jeden, zostały pozamykane za brak podstawowej higieny.

Pod moją nieobecność Marcin też gdzieś był, a Rafał wyszedł jeszcze przede mną na poszukiwania ketchupu „Druk”, który tak nam przepysznie smakował w *Phakding*, że wyjadaliśmy go łyżeczką. Wylot mamy o godzinie 14:40, więc spokojnie, nie spiesząc się o dwunastej wychodzimy z hotelu. Rachunek w hotelu wyniósł dokładnie tyle ile miał wynieść bez ukrytych podatków, czyli wyszło po 1200rs (60zł), na głowę za 4 dni pobytu i znowu na piwo wydaliśmy i tak, więcej. Chwilę szukamy taksówki, ostatnia ekscytująca jazda i jesteśmy na lotnisku. Nadruk na moim bilecie pokazał wagę bagażu – 19,5kg czyli jeszcze pół kilo i byłbym w limicie na krótkie loty. Dopiero w większych samolotach i na dłuższe dystanse ten limit zwiększa się do 30kg.

Oczywiście pobyt na lotnisku, to też dobra okazja, żeby turystów na czymś skroić. Gdzieniedzie, wyczytałem informację o podatku, który trzeba zapłacić, ale pomimo szczerych chęci, nie udało mi się nigdzie znaleźć informacji ile to kosztuje. Opłaty są dwie, pierwsza to „*Passenger Service Charge*” w wysokości 791rs (39,35zł), czyli opłata, chyba za przebywanie na lotnisku i za to, że jesteś pasażerem. Druga to „*Tourism Service Fee*”: 565rs (28,11zł), co już jest zupełną abstrakcją, bo płaci się w wolnym tłumaczeniu za bycie turystą. Dawniej tych opłat nie było, gdzieś wyczytałem, że po rewolucji w zeszłym roku, odkąd maoiści zeszli ze szlaków i nie pobierają myta od turystów, teraz działają legalnie i stąd te opłaty. Nieważne czy idziesz w góry, czy nie i tak zapłacisz i nie będziesz się targował.

Lot minął szybko i w niecałe dwie godziny byliśmy już na tym samym lotnisku co trzy tygodnie temu nazwanym na cześć byłej pani premier Indii – Indira Gandhi. Mój bagaż wyjechał jako jeden z pierwszych, chwilę wolnego czasu wykorzystuję na zmianę pieniędzy. Za zmianę 45 ostatnich euro jakie mi zostały dostaję prawie 3500 rupii indyjskich, najładniejszy banknot 100irs od razu odłożyłem na pamiątkę. W reszcie muszę się zmieścić, choćby trzeba było spać na ulicy. Na każdym nominale bez względu na wartość, jest ta sama osoba *Mohandas Karamchand Gandhi*. Wielki myśliciel i bohater narodowej walki o pokój, szczerze gdy później czytałem życiorys, jego postać i poglądy mnie bardzo zainteresowały.



Już przy wyjściu z lotniska złapał nas taksówkarz, pytamy o hotel, ten najpierw gdzieś dzwoni, a po 10 minutach przyjeżdża po nas samochód z napisem „tourist”. Kierowca, bardzo sympatyczny oferuje trasę do taniego hotelu w centrum za 400irs (32zł), oczywiście się nie zgadzamy, ale na naszą niewiele niższą propozycję 300irs (24zł), przystał z uśmiechem. Wsiadamy i jedziemy tylko kilka minut, kierowca wywozi nas na obwodnicę wokół Delhi, nie dalej niż 3km poza lotnisko. Jeszcze przed wejściem do hotelu proszę, żeby pokazał nam gdzie jesteśmy i pytam, to ma być centrum? Tłumaczy się, że wszystko za tą drogą na którą jesteśmy to peryferia, a przed – centrum. Niech mu będzie, będziemy mieli jutro dalej do miasta, ale przynajmniej blisko na lotnisko.

Wchodzimy do hotelu, który od początku mi się nie podoba, szklany front, marmur na podłodze, dywany, klimatyzowane wnętrza, czysto, świeżo – kierowca chyba nie zrozumiał, czego szukamy. Cena – 1500irs (119zł), od osoby za noc w pokoju dwuosobowym. Pokoi pojedynczych nie mają, ale w specjalnej promocji oddadzą mi jedynekę za tą samą cenę. Do tego oczywiście podatek, znany nam już „service charge” itd. W momencie jak się odwracałem wychodząc wołają, że 1500 bez żadnych ekstra kosztów, ale to i tak za dużo. Taksówkarzowi tłumaczę, że nie zapłacimy mu dopóki nie weźmie nas do taniego hotelu, pyta się jak tani, mówię, że poniżej 500irs. Stwierdza, że to niemożliwe przenocować w Delhi za takie pieniądze, ale wiezie nas do tańszego, tą samą ruchliwą obwodnicą pod prąd i jedną uliczkę

dalej. Tutaj już jest lepiej, chcą 1100irs (87zł), , ale to też za dużo, taksówkarz do którego mam coraz mniej cierpliwości wiezie nas do kolejnego, 100m dalej. Chwilę coś ustalają z właścicielem i oferuje nam noc za 800irs (63zł), a po pięciu minutach rozmowy, specjalną cenę tylko dla nas: 600irs, bez żadnych opłat. Oczywiście było to trochę bardziej nerwowe, skończyło się tym, że dość głośno i wyraźnie uświadomiłem taksówkarza, najwyraźniej nie rozumie co znaczy tanie. Zapłaciłem mu obiecanie 300irs i poszliśmy, w tym samym momencie wydarł się na niego właściciel hotelu, że przywozi niedobrych turystów, którzy nie chcą płacić. Zastanawiam się czy Indiana Jones zwiedzając świat, też się użerał z tymi wszystkimi naciągaczami, których wszędzie pełno. Idąc dalej zachodzimy do kolejnego hotelu, też o zbliżonym standardzie, ale lepszej cenie, bo 500irs (40zł), czy w całych Indiach nie ma zwykłych miejsc noclegowych?

Słońce się już chyli ku zachodowi, gdy przy wyjściu z kolejnego drogiego hotelu zaczepił nas jakiś tubylec, ja przeszedłem niewzruszony, widząc w nim kolejnego kanciarza, ale Rafał rozpoczął z nim rozmowę. Chyba odczytał mój wzrok, bo na początku powiedział mniej, więcej: „nie martwcie się, nie chce was oszukać”. Po chwili dołącza się do rozmowy jakiś młody chłopak, który informuje, że nie dalej niż kilkaset metrów stąd znajdziemy *guest house*, te podobno są tanie. Tak jak powiedział, po przejściu może 400m trafiamy na aż trzy *guest hausy* koło siebie. Nie ma tutaj marmurów, szkła, dywanów ani nic innego. W uliczce nie ma nawet asfaltu, jest zwykła ubita droga z ziemi, a dookoła pełno śmieci, tubylców, zapach też nie zachęca – zdecydowanie bardziej mi się to podoba. Pierwszy z *guest housów* oferuje cenę 315irs, pytam co tak nie równo i czy może przystać na 300. Nie przystał, więc na wszelki wypadek Rafał z Marcinem zostają, a ja zadaję szybkie pytanie tubylcowi w następnym *guest hausie* ile za noc. Ten siedząc z nogami na stole i czapką z daszkiem zsuniętą na oczy, bez wzruszenia odpowiada, że 300irs (24zł), podejrzliwie pytam o podatki itd., ale ten nadal ze spokojem twierdzi, że 300, zostajemy. W trzecim już mi się nie chciało pytać, biorąc pod uwagę, że to peryferia miasta, boczna droga itd. To chyba jest minimum za ile można przenocować w stolicy Indii. Może znalazłoby się coś gdzieś tańszego, ale robi się już naprawdę ciemno, a my nie mamy za bardzo gdzie spać. Poniżej wizytówka, jaką udało mi się dostać od chłopca w recepcji, nie było to łatwe, bo jego angielski był bardzo słaby.



W Indiach wylądowaliśmy koło piętnastej, mimo to, w momencie gdy zajmujemy pokój, jest już na ulicach ciemno. Pokój jest duży, bez okien z białymi nieco już brudnymi ścianami i własną łazienką albo pomieszczeniem wyłożonym płytkami, które można tak chyba nazwać. Można, bo stoi sedes, ale już woda ze spluczki leje się prosto na podłogę. Rura łącząca ją z muszlą gdzieś znikła. Jest za to wiadro i coś co przypomina prysznic, lecz bez ciepłej wody mimo dwóch pokręteł. Prawie cały pokój zajmują 3 obszerne łóżka, na suficie jest wentylator, ale regulacja nie działa, a w ścianie przez duży, wykuty otwór z korytarza, zagląda do środka klimatyzacja. W zasadzie to stoi tylko na stole, na korytarzu, wystarczy odsunąć stół i wchodzi się przez dziurę do pokoju. Wentylator ochrzciliśmy helikopterem, bo po włączeniu rozpędzał się na maksymalne obroty, a stara klimatyzacja pracując przy tym samym poziomie głośności, pomimo moich usilnych starań nie chłodziła wcale. Zakurzone okna były tylko na korytarzu, szyb dawno już nie widziały, jeśli w ogóle, kiedyś, w zasadzie to nie są bardzo tutaj potrzebne.

W zasadzie tylko zostawiamy plecaki i wychodzimy na obchód pobliskich uliczek, oraz w poszukiwaniu jedzenia, bo już nieźle zgłodnieliśmy. Po przejściu kilku podobnych uliczek bez drogi i nie zalawszy nic ciekawego wychodzimy na tą samą obwodnicę i trafiamy do niewielkiego samoobsługowego sklepu. Na szczęście mają mini bar i *fast food*! Nareszcie, kolację spędzamy nad pizzą, normalnym hamburgerem i kolą, czyli tym o czym marzyliśmy przez cały Nepal wieczorami. Do pełni szczęścia brakuje tylko piwa, którego jak na złość nigdzie dookoła nie ma. Obiecujemy sobie odrobić w samolocie i korzystać ile się da z darmowego menu. Jutro o tej porze będziemy już w drodze na lotnisko.

Jest godzina 23 gdy gasimy światło i przewracając się z boku na bok usiłujemy zasnąć. Temperatura w pokoju bez okien, duszna atmosfera i coraz, więcej denerwujących, gryzących komarów pojawiających się sam nie wiem skąd, tego nam nie ułatwiają. Przypominam sobie, że na portalu aukcyjnym Allegro kompletując sprzęt na wyprawę, widziałem bardzo fajne i niedrogie moskitiery, patrzę na półkę z telewizorem nad moim łóżkiem i już oczami wyobraźni widzę gdzie by była zaczepiona, w międzyczasie rzucam kolejnym przekleństwem, drapiąc kolejne ugryzienie.

...czas jakoś szybko leci, w końcu nie mogę, jest 5 rano i ani na chwilę nie usnąłem. Szukam po omacku w plecaku fajek, kilka nietypowych pudełek kupiłem w Nepalu jako podarek dla znajomych. Siadam na łóżku, zapalam, puszczając przy tym jak najwięcej dymu, komary na chwilę ustępują. Marcin podnosi się ze swojego łóżka, mówi, że też jeszcze nie spał, dosiada się w skutek czego wytwarzamy jeszcze, więcej dymu. Na papierosach również jest napis „Palenie zabija” ...szkoda tylko, że nie komary. Otwieramy puszkę pepsy otrzymaną jako gratis w sklepie, po cichu rozmawiamy. W pewnym momencie ocknął się Rafał.

-Rafał: Co robicie?

-Ja: Odstraszamy komary

-R: ...

-J:, a ciebie nie gryzą?

-R: Widocznie za gruba warstwa łaju ;)

-J: ...

-J: Rafał? Myślmy, żeby włączyć helikopter, może nie będą tak gryźć,

-R:, a włączcie...

Przesuwam włącznik na ścianie i jeszcze ostatni raz próbuję regulacji, która nadal nie działa, wielki wiatrak rozpędza się do maksymalnych obrotów, trochę strach pod nim spać, ale nie spadł do tej pory, to może teraz też nie spadnie. Huk jest nieprzeciętny, ale przynajmniej te krwiopijce z pędu powietrza, nie mogą spokojnie latać i siadają na ścianach.

Długo nie czekam jak słyszę:

-Marcin: „pac” i „kur...a”, (w poświacie światła z telefonu komórkowego): Jakieś robale siedzą na ścianach!

Włączam swój i przyświecam na szarą ścianę, faktycznie coś siedzi.

-Marcin: to nie robale to te komary.

W rzeczy samej to były komary, ale niepodobne, bo napchane do maksymalnych rozmiarów. Siedzą takie spalone na ścianie, otumanione pędem powietrza, albo może hałasem w pokoju. Tylko nad moją głowę siedziały 3, pac, pac, pac ...zostały zastąpione przez trzy naprawdę wielkie czerwone plamy. Świecę dalej – widzę kolejne. Teraz już we dwóch, po ciemku, skanujemy telefonami wszystkie ściany w pokoju, razem z sufitem mszcząc się na kolejnej pijawce.

-Marcin: Haha, siedemnasty!

Odpowiedziałem cyfrą: 36 (słownie: trzydzieści sześć zabitych pokrak = 36 czerwonych plam na ścianie, zemsta jest słodka). Rafał się znowu ocknął.

-Rafał: Czemu łazicie po ścianach?

-Ja: Haha, zabijamy komary, właśnie 36 zapłacił za gryzienie, Marcin ubił 17.

-R: ...mhm.

W końcu, ...jest prawie 6 rano, leżę w łóżku, przykryty lekkim tylko kocem. Temperatura w sam raz, helikopter pracuje, choć jestem już tak zmęczony, że teraz nawet huk czołgu by mi nie przeszkadzał. Do tego nic nie brzęczy, nic ni gryzie, a to co gryzło zapłaciło za to. Jest cudownie ...zasypiam, ...może na godzinę.

### **2009.04.16 – Dzień 26 (czwartek) – New & Old Delhi**

Rano parę minut po siódmej, budzi nas Rafał wstając najwcześniej, nabija się, że trzebabyło nie chodzić w nocy po ścianach, to byśmy się wyspali. Podnoszę się w ostatniej chwili, ubieram sandały, spodnie i wychodzę z pokoju, potrzebę porannego mycia zażegnałem dawno temu jak i chyba potrzebę mycia w ogóle. Zastanawialiśmy się nad śniadaniem w sklepie, ale stwierdziliśmy, że zjemy coś w mieście, przecież to niedaleko. Przed wyjściem, płacę za spędzoną noc w hostelu i po krótkiej naradzie decydujemy się zostać na jeszcze jedną dobę, inaczej musielibyśmy do południa wynieść bagaże i zostawić je tutaj na łasce tubylców, lub brać ze sobą co jest niepraktyczne.

Idziemy, bokiem ruchliwej ulicy, po pół godziny minęliśmy ostatnie budynki i dalej idąc drogą nie minęliśmy jeszcze żadnego przejścia na drugą stronę obwodnicy. W zasadzie to jeszcze śpię, po godzinie drogi zaczyna się nam to już nie podobać, chce się nam pić, zaczynam robić się głodny, do tego poranne słońce zaczyna grzać coraz mocniej. Przeszliśmy już spokojnie 6-7km tym tempem, po jeszcze paru minutach drogi widzimy nad ulicom znak „Delhi – 16km”, jesteśmy załamani. W tym momencie zdałem sobie sprawę ze skali tej komercyjnej mapy którą posiadamy, nie ma szans żebyśmy doszli do Delhi, prędzej padniemy po drodze, poza tym cały dzień zajmie nam droga w obie strony.

Po kolejnych 10 minutach piechotą, w końcu nad drogą wysoko jest przejście dla pieszych, a po drugiej stronie drogi zbiorowisko ludzi ...czekają najwyraźniej na bus, którego przystanek symbolizuje niepozorna tabliczka zawieszona na słupie. Zagaduję jednego tubylca, jednak nie rozumie angielskiego. Następnym dwóch to samo, zaczepiony policjant, też nie potrafi po angielsku odpowiedzieć jak dojechać tutaj do miasta. Zastanawiamy się nad kierowcą takiej małej motorowej rikszy

(*TukTuk* – tak je tutaj nazywają), ten po angielsku słabo, a zagadany czy może nas dowieźć do centrum miasta, nie potrafi odpowiedzieć za ile. Zaczynam wątpić, nie dość, że jesteśmy daleko od miasta, do którego nie bardzo wiemy jak się dostać, to jeszcze nie ma się tego jak dowiedzieć. Pomyślałem, że centrum miasta to może mało konkretnie, rzucam, więc „*India Gate*”, nagle się obudził gestykulując przy tym: „*Yes, yes India Gate, come in*”. Najpierw pytam jednak za ile, odpowiada, że za 150irs (12zł). Jakoś nie możemy uwierzyć i kilka razy pytam się czy na pewno 150, bo jego angielski jest dość kiepski, po pokazaniu jednak na palcach cyfr 1, 5, 0, dalej stwierdza, że tak, pakujemy się do środka. Jeszcze trudno nam uwierzyć, że za taką cenę można przejechać tyle kilometrów. Stwierdzamy, że wczorajszy taksiarz zrobił na nas interes życia, wywożąc nas parę kilometrów za lotnisko, za 300irs (24zł). No cóż, mówi się, że będąc gdzieś pierwszy raz, swoje trzeba zapłacić, my zapłaciliśmy.

Ponad godzinę ściskając się we trzech w jednej małej motorynce jechaliśmy do miasta, momentami w potężnych korkach i cały czas się zastawiałem, gdzie tkwi haczyk i co kierowca jeszcze sobie zażyczy po zawieszeniu nas na miejsce. Oczywiście w każdym takim *tuktuku* jest taksometr, ale ten po naszym wejściu do środka, sprytnie go zasłonił. Jedziemy dwu pasmową ulicom przedzieloną płotkiem z kolejną dwupasmową w drugą stronę, dużo, dużo mniej zatłoczoną i pojazdy jeżdżą tam z pokazną prędkością. W pewnym momencie kierowca rzuca: „Dwie stówy i pojedziemy pod prąd, będzie szybciej”, o nie... dziękuję bardzo aż takim hardkorem nie jestem. Oczywiście w Polsce jazda pod prąd skończyła by się mandatem, policją albo stłuczką, bo na polskich drogach nie brakuje antytalentów za kierownicą. Tutaj jest to normalne, nie na taką skalę jak w Nepalu, ale często można spotkać tuki albo taksówki jadące pod prąd, bokiem jedni, czasami środkiem. Światła poza miastem są, ale przeważnie albo wyłączone, albo i tak nikt ich nie przestrzega i można cały czas jechać. Patrząc na ich styl jazdy dochodzę do wniosku, że wszyscy to mistrzowie kierownicy. Mijają się na centymetry i w Indiach i w Nepalu, w momencie gdy nie raz jadąc, byłem 100% pewny, że zaraz w coś walniemy, bo jedzie za blisko, ten przejechał bez szkody. Polska kultura jazdy bardziej mi się podoba, ale nie jednokrotnie widząc kierowców jadących 40km/h na ograniczeniu do 70, często lewym pasem, po prostu mnie trafia. Niektórych kierowców powinno się wysłać na uzupełniający kurs jazdy – do Nepalu, nauczyliby się dynamicznie jeździć.

Dojeżdżamy, z daleka widać już monument *India Gate* i niesamowicie czyste ulice. Uprzejmy kierowca dowozi nas pod samą strefę, gdzie nie ma już ruchu ulicznego i jest tylko pieszy. Marcin jeszcze przed wyjściem z Tuka, odstąpił taksometr, który był cały czas włączony i zobaczyliśmy naliczone 78irs... to był jego haczyk. Ta forma transportu jest tutaj najpopularniejsza i jednocześnie najtańsza. Za

przejechanie 15km (licznik z taksometra, naliczył nam 78irs), oczywiście zapłaciliśmy i tak te obiecane 150, bo cena według nas była dobra. Ten podziękował i odjechał dalej, postanowiliśmy zawsze jeździć z włączonym taksometrem jednak to tutaj prawie niemożliwe dla bladych twarzy, wszyscy tacy „tukarze”, widząc bladą twarz od razu zastaniają liczniki i dyktują ceny z kosmosu.



Pamiątkowa fotka pod *India Gate*, budowla ku czci wszystkich Hindusów poległych na wojnach, napis na samej górze tego 42 metrowego monumentu mówi:

*To the dead of the Indian armies who fell honoured in France and Flanders Mesopotamia and Persia East Africa Gallipoli and elsewhere in the near and the far-east and in sacred memory also of those whose names are recorded and who fell in India or the north-west frontier and during the Third Afgan War.*

W moim własnym, wolnym tłumaczeniu na polski to mniej, więcej:



*Pamięci poległym żołnierzom indyjskiej armii, którzy honorowo walczyli we Francji, Mezopotamii, Persji, wschodniej Afryce, półwyspie Gallipoli i wszędzie indziej na bliskim i dalekim wschodzie, a także tym, których imiona zostały spisane oraz polegli w Indiach lub na północno-zachodniej granicy i podczas III Wojny z Afganistanem.*

Brama stoi w zasadzie w samym środku miasta, ruch uliczny dookoła zablokowany ze względu na odległość od zabytku. Ściany bramy są wyrzeźbione imionami poległych żołnierzy. Natomiast te flagi pod bramą to grób nieznanego żołnierza.

Nadal nie mogę nadziwić się ulicom dookoła, są tak niesamowicie czyste, uporządkowane, wszędzie zielone, podlewane trawniki, kosze na śmieci. Chwilami wygląda to lepiej niż *Manhattan* w NY, który poza wysokimi drapaczami nie powala na kolana. Czyste proste ulice w doskonale zaplanowanym mieście. Już w Google Earth oglądając *Delhi* z góry widać dokładnie podzielone ulice, z licznymi rondami i bardzo dobrze zaplanowaną komunikacją po mieście. W rezultacie w *Delhi* o ile korki są i to duże przy wjeździe do miasta, tak w samym mieście cały czas się jedzie i ruch jest bardzo płynny.



To wycinek miasta, jakieś 5 x 3km, tylko w tym fragmencie 15 km kwadratowych naliczyłem 13 rond. Stan samych dróg też jest imponujący, mimo panującego tutaj upału, drogi są asfaltowe, rozwijane równo z rolki z regularnie powtykanymi kamieniami pozwalającymi odprowadzać ciepło z asfaltu i stabilizującymi powierzchnie, mieszanka jest tak dobrana, że nie widać topniejących ulic, a dziury na drodze się nie uświadczą. Organizacji ruchu i porządku na ulicy możemy się od nich uczyć. Wszystkie polskie miasta mają krzywe ulice, ciągłe

remonty, drogi w fatalnym stanie i wszechobecne po mieście korki. W Krakowie natomiast, niby ważnym mieście, główne ulice są dziurawe i w opłakanym niekiedy stanie, a w każdy piątek i poniedziałek, 4km trasę do pracy samochodem pokonuję w ponad 30 minut. Ktoś mógłby pomyśleć, że Indie to może gorszy rozwijający się kraj, ale takiego porządku i ładu na ulicach nie doczeka się moim zdaniem żadne polskie miasto, chyba, że się je zburzy i zbuduje od zera, naprawdę przy tym myśląc.

Wokół *India Gate* są małe przenośne stoiska z kanapkami i Colą, mają w sumie obrót, to tutaj właśnie podjeżdżają klimatyzowane autokary z turystami, wszyscy robią sobie fotkę z wielką bramą, podobnie jak my kupują coś do jedzenia, picia i wracają do klimatyzowanego autobusu. My niestety autokaru nie mamy, zasiadamy w cieniu na poboczu chodnika i jemy śniadanie, kanapka kosztuje 5irs, tak faktycznie dopiero teraz po śniadaniu się budzę po kilku godzinach snu w nocy. Jest 11:30 i mamy wreszcie okazję coś zjeść, zdążyłem porządnie zgłodnieć przez godzinę w Tuku.

Kolejnym naszym celem, już na spokojnie, bo z pełnymi brzuchami, jest *Taj Mahal*, na szczęście jest zaznaczony na mapie, dość blisko, ruszamy, więc w jego stronę. Po paru minutach docieramy do wspaniałego:



Ech, te komercyjne, darmowe mapy. Konia z rzędem temu kto znajdzie na tej mapie jakiś ważny zabytek. Wszystko poza *India Gate* jest podpisane w innym, nie angielskim języku. Zresztą, jak to stwierdził wczoraj Rafał jeszcze szukając miejsca na nocleg „nie przygotowaliśmy się” i taka jest prawda. Przeczytałem dziesiątki relacji z Himalajów, żeby się jak najlepiej przygotować i tylko jedną z Indii, w zasadzie, bo się przy okazji trafiła. Ktoś kto zna Indie będzie się z nas w tym momencie śmiał, prawdziwy *Taj Machal*, jeden z nowych siedmiu cudów świata leży prawie 200km za Delhi (doczytałem już po powrocie). My tylko na szybko przejrzelśmy będąc jeszcze w

Nepalu oferty programowe polskich biur podróży. Jeszcze w Polsce czytałem relację jakiegoś podróżnika, który prawie dwa tygodnie po powrocie z Nepalu podróżował w okolicach stolicy, niestety nie pomyślałem żeby to sobie wydrukować (głównie adresy noclegów).

Próbując w drobnych uliczkach znaleźć pocztę, kiepsko oznaczoną na naszej komercyjnej mapie, trafiamy na dziwną sytuację. Nagle, nie wiadomo skąd na drodze pojawia się kilku fotoreporterów, nie byli podpisani, ale po lepszych aparatach niż nawet mój i profesjonalnych torbach wypchanych sprzętem tak wywnioskowałem. Z daleka słysząc huki, strzały, w momencie pojawiła się policja i zamknęła całą drogę. Dopiero po chwili zdeorientowani zorientowaliśmy się, że to co nadchodzi to pochód wyborczy. W Indiach, jak chyba w ogóle w całej Azji nie ma czegoś takiego jak cisza przed wyborczą., a pora jest taka, że zbliżają się właśnie największe wybory świata jak przeczytałem w *Rzeczpospolitej* już po przyjeździe do Polski.



Polityka w Indiach jest pokręcona, coraz częściej kandydatami na ważne stanowiska zostają, bohaterowie, Bollywoodu, a nie politycy mówiący przed kamerami, że będzie dobrze i zagwarantują dalszy rozwój Indii. W znacznej większości prosta ludność oglądająca telewizję decyduje się głosować na ulubioną osobę ze znanej telenoweli niż polityka. Jednak mimo wszystko życie się tutaj toczy własnym torem i Indie nadal utrzymują prawie 10% stopę wzrostu PKB.

Najlepsze jest to, że Hindusi są strasznie chętni na pozowanie do zdjęć. Tutaj dodatkowo, widząc bladą twarz z dużą lustranką w ręku i jeszcze większym obiektywem, omyłkowo zostałem wzięty za reportera jakiejś zagranicznej gazety.

Dostałem nawet gestem zaproszenie na podest, którym jechał ten polityk. W tym momencie pożałowałem, że nie wydrukowałem sobie jakiejś fałszywej prasówki, dostałbym może jeszcze obiad za darmo. Chłopcy z flagami, podbiegali tylko grupkami wykrzykując po angielsku „me” (ja), chcąc żeby im robić zdjęcia. Nie pozostało mi nic innego jak tylko się uśmiechać, pstrykać zdjęcia i „ok, next” (dobra, następny).



Niestety zdjęć z Indii przywiozłem mało, większość jest jednak właśnie z tego pochodu, który jak szybko się pojawił, tak jeszcze szybciej zniknął pozostawiając za sobą tylko szlak śmieci i nie trwając dłużej niż 10 minut. Oczywiście w Polsce takie śmieci by pewnie leżały i czekały nie wiadomo na co, tutaj nie dalej niż 500m za pochodem jechały od razu służby porządkowe zbierając śmieci do worków, a było co zbierać.

Idziemy dalej i próbujemy jakoś zorientować kompas, zaczepia nas jakiś lokalny przechodzień dając zupełnie za darmo i nie mając w tym żadnego interesu, cenne wskazówki co tutaj warto zwiedzić i jak się co nazywa. Poleca przy tym poruszanie się tukiem, woła jednego z kierowców parkujących przy drodze, pyta za ile nas zawiezie do jakiegoś centrum handlowego. Kierowca, że 20, tubylec: „nie, weźmiesz ich za 10” i pojechaliśmy. Podczas jazdy standardowy wywiad, skąd, po co, na ile itd. Zapytany co tu robisz, odpowiadam, że szukam żony śmiejąc się przy tym. W chwili spoważniał i mówi, że żony, to mogłem szukać w Nepalu, tutaj go zacytuję: „...w Indiach nie szukaj żony, tutejsze kobiety są strasznie wybredne i wymagające, uwierz mi, miałem tutaj żonę, nic dobrego”. Ostrzega, że podobno wszystkie są takie złe. W sumie to nie ma za bardzo tutaj co obserwować. Na ulicach Kathmandu dziewczyny były po prostu ucieleśnieniem mitycznej Wenus. Te tutaj mają już wyraźne naleciałości z zachodu,

widać to szczególnie po ich wadze i bardzo okrągłej figurze. Normalnie ubrane też nie są, zdecydowana większość nosi na sobie zdobione firanki, od czubka głowy po same stopy, im bardziej zwymyślane i jaskrawe kolory tym bardziej zadufane są w sobie.

Centrum handlowe obeszlśmy szybko, tubylec polecił nam je jako taką galerię tylko trochę mniejszą od polskich, ale, jakość podobno jest tutaj najlepsza i sprzedają produkty oryginalne. Pytam o statuetkę przedstawiającą 4 lwy (symbol narodowy Indii) – 500irs (40zł), Rafał pyta o szal z kaszmiru – 2000irs (158zł) i to indyjskich (w Kathmandu kupił za 15zł). Jakość i może mają pierwszą, ale ceny też jak mało gdzie. Najlepsze jest jednak to, że jesteśmy brudni, spoceni, ja moich ulubionych spodni koloru saharyjskiego piasku nie prałem od początku wycieczki. Mają, więc już kolor nepalskiego piasku, nad brzegiem świętej rzeki, ale co tam. Wszędzie nam otwierają drzwi, kłaniają się i puszczają przodem. Nieważne, że jesteś brudny i pachniesz nie lepiej, albo nawet gorzej niż tubylcy śpiący na ulicy, jeśli jesteś bladą twarzą, choćbyś nie wiem w co się ubrał jesteś tutaj panem i będą Ci mówić „ser”.

Po wyjściu czeka na nas nasz kierowca, przedstawił się już wcześniej jako pilot, a jego *tuktuk* to „*Indian Helikopter*” oferuje przeloty po mieście i pyta gdzie nas teraz zawieźć. No dobra... to weź nas na piwo za następne 10irs (80gr), uśmiechnął się, po czym podwiózł nas ulicę dalej i przejechał może 100 metrów, ale 10irs jak obiecaliśmy to dostał. Oczywiście nigdzie na tej ulicy nie mieli lodówki i było tylko ciepłe piwo, a w tych warunkach klimatycznych można śmiało powiedzieć, że było grzane. Kierowca zarabiając, więc kolejne 10irs, podrzucił nas kolejne 100m dalej, na następną ulicę, ale tu już mieli zimne browary. Jesteśmy jeszcze w Nowym Delhi przez to pić na ulicy ich nie wolno, kazaliśmy się, więc wozic po mieście zygzakiem żeby wydłużyć trasę w kierunku jakiejś świątyni wskazanej palcem na mapie.

Ogólnie rzecz biorąc z włączonym licznikiem, można tutaj za śmieszne pieniądze objechać całe miasto, ale pod warunkiem, że jesteś tubylcem, nie turystą. My oferujemy naszemu pilotowi cały dzień jeżdżenia po mieście z trasą przez nas wyznaczoną po najlepszych zabytkach za 1000irs, ten się śmieje i mówi, że niemożliwe. Oczywiście gdybyśmy byli tubylcami wzięłby nas bez problemu, ciesząc się z zarobku, bo cena jest dobra, ale turystę trzeba naciągnąć. Oferuje taką usługę za 4000 co najmniej i mówi, że to dużo jeżdżenia. Oficjalnie go olewany i to ostatni kurs jaki nam wykonuje, celem jest świątynia *Birla Mandir*. Kierowca oczywiście obiecuje poczekać przed, ale po spojrzeniu domyślił się chyba, że my nie będziemy na niego czekali i tak godzinę później go już nie było.

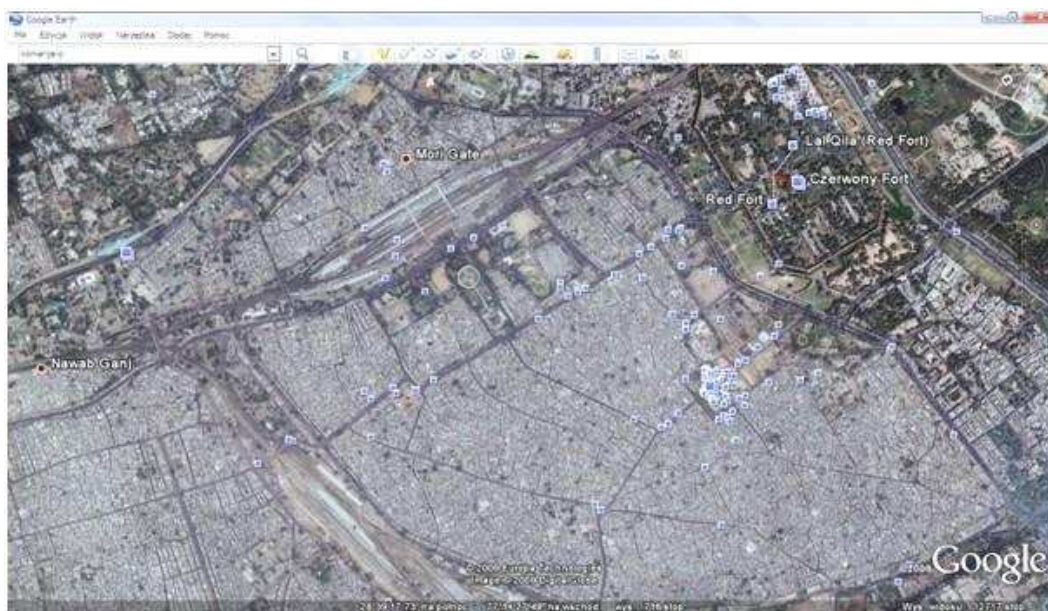


Świątynia którą zwiedzaliśmy o tyle mnie zainteresowała, że na fasadach ma wymalowane swastyki. Spodobało mi się to, jak dużo ludzi w Polsce wie, że swastyka to niekoniecznie od razu Hitler, nazizm i zło, ale zna jej pierwotne znaczenie – „przynoszące szczęście”. W Indiach swastyka, uważana jest za pieczęć na sercu Buddy. W hinduskim dżinizmie, ramiona swastyki oznaczają cztery poziomy światła bogów, ludzi, zwierząt i świata podziemnego. W starożytnych Chinach, stanowiła symbol rozróżnienia czterech kierunków nieba, a w Skandynawii kształt swastyki miał amulet zwany młotem Thora. Jej znaczenie, może więc zależeć od kontynentu, nie mniej, bardzo mnie denerwują wszelkie dyskusje na temat obrazy czyichś uczuć gestem „pięć piw”, lub namalowaniem gdzieś swastyki. W naszym „wolnym” kraju za podobny znak na budynku jak tutaj, można dostać nawet więzienie w zawieszeniu. Poza ludźmi którzy przejdą obojętnie i pomyślą co najwyżej „wandale”, znajdzie się zaraz dziesięciu obywateli dla których swastyka ma tylko jedno wypaczone znaczenie i będą dociekać kto i jaką karę mu wymierzyć. Szkoda, że Hitler właśnie ten symbol wybrał na swoje flagi i szkoda, że wielu ludzi zna tylko jedno znaczenie tego symbolu. Ciekawe czy replika podobnej świątyni, ze swastykami przetrwałaby u nas presję społeczeństwa.

Mówi się, że Indie to kraj kontrastów, czemu? Otóż taka blada twarz przywieziona do Nowego Delhi – 10mln miasta, mieszka w tym \*\*\*\*\* hotelu, widzi porządne ulice, idealnie rozplanowane miasto, dużo zieleni, czystość i porządek, jednym słowem piękne te Indie. Wystarczy jednak ruszyć tylko 3km na północ od *India Gate*, a miasto przestaje być takie cudowne. Jeden kierowca *tuka* powiedział mi, że tutaj jest Nowe Delhi zasłaniając dłonią większy fragment mapy, potem są tory

kolejowe, a za torami stare Delhi, akcentując słowo stare i tworząc pauzą odczucie tajemniczości. To kraj, w którym w niezwykły sposób, obrzydliwie bogaci ludzie w białych tunikach, obwieszani złotem mijają się zupełnie normalnie na ulicy z ludźmi którzy czasami nie zawsze mają co jeść i tutaj jest to naturalne, nikt nie prosi jakoś szczególnie o jałmużnę, nie obnosi się z biedą, wszyscy żyją godnie jak na swój stan.

Właśnie takie miasto chcemy poznać, ruszamy piechotą w stronę *Red Fort*, jednego z bardziej znanych zabytków miasta. Na mapie podpisany jest jako *Lal Qila*, ale spotkany wcześniej tubylec twierdził, że to właśnie tzw. Czerwony Fort w tłumaczeniu. Żeby do niego dotrzeć, trzeba przejść kilka kilometrów przez stare Delhi, a konkretniej przez jedno z siedmiu starożytnych miast *Delhi - Shahjahanabad*. Można tą trasę zobaczyć z góry w Google Earth, na mapie oczywiście są ładne ulice, ale rzeczywistość nie jest już tak piękna. Całość tworzy zbita, szara masa drobnych uliczek i niskich domków, często bez stropów lub ścian.



Nie wygląda to dobrze o ile przeciętny turysta zwiedzający Indie przejedzie tylko główną ulicą widząc miasto z daleka, zza szyb autokaru, tak my przeszliśmy całe to stare miasto na piechotę, zatrzymując się kilka razy żeby się czegoś napić w pobliskich sklepikach. Myślałem, że *Kathmandu* jest brudne, ale to co jest tutaj przerosło dawno Nepal. Nie będę się już zagłębiał w szczegóły, bo w sumie po slumsach *Kathmandu* już nic nie było w stanie mnie zaskoczyć, ale miasto od tej strony jest jeszcze bardziej interesujące.

Wywołaliśmy wielki szacunek tubylców zasiadając na brudnej ulicy i kupując wodę z wózka obwożonego po mieście. Kubek zimnej (może nie zimnej, ale zimniejszej niż otoczenie) wody kosztuje 1 indyjską rupię, z wyciśniętą lionką i łyżką

sody na coś co ma smakować musująco – 5irs. Kupujemy po parę szklanek do natychmiastowego wypicia. Oczywiście wszyscy łącznie z miejscowymi piją z tych samych kubków. Słabo opłukane, a woda jest raczej na pewno tylko kiepsko przefiltrowaną wodą z wodociągu. Po całym Nepalu i tym co jedliśmy byłem pewien, że nic mi już nie będzie. Niestety pomyliłem się, ale to odczuję dopiero po powrocie do Polski 😊 Porada na przyszłość, pić tylko i wyłącznie wodę butelkowaną, gdzieś to już wiele razy czytałem, ale zawsze, jak zwykle muszę się nauczyć na własnych błędach.

Czerwony Fort znajduje się we wschodniej części *Shahjahanabadu*. Jego nazwa pochodzi od koloru ścian budowli. Mur ma łączną długość 2,5km, a jego wysokość rośnie od 16m przy rzece, do 33m w stronę miasta, przed jego murami stajemy przed czternastą. Fortecę zwiedzamy z zewnątrz, parę zdjęć po czym Rafał strasznie się upiera zwiedzić go od środka. Bilet kosztuje 250irs, nam się nie chce, więc spędzamy prawie godzinę czekając aż wyjdzie z wewnątrz. Mnie szczerze powiedziawszy bardziej interesują ludzie i slumsy niż zabytki architektury od wewnątrz, a Marcin jest zmęczony i od słońca dostaje udaru słonecznego, na szczęście lekkiego. Prawie godzinę czekamy na wyjście Rafała ze środka, ale w końcu około godziny 15:30 jedziemy już kolejnym tukiem dalej do miasta – na pocztę. Potem jeszcze pogoń za kartkami pocztowymi (okazało się, że na poczcie nie sprzedawali) i w końcu dosłownie dziesięć minut przed zamknięciem poczty, zostawiamy kartki w okienku. Tutaj zaskoczenie, te z Indii pobiły rekord szybkości dostarczenia, w 5 dni były w Polsce (te z Nepalu – dwa tygodnie).

Chcieliśmy jeszcze w drodze powrotnej odwiedzić grobowiec *Humajuna* oraz *Qutub Minar* – najwyższy na świecie minaret z cegieł, który wprawdzie jest prawie po drodze do naszego noclegu, ale po prostu brakło czasu. Zaczyna się już ściemniać gdy szukamy jakiegokolwiek tuka, który zgodzi się nas zabrać na peryferia miasta, ale nic wyjątkowo nie udaje się nam złapać. Wszyscy którzy już się zatrzymują, twierdzą, że kończą pracę i tak daleko za miasto nie pojadą. W końcu zaczepia nas kolejny bezinteresowny przechodzień i udziela wskazówek, że możemy się tam dostać miejskim autobusem, którym Rafał chciał jechać od samego początku. Ja z Marcinem byliśmy nieco przeciwni, raz jest już ciemno, dwa trzebaby chyba dobrze znać miasto żeby wiedzieć, kiedy wysiąść. W końcu nie mając za bardzo innego wyjścia wsiadamy w linię 725 którą zauważyliśmy w naszych okolicach i za całe dziesięć indyjskich rupii (18gr), kupujemy w autobusie bilety. W Indiach nie ma instytucji kontrolerów biletów, tych też nie da się kupić w kiosku. Działa to tak, że sprzedawca jeździ w każdym autobusie na siedzeniu obok drzwi i wchodząc do autobusu, daje mu się pieniądze, on w zależności od tego gdzie jedziemy wydaje nam bilet i resztę. Przy okazji pokazaliśmy



my mu gdzie jedziemy palcem na mapie, obiecał zawołać jak już dojedziemy, kilku tubylców pokiwało głowami (znaczy, że chyba jednak dobrze jedziemy).

Na początku było luźno, staliśmy razem, po kolejnych kilku przystankach robi się bardzo tłoczno, w pewnym momencie tubylców wchodzi tak dużo, że każdy z nas łąduje w inny kąt autobusu. Dookoła sami Hindusi, siedzą cicho i obserwują, niektórzy tylko o czymś rozmawiają między sobą. Gdzieś przed wyjazdem czytałem, że trzeba w miejskiej komunikacji bardzo uważać na złodziei kieszonkowych, ale Ci tutaj wyglądają na zwyczajnych tubylców, zapatrzonych za okno. Jeden mnie chwilę obserwował w końcu zagadał, piętnaście minut trwała standardowa gadka skąd jesteś itd. Skończyło się, że mu pokazałem na mapie gdzie jadę, on też obiecał powiedzieć jak już będziemy. Mimo mojej europejskiej podejrzliwości i początkowego złego wrażenia o całych Indiach, okazał się bardzo miły i towarzyski. Muszę przyznać, że jak przejścia z taksówkarzem z lotniska spowodowały mój bardzo zły stosunek do tubylców, tak teraz po całym dniu i kilkakrotnym otrzymaniu pomocy zupełnie za darmo, zmieniłem zdanie. Mimo wszystko można spotkać bardzo wielu życzliwych ludzi, którzy zupełnie bezinteresownie pomogą tutaj bladej twarzy i udzielą informacji.

Po czterdziestu minutach jazdy ulica zaczęła wyglądać znajomo aż w końcu minęliśmy znajome przejście nad drogą i znak „*Delhi – 16km*” w zasadzie to wiedzieliśmy już że trzeba wysiąść teraz jak z autobusu najpierw odezwał się gość koło mnie, że to już, podziękowałem. Za chwilę jakiś stojący po drugiej stronie „to tutaj, macie wysiąść”, dzięki. Przeciskając się do wyjścia jeszcze ze dwa razy podziękowałem za wskazówkę, że to tutaj. Pod samymi drzwiami pożegnał nas kontroler uśmiechem i słowami „to tutaj”.

Z autobusu na przedmieściu wyszła cała grupka ludzi, idziemy razem z nimi, w sumie poza kolorem skóry to teraz nie różnimy się od nich czystością i zapachem. Nagle z prawej słyszę słodkie „Cześć”, odwracam się w stronę całkiem ładnej dziewczyny, niepodobnej do tutejszych otyłych tubylczek. Trochę niższa ode mnie i ubrana całkiem normalnie, a nie w jakieś ich szaty, firanki czy tuniki. Zaskoczenie wyczytała chyba z mojej twarzy.

-Ona: Byłeś dziś w naszym sklepie,

-Ja: Byłem?

-O: Tak, w ....(zapomniałem), koło południa, co tu robisz?

-J: Mieszkam, wynajmujemy pokój niedaleko, najtańsze co udało nam się wczoraj znaleźć,

-O: Z jakiego kraju jesteście?

...itd., nie będę całości opisywał w każdym razie miło się rozmawiało. Dowiedziałem się, że mieszka sama w nowym bloku gdzieś niedaleko (nawet pokazała palcem), ale nie pytałem o szczegóły. Żebym został w Delhi jeszcze parę dni dłużej to bym jutro o 18 czekał pod Twoim sklepem (tego jej już nie powiedziałem), że też takie dobre znajomości trafiają się na sam koniec. Miałem spytać o imię, ale przypomniawszy sobie parę z Indii którą poznałem w Himalajach (nawet nie umiałem poprawnie wymówić ich imion), dałem sobie spokój. Żeby jej całkiem nie zniechęcać i nie żegnać się w tak twardej sposób obiecałem, że jutro odwiedzę ten sklep i ucieknę tropem chłopaków którzy skręcili już do kantoru, zmienić parę ostatnich dolarów na kolację we wczorajszym sklepie.

Jest już dobrze 21 gdy w końcu po ciężkim dniu wchodzimy z powrotem do pokoju, ku mojemu zdziwieniu, nasze bagaże są na miejscu i nikt przy nich nie grzebał. Marcin ogląda wymyślną, lwią kłódkę na bagażu kupioną w Nepalu i ostatecznie stwierdza „tak, nikt tu nie grzebał”. Zostać na jedną dobę dłużej w pokoju to był jednak dobry pomysł, dochodzi do mnie potrzeba wzięcia prysznicza po całym dniu gonitwy po mieście. Może nie zrobiłem tego tylko dla siebie, ale też z myślą o komforcie pasażerów w samolocie. W zasadzie to jakbym miał policzyć ile razy brałem prysznic za cały miesiąc tej wyprawy, to ten będzie szósty. Dwa razy w Ktm na początku, raz przed i raz po górach w *Namche* i potem ostatni, po czterech dniach w Kathmandu. Szybki prysznic, ostatnie pakowanie, a raczej upychanie rzeczy pomieszanych z pamiątkami do plecaka i jesteśmy niemal gotowi. Zamówiona w recepcji taksówka, a raczej jakiś dobry znajomy recepcjonisty zawozi nas za 150irs (12zł), na międzynarodowe lotnisko z którego już raz wylatywaliśmy. Plecak na odprawie bagażowej ważył 19,9kg czyli przybyło mu prawie 3kg pamiątek w stosunku do początkowej wagi. Znowu wypisywanie papierków, kontrola i w końcu po przejściu ostatniej bramki, miłą pogadanką z celnikiem i wbiciu do paszportu ostatniej czerwonej pieczętki „*departure*” (odprawa), wsiadamy do samolotu.

Zmęczenie zupełnie dało za wygraną, pamiętam, że usiadłem w fotelu airbusa, sprawdziłem czas do wylotu – jeszcze 20 minut, zapiąłem pasy i na tym się moje Indie skończyły. Chciałem jeszcze z góry popatrzeć na Delhi nocą, bardzo też lubię starty samolotu, może Karakorum udało by się zobaczyć z kamer pokładowych...

Nie udało się, obudziłem się gdzieś w połowie drogi, 3 godziny przed Turcją, gwałtownie wyrwany ze snu przez stewarda:

- Sir, would You like something to drink? (Życzy sobie pan coś do picia?)
- eeee... Just water please. (Proszę tylko wodę).

## Zakończenie

Jeśli ktoś jeszcze przed wyjazdem powiedziałby mi jaki będzie finalny koszt całej wyprawy i ile wysiłku będzie ona kosztować, to może nie rezygnowałbym od razu, ale na pewno bym się dwa razy zastanowił. Jednak już po wyprawie, nie żałuje tego wyjazdu i tego co przeszliśmy, nie zamieniłbym na żadne luksusy w 5-gwiazdkowych hotelach. Były chwilę słabości, jak wejście na *Kalla Pattar*, ale satysfakcja, wspomnienia i doświadczenie jakie się ma po przejściu całej, ponad 100km trasy z 17kg plecakiem jest nie do wyceny. Jeśli ktoś bardzo kocha góry, to podobno warto wybrać się w rejon *Annapurny*, widoki według relacji są lepsze niż w okolicach lodowca *Khumbu*.

Najcenniejszym dla mnie nie jest jednak pobyt w górach i ich piękno, ale takie „klimatyczne” momenty, jak nocne tłuczenie komarów w Delhi. Piwo przy palących się śmieciach w *Kathmandu*. Chata Tybetańczyka w *Dzonghla* i wiele, wiele innych drobiazgów, które wspominam z uśmiechem i chętnie bym do nich wrócił. Wszystkim kto tylko podoła takiej trasie i lubi podróżować, polecam podobną wyprawę, naprawdę warto. Oczywiście mam tutaj na myśli ludzi którzy faktycznie lubią podróżować i za cenę zobaczenia jakiegoś zakątka świata są gotowi spać gdziekolwiek, byle było płasko. Są też ludzie którzy przez podróżowanie rozumieją All Inclusive w najlepszych hotelach i o wszelkie niedociągnięcia robią afery, niestety polski turysta to bardzo ciężki gatunek turysty. Takim podobnej wycieczki nie polecam, na szczęście niewielu takich „podróżników” można spotkać w tak egzotycznych, odległych rejonach.

## Podziękowania

Najważniejsi jednak są ludzie, którzy budują te wspomnienia i tutaj na pierwszym miejscu chciałbym podziękować wspaniałym kompanom Rafałowi i Marcinowi, których poznałem przez Internet. To był nasz pierwszy ale najpewniej nie ostatni wyjazd. Dziękuję też wszystkim Polakom i wszystkim spotkanym na szlaku. Darkowi za opowieści o Nepalu, Justynie, Agnieszce i Adamowi (drugiemu też), za mile spędzony dzień w *Gokyo*. Wszystkim zawdzięczam te wspaniałe chwile, wspomnienia, wiedzę i z pewnością spotkamy się jeszcze przy okazji podróży w kolejne nieznanne.

Chciałbym jeszcze podziękować wszystkim, którzy wspierali mnie podczas pisania tej relacji. Wiele razy znajomi pytali mnie „jak było”, dużo bardziej wolę pisać niż mówić i zawsze opowiadałem zdawkowo, obiecując relację którą napiszę.

Pewnego dnia, siadłem przed komputerem, z myślą spisania aktualnych wspomnień z wyprawy, jakich w Internecie jest wiele. Za cel postawiłem sobie co najmniej 15 stron. Zacząłem pisać, po spisaniu wszystkich miłych wspomnień z samego tylko pierwszego dnia i dodania paru zdjęć powstało mi 10 stron tekstu. Bardzo szybko doszedłem do 50 stron, potem z braku czasu i zwątpienia czy ktokolwiek będzie w ogóle czytał taką ilość słów (obecnie, prawie 46 tysięcy), odłożyłem pracę. Nowej inspiracji dodały mi opinie znajomych którzy przeczytali fragmenty mojego dziennika. Stwierdziłem, że może to jednak ma jakąś wartość i rozpocząłem prace na nowo, tym razem już do końca. Tak oto, w pół roku po powrocie, na drukarce wylądowała pierwsza wersja dziennika, jeszcze wielokrotnie później poprawiana. Serdecznie dziękuję: dwóm Justynom, Annie, Kaśce, Marcinowi, Rafałowi i wszystkim, których trudno wymienić, a którzy po przeczytaniu drobnych, podrzuconych fragmentów, dali mi cenne wskazówki gdzie dalej iść, co poprawić i pośrednio doprowadzili do tego co Ty czytelniku trzymasz dziś w ręku. Jeśli dotarłeś do tego momentu chciałbym Ci serdecznie podziękować wytrwałości przy czytaniu tego prawdopodobnie nudnego tekstu, z racji tego, że nie jestem profesjonalnym dziennikarzem.

## **Koszt wyprawy**

Każdy kto się dowiaduje gdzie byłem zawsze myśli, że musiałem wydać na to niesamowitą górę pieniędzy, a już bardzo rozbawiła mnie opinia mamy jednego z moich znajomych, która się dowiedziała o wyjeździe. „Gdzie jedzie? Pod Everest? Skąd on ma na to pieniądze, musi na pewno handlować narkotykami”. Cóż, mit dużych kosztów nie jest do końca prawdziwy. Owszem, jest to dużo droższe niż przeciętna wycieczka, ale dużo, dużo tańsze niż oferty z biura podróży do Nepalu, na tylko dwa tygodnie. Do tego plan jest elastyczny i nikt nam nie mówi gdzie iść i co zobaczyć, o wszystkim decydujemy sami. Za klimatyzowany autokar dziękuję, wole iść na piechotę przez miasto. Czysty hotel? Wolę brudny, będzie się lepiej wspominało a w czystym wyśpię się w domu.

Największy koszt takiej wyprawy to oczywiście logistyka, w zależności od połączeń i pośrednika możemy dotrzeć do Kathmandu za 2500-3000zł, ale również trafiłem na oferty za 12000zł. Wszystko zależy od pory, linii lotniczych, aktualnych promocji, taryf PEX, APEX, przesiadek i pośredników. Nas sam transport do Delhi kosztował 2200zł, ale wystarczyło zarezerwować bilety tydzień wcześniej, żeby lot był tańszy o 100zł. Polacy, których spotkaliśmy na szlaku przylecieli do Indii za 1700zł, tylko, że z Kijowa. My wybraliśmy bezpośredni lot z kraju, jednak politykę cen biletów lotniczych nie sposób zrozumieć. Z pozostałych finansów trzeba jeszcze liczyć koszt

przeżycia tutaj, w górach jest drogo, ale 10 – max 20\$ na dzień powinno wystarczyć. Do tego oczywiście koszt wiz, lokalnych przelotów, ubezpieczenia, sprzętu do trekkingu, wyposażenia, pamiątek itd., ale to już jest kwestia indywidualna dla każdego. Kosztów stałych nie ma tak bardzo dużo.

## Aklimatyzacja

Muszę o tym napomknąć, ze względu na mnóstwo mitów, a tym nie wierzę. AMS (*Accurate Mountain Sickness*), albo HAS (*High Altitude Sickness*), jakkolwiek kto ją nazwie, chodzi o to samo czyli chorobę wysokościową. Powstaje w wyniku zbyt szybkiego zdobywania wysokości, w stosunku do możliwości dostosowania organizmu do mniejszej ilości tlenu i niższego ciśnienia. W Internecie można wyczytać dużo rzeczy na ten temat, część z nich to fakty, a część to zupełna fikcja która nijak się mają do rzeczywistości. Zgodnie z zasadami, przy zdobywaniu wysokości, nie wolno pokonywać, więcej niż 300m dziennie w pionie, do tego po każdym zdobytym tysiącu robić dzień przerwy. Dużo pić, pisać, że co najmniej 4 litry dziennie. Unikać bezpośrednich transportów powyżej 2000m n.p.m. i wspinać się wysoko, a spać jak najniżej.

Nie ma sposobu, żebyśmy zachowali którąkolwiek z tych zasad, przylecieliśmy na 2800m i ostro szliśmy do góry robiąc tylko jedną przerwę i to na 3500 metrów. Strasznie byłem ciekaw objawów AMS i co? ...i nic nam nie było. Oczytaliśmy się relacji gdzie ludzie masowo padali i bojąc się objawów mieliśmy aż 4 dni rezerwy na wypadek gdyby jeden z nas musiał się zatrzymać. Ktoś powie, że to przez Diuramid, ale on nie przyspiesza aklimatyzacji, jedynie likwiduje opuchnięcia i ból głowy jeśli wystąpią, przynajmniej tak twierdził farmaceuta spotkany na szlaku, a sprawiał wrażenie takiego, co wie co mówi.

Wyczytałem też, że AMS dopada 30% ludzi na wysokości 3000m, a na 5000 już właściwie każdego i nie ma ucieczki. Ponadto, na 5000 chrapią już wszyscy i przez mniejsze stężenie tlenu (o połowę mniejsze – to akurat prawda), noce są długie i bezsenne. Wszystko to, w naszym przypadku to kompletne bzdury i nie będę podawał autora tego tekstu, niemniej go pozdrawiam. Morał z tego jeden, albo faktycznie tak jest, albo my jesteśmy niezniszczalni i świetnie się dobraliśmy, z naszej trójki nic nikomu nie było. Chyba, że to przez wspaniałe działanie czosnku dodawanego tutaj niekiedy obficie do potraw. Proszę wszystkich, nie wiercie w mity i teksty pisane przez ludzi nie mających pojęcia o wysokości. W ten tekst, choć starałem się, żeby był obiektywny, też nie musicie wierzyć, to tylko mój punkt widzenia, każdy musi wyrobić sobie własny. Jedyne wiarygodne źródło to opracowania naukowe, a tych

przeczytałem dużo, łącznie z bardzo ciekawą pracą magisterską na temat wpływu wysokości na organizm ludzki. Nigdzie nie przeczytałem żadnego, naukowego uzasadnienia cudownego działania czosnku na AMS, poza efektem placebo, toteż w jego działanie nie wierzę. Jeżeli ktoś na poziomie morza uprawia jakiś sport, nie jest wrażliwy na ciśnieniowe zmiany pogody, to moim zdaniem może spokojnie ruszać na podbój Himalajów, bez strachu. Jedno jest tylko pewne, każdy na wysokość reaguje inaczej, nie wierz, więc czytelniku w to co czytasz, musisz samemu to sprawdzić.

## Co zabrać

Jest to temat rzeka, skupię się jednak na najważniejszych punktach. Pojemność mojego plecaka to 55 litrów i przyznam, że z tego powodu miałem najmniej niepotrzebnych rzeczy. Pośród wielu mniej lub bardziej potrzebnych i oczywistych rzeczy jak śpiwór, na pierwszym miejscu postawię czołówkę. Jest to absolutnie niezbędne wyposażenie wieczorami, można ją kupić na miejscu, ale polecam zaopatrzyć się w dobry sprzęt w Polsce, baterie starczą nam na dłużej. Marcin posługiwał się czołówką Petzl duo, ja wybrałem, więc tańszy model Energizer Advanced i szczerze przyznam, że jest to najlepszy stosunek ceny (60zł), do jakości. Na jednych bateriach dała radę przez miesiąc, a świeciłem nią naprawdę dużo.

Polecam też dobre, termoaktywne ubrania i spodnie przeznaczone specjalnie do trekkingu. Ja ubrania (poza spodniami), kupiłem w Polsce i szczerze mówiąc przepłaciłem je kilka razy w stosunku do cen tutaj. Jeśli ktoś planuje zatrzymać się w *Kathmandu* przed wyjściem na szlak, polecam tam zaopatrzyć się w rzeczy. Ktoś powie, że jakość jest tutaj gorsza i w przypadku np. kurtek jest to prawda, niektórzy sprzedawcy pokazują oryginalny produkt i tę samą kurtkę, ale podróbkę, jest różnica. Oryginał ma wzmocnione, klejone szwy itd., ale niekiedy to jest ten sam materiał, ta sama fabryka i pewnie ten sam chińczyk, który to szył. Natomiast w przypadku zwykłych termoaktywnych rzeczy nie ma różnicy między podróbką a oryginałem, którykolwiek kupimy, tutaj wydamy 20% tego co w Polsce. Spodnie mammuta kupione tutaj sprawdziły mi się naprawdę świetnie i nieporównywalnie ze zwykłymi.

Jeszcze jedna rzecz o której muszę wspomnieć to aluminiowa butla albo dobra menażka na wodę. Koszt zakupu tutaj to jakieś 300-500rs (15-25zł), ale to zwraca się już po dwóch dniach w górach. Woda butelkowana wysoko kosztuje 300-500rs (15-25zł), za litr, podczas gdy zwykła przegotowana ma cenę dwukrotnie niższą, bo tej nie trzeba nosić. Ja swoją butelkę zakupiłem już gdy wracaliśmy, Marcin miał taką cały czas i nie chcę nawet liczyć ile tysięcy rupii zaoszczędził. Butelka taka ma dodatkową zaletę, można do niej nalać wody ze strumienia i wieczorem normalnie postawić na

piecu obok czajnika właścicieli, nikt nam za to nie zwracał nigdy uwagi, a wodę prawie przegotowaną mamy za darmo. Jeśli ktoś poszukuje oryginalnej to polecam firmę SIGG aczkolwiek lepiej ją kupić w Polsce, tutaj wszystkie to podróbki gorszej jakości choć w podobnej cenie.

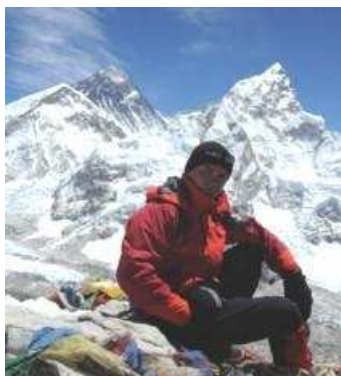
## Koniec

Co dalej? Do Nepalu jeszcze, kiedyś wrócę, a jeśli nie do Nepalu to do sąsiedniego Tybetu i już z konkretnym celem zdobycia któregoś ze szczytów, może *Cho Oyu*, może wyżej.... jeśli się uda znaleźć sponsora\*. W każdym bądź razie każdego kto lubi góry albo chce zobaczyć Himalaje na własne oczy zachęcam do podobnych wypraw. Nie ma tutaj szczególnych niebezpieczeństw, przeciętny Nepalczyk jest bardzo przyjaznym człowiekiem i tutaj obcokrajowcowi nikt krzywdy nie robi. Jak to określił Marcin już w Indiach „Podoba mi się jedno, tutaj biały człowiek to pan”, w Nepalu jest podobnie. Biały turysta to pieniądze, a pieniądze to dla nich utrzymanie. Nikt nie będzie podcinał gałęzi na której sam siedzi. Jeśli miałbym ocenić nasze bezpieczeństwo w skali od 1 do 10, gdzie 1 to Polska, a 10 to Irak, dałbym tej wyprawie jakieś słabe 5. Jedyne ryzyko o tej porze roku to tylko niektóre miejsca w górach, szlaki są przeważnie poza zasięgiem lawin. Jeśli ktoś się decyduje na przełęcz *CzoLa*, którą przeszliśmy, czy jeszcze dalej na zachód, to ryzyko oczywiście rośnie, jednak ginie tutaj naprawdę niedużo ludzi, w porównaniu np. z dużo niższymi Alpami. Jednak to już historia na drugi rok.

\*) Jeśli osoba to czytająca, chciałaby zostać sponsorem proszona jest o kontakt ☺.







Adres do korespondencji:  
**wiktor.rozmus@gmail.com**

---

W opracowaniu, tego samego autora:

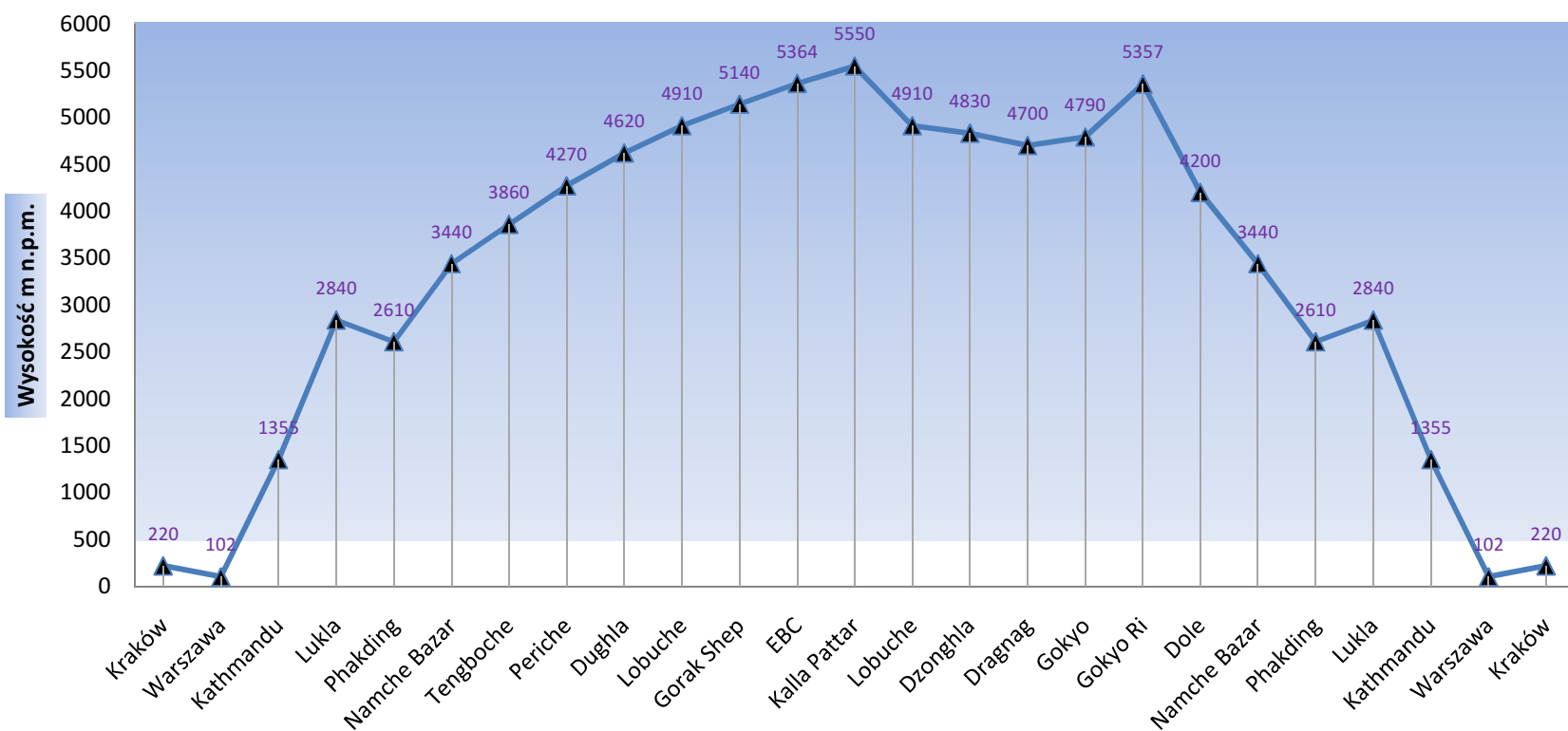
- Z dachu Europy – Mont Blanc (2010)
- Zielone światło Czarnobyla (2011)
- Każdy ma swoje Kilimanjaro – z Kenii do Tanzanii (2012)
- Śladami gringo, czerwonych twarzy i zaginionych cywilizacji Ameryki Południowej (2013)

Szukaj wkrótce w Twojej księgarni ☺



Miejsce	m n.p.m.
Kraków	220
Warszawa	102
Kathmandu	1355
Lukla	2840
Phakding	2610
Namche Bazar	3440
Tengboche	3860
Periche	4270
Dughla	4620
Lobuche	4910
Gorak Shep	5140
EBC	5364
Kalla Pattar	5550
Lobuche	4910
Dzonghla	4830
Dragnag	4700
Gokyo	4790
Gokyo Ri	5357
Dole	4200
Namche Bazar	3440
Phakding	2610
Lukla	2840
Kathmandu	1355
Warszawa	102
Kraków	220

### Tabela zmian wysokości





6 39382 00039 3

ISBN 000-00-0000-000-0

Cena: 00zł 00gr

